

# *Stuart Anne*

## *Zdradliwe zauroczenie*

*Anglia, XIX wiek*

*On - przystojny arystokrata, bywalec salonów, lekkość; ona – niemodnie ubrana stara panna, zasadnicza i stanowcza. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że zostaną parą...*

*Choć Annelise Kempton straciła nadzieję na poprawę sytuacji życiowej, nie była zgorzkniała. Rozczulanie się nad sobą, nieustanne przeżywanie pretensji do ludzi i losu, nie leżało w jej charakterze. Zdążyła przeboleć śmierć ojca, którego szczerze kochała, i nie miała mu za złe, że zostawił ją z niczym. Przyzwyczaiła się do tego, że zarabia na utrzymanie jako opiekunka pań na wydaniu. Ostatnio na prośbę pana Chipple'a, zamożnego nuworysza, podjęła się wprowadzić w kręgi londyńskiej socjety jego jedynaczkę, Henriette. Uparta i samowolna dziewczyna nie chce słuchać rad i ostróg Annelise. W dodatku pozwala się adorować wicehrabiemu Christianowi Montcalmowi, hulace szukającemu bogatej żony. Annelise jeszcze nie spotkała tak przystojnego mężczyzny. Ze zgrozą przekonuje się, że sama wcale nie jest odporna na jego urok...*

## **Rozdział pierwszy**

Czcigodna panna Annelise Kempton cierpiała na wrodzoną, chorobliwą wręcz awersję do głupców. Niestety, los jej w tym względzie nie oszczędzał. Od lat była zmuszona znosić przykre towarzystwo rzeszy najrozmaitszych półgłówków. Co gorsza, wymagano od niej, aby stawiała im czoło z „niewymuszoną” uprzejmością. Wynikało to z co najmniej kilku powodów. Otóż Annelise miała blisko trzydzieści lat, była niezamężna i biedna jak mysz kościelna. Na domiar nieszczęścia stwórca niezbyt hojnie obdarował ją urodą, za to w swej szczodroblewości nie poskąpił jej rozumu, a jak wiadomo nazbyt rozgarnięte niewiasty uchodzą w zdominowanym przez mężczyzn świecie za niebezpieczne kurioza. Nasza dzielna bohaterka mocno stąpała po ziemi i nie wykazywała skłonności do uzalania się

nad własną niedolą. Dzięki temu dość szybko pogodziła się ze swym losem. Ojciec - rozpustnik i utracjusz - nie zdołał wydać jej za mąż, bo też niespecjalnie o to zabiegał. Gdy skończyła siedemnaście lat, matka chrzestna - lady Prentice - wprowadziła ją do towarzystwa, lecz sezon na salonach nie przyniósł spodziewanych rezultatów, wręcz przeciwnie, zakończył się fiaskiem. Jak to ujęła jej uszczypliwa starsza siostra, Eugenia, cała sprawa okazała się kompletną stratą czasu i pieniędzy. Od początku było bowiem jasne, że Annelise nie pozyska wielu zalotników. Z podobnych powodów Eugenia nawet nie próbowała szukać szczęścia wśród wielkowiejskich elit. Świadoma własnych ograniczeń, poślubiła dobrodusznego wika-rego w Devonshire i odtąd wiodła szczęśliwy żywot żony i matki. Rządziła przy tym niepodzielnie w domu, na plebanii oraz w całej wiosce. Udało się także najmłodszej Kemptonównie. Diana poślubiła zażywnego wdowca z trojgiem dzieci i w niedługim czasie obdarowała małżonka kolejną czwórka pociech.

Annelise nie miała tyle szczęścia. Nikt nie starał się o jej rękę, znalazło się za to wielu, którym nie spodobały się jej bezceremonialność oraz ponadprzeciętny wzrost. Cóż było robić? Została w domu i stała się ponurym świadkiem powolnego upadku rodzica. Przyglądała się bezradnie, jak ojciec przepuszcza resztki majątku i kończy marnie, wypadłszy po pijanemu z siodła.

Po śmierci głowy rodziny lady Prentice po raz kolejny energicznie wkroczyła do akcji. Jednak usilne starania spełzły na niczym. Diana wyraziła wówczas chęć przyjęcia siostry pod swój dach, lecz jej mąż przybrał w owym czasie rozmiary odrażającej ropuchy, a jego rozbisurmanione potomstwo przyprawiało Annelise o ból zębów.

Eugenia również pragnęła ją przygarnąć, ale nie pozwalały na to warunki mieszkaniowe. Plebania była zbyt mała, by pomieścić kolejną domowniczkę. Poza tym obie panie miały tak silne osobowości, że z pewnością nie obyłyby się bez konfliktów. Na dobitkę czcigodna panna Kempton nie mogła w żaden sposób zarobić na swoje utrzymanie, wszelkie dostępne posady-były bowiem przeznaczone dla osób odrobinę niższego stanu. Mogłaby oczywiście zostać damą do towarzystwa lub guwernantką, ale zwyczajnie nie wypadało jej uciekać się do tego rodzaju rozpaczliwych posunięć. Wszakże genealogia Kemptonów sięgała czasów Wielkiej Karty Swobód\*. Przyjmowanie wynagrodzenia za świadczone usługi nie wchodziło zatem w rachubę. Żaden członek rodu nie pozwoliłby sobie na taki dyshonor, choćby przyszło mu z tego powodu cierpieć skrajne ubóstwo.

Zupełnie inaczej przedstawiała się za to kwestia korzystania z cudzej gościny. To rozwiązanie było

**\*Łac. Magna Charta Libertatum lub Magna Carta (ang. *The Great Charter*) - akt wydany w Anglii w 1215 przez króla Jana bez Ziemi. Przywilej/umowa między królem a jego wasalami. Ograniczała władzę monarszą, głównie w dziedzinie skarbowej i sądowej, określała uprawnienia baronów i duchowieństwa oraz zakres swobód klas niższych (przyp. tłum.).**

nie tylko dozwolone, lecz także ze wszech miar wskazane. I tak oto w ciągu ostatnich pięciu lat, które upłynęły od śmierci pana Kemptona, Annelise pomieszkiwała między innymi u hrabiostwa Warwicków. W zamian za wikt i opierunek umiała życie gasnącej pani domu i pilnowała, aby nie docierały do niej wieści o regularnych wiarołomstwach męża. Po rychłym zgonie chlebobdawczyni przeniosła się do domu państwa Meredithów w Yorkshire. Zajmowała się tam zniedołężniałą babuleńką oraz szlifowaniem francuszczyzny najmłodszego pokolenia. Staruszcze jednak, zwyczajem większości staruszek, pilno było zapukać do bram raju. Kiedy odeszła do lepszego świata, a dzieci podrosły, Annelise stała się zbędna. Znow przyszło jej spakować mizerny dobytek i zmienić miejsce pobytu. Tym razem miała się udać do londyńskiej posiadłości pewnego jegomościa o nazwisku Josiah Chipple. Wiedziała o nim jedynie tyle, że jest ojcem zjawiskowo pięknej córki na wydaniu. Lady Prentice, która w imieniu chrześnicy prowadziła negocjacje, sprokurowała na poczekaniu bajeczkę o rzekomej dozgonnej przyjaźni między świętej pamięci matką panny Kempton a babką panny Chipple. Wprawdzie jedna z protoplastek Henrietty byk posługaczką w karczmie, a druga córką chłopa, lecz w obecnych okolicznościach wydawało się to zupełnie nieistotnym szczegółem, o którym nikt nie będzie pamiętał. Czymże jest bowiem tak niewinne kłamstewko w obliczu towarzyskiego debiutu, który niebawem stanie się udziałem nieopierzonej Hetty? Zgraja zalotników rzuci się na niewinne dziewczę niczym stado wygłodniałych wilków na wypasioną owieczkę. Jej młodość i niekwestionowana uroda bez wątpienia zrekompensują potencjalnym konkurentom luki w wychowaniu oraz brak koneksji, choć najważniejszym wabikiem będzie naturalnie niepośledni majątek. Zlecą się do niego jak pszczoły do miodu. Kolejne pokolenie zapomni

o wątpliwym, kupieckim pochodzeniu, fortuna zaś, jeśli o nią zadbać, przetrwa znacznie dłużej.

Miejska rezydencja Chipple'ów nie wywarła na Annelise szczególnie dobrego wrażenia. Budynek był niewątpliwie okazały, lecz urządzone krzykliwie i w złym guście. Na każdym kroku czyhały na przybyłych marmurowe posągi. Trzeba było poruszać się niezwykle ostrożnie, by nie zrzucić któregoś z licznych popiersi na ziemię.

Wprowadzono ją do przestronnej bawialni, której ściany pomalowano na męczący oczy, jaskrawy odcień błękitu. Meble były nowe, wypolerowane na błysk i wyjątkowo niewygodne.

Przysiadłszy na modrej kanapie, wyprostowała sztywno plecy i splotła dłonie na kolanach. Miała ochotę zdjąć okulary, by odpocząć od barokowego wystroju. Nieopatrznie zerknęła w górę, jakby szukała ratunku u wszystkich świętych, pożałowała tego natychmiast, gdy jej wzrok napotkał lichą kopię jednego z fresków włoskich mistrzów malarstwa. Schyliła pospiesznie głowę i spojrzała z westchnieniem na swoje znoszone rękawiczki i wysłużoną szarą spódnicę.

Nie miała w sobie ani odrobiny próżności,

niemniej ze względów czysto praktycznych uważała, że nowa sukienka raz na jakiś czas byłaby nie od rzeczy. Szkopuł w tym, że ponieważ rezydowała w cudzych domach w charakterze gościa, a nie osoby najętej do pracy, nie mogła prosić o nic gospodarzy ani tym bardziej przyjmować od nich podarków. Chrzestna sprawiła jej nową garderobę, tyle że dokonała zakupów tuż po śmierci barona Kemptona. Tym samym skazała chrześnicę na codzienne noszenie ponurych barw żałoby. Czasem zdawało jej się, że wdziewa je od zawsze i że niechybnie dokona w nich żywota.

Przez chwilę sądziła w desperacji, że problem sfatygowanego przyodziewku pomoże jej rozwiązać pochłanianie ogromnej ilości jedzenia. Niestety od dziecka była szczupłą i choć bardzo się starała, nie udało jej się przybrać na wadze. Na jej smukłym ciele nie było ani grama zbędnego tłuszczu, a jeśli już się pojawiał, odkładał się w i bez tego wybujałym biuście. Wydawało się zrozumiałe, że w jej sytuacji akurat ta część anatomii nie powinna zanadto rzucać się w oczy.

Uniosła dłoń i poprawiła na nosie okulary. W zasadzie potrzebowała ich wyłącznie do czytania, postanowiła jednak nosić je na stałe, ponieważ dodawały jej powagi i czuła się w nich bardziej dystyngowanie. Pasowały wprost idealnie do jej pospolitej twarzy i gęstych włosów. Prezentowała się w nich dokładnie tak, jak wypadało się prezentować komuś takiemu jak ona - dobrze wychowanej, nienagannie ułożonej, lecz niepowabnej, niewartej umizgów starej pannie.

Zaczerpnęła głęboko tchu i napięła mięśnie karku. Większość ludzi na jej miejscu zapewne przyjęłaby odrobinę swobodniejszą pozę, ktoś inny być może nawet nieco by się przygarbił. Ktoś inny - lecz nie czcigodna panna Kempton, która szczyła się tym, że nigdy nie pozwalała sobie na zgnuśnienie czy apatię. Siedziała zatem wyprostowana jak struna i czekała. Po jakimś czasie z korytarza dobiegły śmiechy i odgłosy ożywionej rozmowy.

Był późny poranek - dość nietypowa pora na wizyty - niemniej poproszono ją, żeby zjawiła się o tej właśnie godzinie. Jej skromny bagaż zaniesiono do pokoju gościnnego. Teraz pozostawało jedynie poznać gospodarzy i ocenić, jak wiele pracy czeka ją z młodą dziedziczką.

Z początku zazwyczaj bywało niezręcznie. Rodziny, które udzielały jej schronienia, nie bardzo wiedziały, jak ją traktować. Czasem przydzielano jej całkiem przyzwoite lokum, zdarzało się jednak, że umieszczano ją w izdebce niewiele lepszej niż służbówka.

Przypatrzwszy się wnikliwie wnętrzu rezydencji Chipple'ów, doszła do wniosku, że wolałaby zamieszkać w skromnym pomieszczeniu dla służby. Upodobanie właściciela do intensywnych kolorów na dłuższą metę mogło okazać się nie do zniesienia.

Najważniejsze, aby nie kazano jej dzielić z nikim łóżka. Nie wyobrażała sobie sypiania w jednej pościeli z zupełnie obcą osobą, zwłaszcza że znakomita większość bliźnich nie podzielała jej zamiłowania do częstych kąpiei.



Gdzieś nieopodal rozbrzmiał raptem niski, uwodzicielski głos mężczyzny, który z pewnością nie należał do pana Chipple'a... Niebawem zawtórowały mu niestosowny chichot panny Hetty oraz rubaszne pohukiwania jej ojca. Pan Josiah Chipple był bogaty jak Krezus, lecz jego gminne pochodzenie dobitnie dawało o sobie znać wtedy, gdy otwierał usta, aby się wypowiedzieć. Ciekawe, czy będzie musiała zajmować się poprawianiem niedostatków mowy zarówno córki, jak i ojca? Naturalnie była przygotowana na taką ewentualność, ale to jeszcze nie znaczy, że musiało jej się to podobać. Nic to. Będzie się uśmiechała, a w razie potrzeby robiła dobrą minę do złej gry. Dopóki nikt nie zalezie jej zanadto za skórę, dopóty nie będzie komplikacji. Będzie milutka jak do rany przyłóż. Potem majątna panna Chipple wyjdzie szczęśliwie za mąż, a czcigodna panna Kempton ruszy w kolejną wyprawę w poszukiwaniu życiowej przystani.

Z wiekiem staję się nieprzyzwoicie ckliwa, stwierdziła z niesmakiem, próbując odpędzić ponure myśli. Nie powinna narzekać. Ostatecznie jest w Londynie - ponoć najbardziej fascynującym mieście na świecie. Będzie jej tu jak u Pana Boga za piecem, ciepło, przytulnie i wygodnie. Będą ją dobrze karmić i pozwolą jej umilać sobie wolne chwile czytaniem książek, których z pewnością znajdzie się w tym domu pod dostatkiem...

Ktoś zatrzasnął frontowe drzwi i zaczął zbliżać się ciężkim krokiem do salonu. Annelise spodziewała się, że za moment usłyszy przeraźliwy odgłos rozbijających się o posadzkę marmurowych figur. Zamiast tego rozległy się przytłumione szepty.

- Dlaczego każesz mi się na to godzić, papciu? - zapytała płacząco Hetty.

Jej głos był dość miły, choć w tej chwili brzmiał nieco żałośnie. Miała ponadklasową dykcję panny z dobrego domu, a więc nie była głucha jak pień. Chwała Bogu, przynajmniej nie będzie z nią zbyt wiele roboty. Gorzej z jazgotliwym skrzekiem pana Chipple'a. Wymowa pozostawiała wiele do życzenia. W każdym razie daleko jej było do subtelnych dźwięków, którymi posługują się na co dzień arystokraci.

- Zrobisz to, bo ci każę, i tyle - zagrział autorytatywnie pan Josiah. - Nie sprzeciwiaj mi się, dziecko, bo nie mam głowy do babskich fanaberii. Niedługo zaczniesz nowe życie, świetniejsze niż do tej pory. Musisz poznać takie tam... rozmaite sztuczki i chwytły, które wielcy państwo stosują w towarzystwie. Taki stary wilk morski jak ja nie zna się na jaśniepańskim wydziwianiu. Chcę dla ciebie jak najlepiej, kruszyno, i gotów jestem słono za to zapłacić. Poza tym panna Kempton robi to z dobroci serca.

- Akurat! - zadrwiła Hetty.

- Dobrze sobie! - Annelise wstała, aby przyjrzeć się nowej podopiecznej.

Określenie panny Chipple mianem „czarującej młodej damy” byłoby rażącym niedopowiedzeniem. Jej widok wprost zapierał dech w piersiach. Była zniewalająco piękna od złocistych loków po drobne stopki. Kiedy się uśmiechnęła, odsłoniła

dwa rzędy równiutkich, białych zębów. Miała wąską talię, dorodne piersi i bystre modre oczy. Kochający papa bez wątpienia dobrał odcień farby na ścianach do koloru źrenic ubóstwianej córki. Hetty weszła do pokoju z naturalną gracją, która sprawiła, że panna Kempton poczuła się ociężała i niezgrabna.

Josiah Chipple wyglądał tak, jak Annelise go sobie wyobrażała. Był prostodusznym jegomościem w średnim wieku, odzianym w surowy, lecz dobrze skrojony brązowy surdut. Miał duże nieporadne dłonie, co najmniej raz złamany nos, krzaczaste brwi i ostro zarysowany podbródek.

- Droga panno Kempton! - odezwał się wylewnie ze swym wyrazistym północno-wschodnim akcentem. - Czyni pani wielki zaszczyt naszemu skromnemu domostwu. Zechce nam pani wybaczyć, że kazaliśmy na siebie czekać, mimo że tak łaskawie przyjęła pani nasze zaproszenie. Mieliśmy niespodziewanego gościa...

- Złożył nam wizytę mój przyszły mąż - wtrąciła rezolutnie Hetty.

Ojciec rzucił jej karcące spojrzenie.

- Co nagle to po diable, złotko. Poczekaj trochę, a będziesz mogła przebierać w najlepszych kawalerach jak w ulęgałkach. To niemądrze wskakiwać na pierwszego lepszego ogiera, który pojawi się na pastwisku.

- Wcale nie jest pierwszy - obstawała przy swoim - ale za to najpiękniejszy ze wszystkich.

- To się jeszcze zobaczy, żabciu. Sezon dopiero się rozpoczął. Zaprowadź pannę Kempton do jej pokojów. Z pewnością jest zmęczona po podróży.

- Przybywam z rezydencji matki chrzestnej - oznajmiła układnie Annelise. - Z Kensington nieopodal stąd. Jestem ogromnie rada, że mogę pana poznać, panie Chipple. - Skoro sam nie pamięta, że jako gospodarz winien czynić honory, należy delikatnie mu o tym przypomnieć i sprowadzić go na właściwą drogę. - Cieszę się, że postanowił pan ugościć mnie w swoich progach. A pani, jak sądzę, jest panną Hetty, nieprawdaż?
- A kimże innym miałabym być?
- Jest pani przeurocza; ale niebawem będzie pani miała sposobność się przekonać, że w wytwornym towarzystwie właściwa prezentacja jest niesłychanie istotna. Nudna i czasochłonna, lecz nieodzowna, proszę mi wierzyć.
- A widzisz, słonko? - Rozpromienił się pan Josiah kompletnie niespeszony własnym brakiem taktu. - Mówiłem, że potrzebujesz rady w tym względzie. Panna Kempton jest tu właśnie po to, żeby ci jej udzielić. To oczywiste, że powinienem był nas przedstawić. Tak... a zatem, dziewczęta, może pójdziecie na górę? Jestem przekonany, że macie ze sobą wiele wspólnego. Na pewno prędko przypadniecie sobie do serca.
- „Dziewczęta” dzieliło trzynaście lat, prawdziwa przepaść w przypadku różnicy wieku. Łączyły je zaś prawdopodobnie jedynie ta sama płeć oraz narodowość.
- Z przyjemnością się odświeżę, za pozwoleniem - powiedziała panna Kempton.

- Ale... właśnie miałam wybrać się do parku na przejażdżkę - zaprotestowała panna Chipple.
- Ależ skarbie, możesz to zrobić potem. Panna Kempton chętnie do ciebie dołączy, prawda?
- Przykro mi, ale nie jeżdżę konno - poinformowała Annelise. W rzeczywistości uwielbiała konie, nawet karego rumaka, z którego spadł ojciec. Niemniej od chwili owego tragicznego wypadku nie siedziała i nie zamierzała siadać w siodle.
- Nie jeździ pani? - powtórzył z niedowierzaniem gospodarz. - W takim razie trzeba będzie panią nauczyć. Dopilnujemy tego, prawda, córciu?
- Nie widzę takiej potrzeby. Ona nie zabawi aż tak długo. Poza tym mogę jeździć pod opieką któregoś ze stajennych.

Jawne grubiaństwo, pomyślała panna Kempton, nie pasuje do ślicznej buzi.

- Doceniam pańskie dobre chęci, ale lękam się koni. Nigdy nie zdołałam przezwyciężyć strachu przed zwierzętami. - Było to wierutne kłamstwo, ale o tym nie musieli wiedzieć. - Pańska córka i ja możemy wybrać się później na spacer. Tymczasem byłabym zachwycona, gdybyśmy mogły się nieco lepiej poznać.

Chipple'ówna otwierała właśnie usta, aby się sprzeciwić, lecz ojciec nie dopuścił jej do głosu.

- Idź na górę z panną Kempton. Bez dyskusji, proszę - polecił tonem, który zmroził je obie. Hetty widać miała dość rozumu, by nie oponować. Wymaszerowała demonstracyjnie z pokoju.

Nie zadała sobie trudu, aby się obejrzeć i sprawdzić, czy jej gość idzie za nią.

- Nieznośna z niej trzpiotka - stwierdził z czułością pan Josiah. - Ale to dobre dziecko. Jestem pewien, że rychło się zaprzyjaźnicie.

- Oby miał pan rację - odparła z westchnieniem Annelise i ruszyła za nieokrzesaną dzierlatką. Wielka szkoda, że jestem zbyt dobrze urodzona, aby móc zarabiać na utrzymanie, pomyślała, pokonując marmurowe stopnie. Hetty czekała na nią na półpiętrze. Sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę zrzucić ją na dół. Niech tylko spróbuje, a polecą razem ze mną, odgrażała się w duchu Annelise. Dotarwszy na górę, posłała pannicy lodowaty uśmiech. Czuła się przy niej jak niezdarny olbrzym. Była wyższa więcej niż o głowę.

Panna Chipple podniosła na nią błękitne oczęta.

- Rety, ależ pani jest wielka...

Nieźle sobie poczyną. Doskonale wyczuła, gdzie wbić ostrze. Niewiele osób domyślało się, że Annelise ma kompleksy na punkcie wzrostu, a ta mała od razu i bezbłędnie namierzyła jej czuły punkt. Trzeba będzie wziąć ją w ryzy.

- Istotnie, jestem wysoka - skwitowała z niezmaconym spokojem. - Ufam jednak, że w przyszłości powstrzyma się pani od wygłaszania tego typu uwag pod adresem obcych. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest pani szczególnie uszczęśliwiona moją obecnością i że na każdym kroku zamierza pani dawać wyraz swemu niezadowoleniu. Radzę jednak dobrze sobie zapamiętać, że w wytwornym towarzystwie nie wypada kome-

tować cudzej powierzchowności. Należy zachowywać się uprzejmie, ewentualnie prawić innym subtelne komplementy.

- Dla pani nie muszę być uprzejma. Jest pani zwykłą służącą. Zapłaciliśmy za pani usługi.

- Myli się pani. Ludzie z moich sfer nie pracują zarobkowo. Zgodziłam się przybyć do tego domu na prośbę matki chrzestnej, lady Prentice. To jej wyświadczam przysługę, a swoje zadanie traktuję jak akt miłosierdzia wobec nieobytej smarkuli.

Hetty obrzuciła ją wrogim spojrzeniem.

- Jak śmiesz, ty...! - syknęła oburzona.

- Miarkuj się, drogie dziecko. Najwyraźniej nie wiesz, z kim masz do czynienia. Jestem córką barona i wnuczką hrabiego. Nazwisko mojego rodu zostało uwidocznione w „Księdze dnia sądu ostatecznego”\*, na długo zanim którykolwiek z twoich przodków nauczył się czytać. Zważaj zatem na słowa. Twój ojciec nie będzie zachwycony, kiedy się dowie, że mnie obraziłaś. Niemało się natrudził, by zaaranżować tę wizytę.

Pannie Chipple zadrżały wargi. Zanosiło się na to, że za moment się rozpłacze. Annelise przypomniała sobie, że ma do czynienia z krnąbrną, lecz wbrew pozorom niezbyt pewną siebie siedemnastolatką.

- *Pax* - powiedziała pojednawczo. - Zamierzam ci jedynie pomóc. Ojciec chce cię wydać za kogoś godnego twojej ręki. Bez trudu znajdziemy Ci konkurenta z tytułem. Masz co najmniej dwa ogromne atuty. Odziedziczysz oszałamiającą fortunę i naturalnie jesteś bardzo ładna, ale o tym z pewnością nie ma potrzeby ci przypominać.

- Ładna?! - wrzasnęła Hetty. - Nie jestem ładna, jestem piękna! Najpiękniejsza w stolicy, kto wie, może nawet w całej Anglii! Piękniejsza nawet od sióstr Gunning \*!
- Bez obaw, nie musisz być od nich piękniejsza. W przeciwieństwie do ciebie nie dysponowały posagiem, który skłoniłby dobrze urodzonego zalotnika do oświadczeń. Tobie wystarczy jedynie odrobina ogłady.
- Nie potrzebuję ogłady!
- Czyżby? Nawet diament należy oszlifować, żeby błyszczał pełnią blasku. Zajmiemy się tym
- **Rodzina Gunningów wywodziła się z ubogiego irlandzkiego ziemiaństwa. W 1731 roku John Barnaby Gunning poślubił czcigodną pannę Bridget Bourke, córkę wicehrabiego Mayo. Ich dwie starsze córki Maria (1733-1760) i Elizabeth (1734-1790) słynęły z urody. Ze względu na kłopoty finansowe rodziny i brak perspektyw na korzystne zamążpójście matka namówiła je do zarabiania na życie aktorstwem. Występowały na scenie w Londynie. Młodsza z sióstr poślubiła arystokratę, hrabiego Hamiltona, a po jego śmierci hrabiego Agryll. W 1776 król Jerzy III, zagorzały wielbiciel hrabiny, nadał jej niezależny tytuł baronowej Hamilton (przyp. tłum.).**



bez chwili zwłoki. Zaprowadź mnie do pokoju. Przy okazji opowiesz mi o młodym człowieku, który złożył ci dziś wizytę. Nie wątpię, że wszyscy jak jeden mąż padają do twoich stóp, ale pamiętaj, nie spiesz się z wyborem. Twój wybranek nie musi być bogaty, najważniejsze, by miał tytuł i prawy charakter.

- Jestem już zdecydowana - oświadczyła z przekonaniem Henrietta. - Dokonałam wyboru i nikt mnie nie przekona, bym zmieniła zdanie.

Zapewne o to klóciła się wcześniej z ojcem, stwierdziła w duchu panna Kempton.

- Czy ów dżentelmen wyjawiał swoje zamiary?

- Jego zamiary są oczywiste. Sama pani powiedziała, że mężczyźni padają mi do stóp. Mogę poślubić, kogo zechcę, a chcę właśnie jego.

- A kimże, jeśli wolno spytać, jest ów wzór cnót, który podbił twoje serce?

Ruszyły szerokim korytarzem i weszły do jednej z sypialni.

- Wicehrabią. Właściwie dopiero nim zostanie. Odziedziczy tytuł po śmierci wuja. Nie ma co prawda grosza przy duszy, ale często wygrywa w karty. Zresztą, moich pieniędzy starczy z nawiązką dla nas dwojga.

- W rzeczy samej.

- Poza tym jest absolutnie, niewiarygodnie przystojny! Zasługuję na urodziwego męża, nieprawdaż?

- A jakże. Nie ma powodu, abyś związała się z jakimś pokraką. - Annelise zastanawiała się, w jaki sposób uświadomić młódce, że ci najładniejsi czasem nie gustują w kobietach.

- I dlatego wyjdę właśnie za niego.

- Za kogo?

- Za Christiana Montcalma.

Gdyby czcigodna panna Kempton miała zwyczaj mdleć na zawołanie, na te słowa niechybnie padłaby jak kłoda na podłogę. Na szczęście nie zdarzyło jej się to nigdy w życiu. Pociągnęła więc hardą podopieczną w głąb pokoju i zatrzasnęła drzwi.

- Wykluczone - oznajmiła nieugięcie.

## Rozdział drugi

- Słucham? - odparła oziębłe Hetty. - Raczy pani żartować, prawda?
- Bynajmniej. Christian Montcalm nie nadaje się dla tak niewinnego dziewczęcia jak ty. Ten człowiek ma fatalną reputację. Owszem, jest bardzo przystojny, nie przeczę, widziałam go kiedyś, ale to darmozjad, szuler, uwodziciel, Bóg jeden wie co jeszcze. Nawet jeśli zaledwie połowa tego, co o nim powiadają, jest prawdą, lepiej byś zginęła marnie, niż została żoną tego potwora.
- Niech pani nie będzie śmieszna. Żaden z niego potwór. Jest uroczy.
- W tym cały kłopot - skonstatowała ponuro Annelise. - Nieodparty wdzięk to jedynie poza. Mami nią pożałowania godnych bliźnich, którzy, widząc urodziwą twarz, wierzą w swej naiwności w szlachetne intencje jej właściciela.
- Co on pani zrobił?
- Zupełnie nic. Nigdy nie byliśmy sobie przedstawieni i mam nadzieję, że tak pozostanie. Pan Montcalm obraca się w zupełnie innych kręgach niż te, do których aspiruje twój ojciec. Dziwię się, że pan Chipple w ogóle zdecydował się zawrzeć z nim znajomość.

- Papa naturalnie się sprzeciwia - wyjaśniła beztrąsko Hetty, rzuciwszy się na przykryte adamaszkową kapą łóżko. - Twierdzi, że nie da nam zgody na małżeństwo, ale jestem jego jedynym dzieckiem i chce, żebym była szczęśliwa, a ja mam swoje sposoby, aby go przekonać. Po ślubie z Montcalmem zostanę wiehrabiną, wprawdzie to nie to samo co hrabina, ale większość hrabin, które widziałam, była stara i brzydka. Poza tym przypuszczam, że Christian nie jest wcale taki zły, tylko potrzebuje miłości zacnej kobiety.

- Ha! - zaśmiała się szyderczo Annelise. - Obawiam się, że pan Montcalm wielokrotnie wykorzystywał romantyczne uczucia poczciwych niewiast, po czym porzucał je na pastwę losu. Jestem pewna, że znajdziesz sobie kogoś równie przystojnego, a zarazem znacznie mniej niebezpiecznego.

Nie zdążyła ugryźć się w język. Dla podatnej na wpływy, upartej młodej panny niebezpieczeństwo to jedynie dodatkowa zachęta. Hetty Chipple nie wyglądała na dziewczę, które zamierza słuchać głosu zdrowego rozsądku.

- Zapewne ma pani rację - powiedziała z westchnieniem.

Annelise nie dała się zwieść.

- Pozwoli pani, że ją zostawię. Na pewno chce

się pani odświeżyć. Mnie samej także przyda się odrobina odpoczynku. Muszę wyglądać wieczorem jak bóstwo.

- Masz na myśli dzisiejszy wieczór?

- Tak, wybieramy się do lady Bellwhite. Ma piękny dom. Myślę, że się pani spodoba.

- Podziwiałam jej ogrody. Jestem przekonana, że w twoim towarzystwie docenię ich piękno jeszcze bardziej.

- Ja również, panno Kempton - odparła ze słodkim uśmiechem Hetty, choć pomyślała co innego.

Annelise odczekała, aż zamkną się za nią drzwi, i usiadła na łóżku. Zdejmując kapelusz, zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Cóż za przygnębiający widok, stwierdziła smętnie, a zwłaszcza w porównaniu z idealnymi rysami jej podopiecznej. Los mógł się obejść z nią nieco łaskawiej. Szkopuł w tym, że los był wówczas zajęty czym innym. Dał jej długie nogi oraz ramiona, długą szyję i pociągłą twarz. Już w dzieciństwie fizyczne atrybuty stały się dla niej powodem odwiecznej zgrzyoty. Miała wprawdzie ładne szare oczy, ale zazwyczaj przesłaniały je okulary. Włosy, których koloru nie dało się w żaden sposób określić, upinała w ciasny węzeł na karku głównie po to, aby nikt nie zwracał na nie uwagi. W zasadzie były rudobrązowe, ale tu i ówdzie przetykały je jasne pasma. Swego czasu próbowała ukrywać je pod koronkowymi czepkami, które miały także tę zaletę, że podkreślały status staropanieństwa. Zaprzestała jednak ich noszenia, ponieważ nieustannie opadały jej na oczy. Pozostała przy bezkształtnych sukniach skutecznie maskujących wąską talię i okazały biust.

Nie chciała zwracać na siebie niczyjej uwagi. Wiedziona impulsem, podniosła się i podeszła do okna. Wyjrzała na zewnątrz w samą porę, aby ujrzeć znikającą w zaroślach Hetty. Wypadła na korytarz, tak jak stała, bez nakrycia głowy i płaszcza. Zbiegła po schodach i nie tracąc czasu na wyjaśnienia, pociągnęła za sobą pierwszą napotkaną pokojówkę. Na szczęście nie natknęła się po drodze na gospodarza. Nie zatrudnił jej jako przyzwoitki, mimo to poczucie obowiązku kazało jej interweniować. Dopóki mieszka w tym domu, dopóty nie pozwoli, by jego nieznośna córka biegała samopas po parku. Trzeba działać szybko i zdecydowanie. Annelise przyspieszyła kroku. Dogoniła uciekinierkę, gdy ta przeciskała się przez wyrwę w żywopłocie. Bez namysłu wyciągnęła rękę i schwyciła ją za spódnicę. Hetty była tak zaskoczona, że zdołała jedynie cichutko pisnąć. Wkrótce zorientowała się, kto jej dopadł.

- Puść mnie, ty wiedzmo! - zawołała rozeźlona. Wysoki wzrost czasem na coś się przydawał. Annelise obróciła pannicę dookoła i popchnęła ją bez ceremonii w stronę oszołomionej służącej.

- Marsz do domu! - poleciała tonem nieznośnym sprzeciwu. - Jeśli pójdziesz po dobroci, może nie powiem twojemu ojcu, że postanowiłaś zniweczyć jego misterne plany.

Chipple'ównę wyraźnie kusiło, żeby wyrazić stanowczy sprzeciw, otworzyła nawet usta, ale natychmiast je zamknęła.

- Nigdy ci tego nie daruję, stara jędzo! - wykrzyknęła zapalczywie i puściła się biegiem wzdłuż alei. Pokojówka popędziła za nią.

Panna Kempton nie miała nic przeciwko wyzwaniom, ale coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że matka chrzestna powinna była ją ostrzec. Nie przypuszczała, że przyjdzie jej pilnować takiej rozpuszczonej pannicy. Być może będzie musiała podzielić się swymi obawami z panem Chipple'em, najpierw jednak postara się wybić dziewczynie z głowy to niedorzecznie zauroczenie. Ojciec Henrietty zapewne niczego się nie domyśla, ponieważ nie obraca się w tym samym towarzystwie, co Montcalm. Skąd miałby wiedzieć, że człowiek, który stara się o jego córkę, to perfidny...

- Czy panna Chipple została przemocą odesłana do papy? - rozległ się raptem ten sam głos, który słyszała wcześniej na korytarzu.

Zatrzymała się w pół kroku. Miała dwie możliwości: zignorować zaczepkę i odejść, nie obejrzawszy się za siebie, lub stawić czoło sprawcy całego ambarasu i pokazać mu, gdzie jego miejsce. Nie należała do osób przesadnie bojaźliwych, a teraz przecież nie stanie oko w oko z przeraźliwą Gorgoną \*. Zaczepnęła głęboko tchu i obróciła się w stronę Montcalma, a gdy na niego spojrzała,

**• Gorgony - groźne siostry z mitologii greckiej. Przedstawiane jako postacie o przerażającym wyglądzie; skrzydlate, ze szponami, ostrymi kłami oraz włosami w postaci jadowitych węży. Najgroźniejszą z sióstr była Meduza, której spojrzenie zamieniało patrzącego w kamień (przyp. tłum.).**

zamarła niczym jedna z marmurowych figur pana Chipple'a.

Nie miała dotąd okazji oglądać go z bliska, widywała go jedynie na przyjęciach. Czasem przyglądała mu się z drugiego końca zatłoczonej sali i wsłuchiwała się w podniecone szepty dam, które zabawiał tańcem lub rozmową. On naturalnie nie miał pojęcia o jej istnieniu. Nie zwracał uwagi na wątpliwej urody panny, które pojawiają się na balach głównie po to, aby podpierać ściany.

Okazał się wprost olśniewający. Ciemne włosy opadały mu na czoło. W niespotykane zielonych źrenicach dostrzegła błyskrozbawienia, a usta... Nic dziwnego, że potrafi uwieść każdą kobietę. Ani chybi namówiłby do grzechu i świętą. W dodatku sporo ją przewyższa. To niebywałe, lecz poczuła się przy nim krucha i delikatna. Piękny i niebezpieczny... To tylko miła powierzchowność, nic więcej, tłumaczyła sobie w duchu. Gdy w końcu wydobyła z siebie głos, zabrzmiał chłodno.

- Owszem, to była panna Chipple. Nie uchodzi, aby młoda dama spotykała się z dżentelmenem bez przyzwoitki, choć pozwolę sobie zauważyć, że prawdziwy dżentelmen nie zaproponowałby kobiecie potajemnej schadzki w parku.

Kąśliwa uwaga nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

- Wolno spytać, dlaczego to panią obchodzi? Hetty nie wspominała o czarownicy, która śledzi każdy jej krok. Gdyby mnie o tym uprzedziła, postarałbym się o dyskrecję.

- Dyskrecję? Przypuszczam, że to pojęcie jest



panu obce. Jestem przyjaciółką rodziny - dodała gwoli wyjaśnienia. - Mam towarzyszyć pannie Henriecie podczas jej debiutu na salonach.

- Nie wydaje mi się - stwierdził sceptycznie, przechylając głowę, by lepiej jej się przyjrzeć.

-Chipple'owie nie poznali dotychczas wielu dobrze urodzonych osób, a pani z całą pewnością nie należy do ich świata. Nie jest też pani guwernantką, do tego trzeba być odrobinę potulniej-szą. Zgaduję, że pochodzi pani z szanowanego domu, lecz pani ród ostatnio podupadł i znalazła się pani w trudnym położeniu. Chętnie się dowiem, w jakim właściwie występuje pani charakterze.

- Zaraz to panu wyjaśnię. Otóż zamierzam pokrzyżować pańskie zamiary względem panny Chipple. Proponuję, aby oszczędził pan wszystkim zachodu i zawczasu porzucił swoje plany. Radzę spróbować szczęścia gdzie indziej.

Skwitował jej wypowiedź wybuchem śmiechu i Annelise, ku swemu wielkiemu niezadowoleniu, doszła do wniosku, że podoba jej się w nim w zasadzie wszystko.

- Zabrzmiało to jak wyzwanie, a jak pani wiadomo, dżentelmen nigdy nie poddaje się bez walki.

- Ustaliliśmy już, że nie jest pan dżentelmenem, czyż nie?

Przyjął tę obelgę bez mrugnięcia okiem.

- Gdyby była pani mężczyzną, musiałbym panią zabić za taki afront.

- Pozostaje mi dziękować Bogu, że wbrew temu co o panu powiadają, wyznaje pan jednak jakieś zasady. Żegnam, panie Montcalm.

Nagle zza krzaków wyłonił się smukły mężczyzna z zaczesanymi na bok włosami i zbliżył się nieco chwiejnym krokiem. Wyglądał jak ktoś, kto od rana nadmiernie raczył się alkoholem.

- A cóż to znowu za tyczka, Christian? - zapytał zaskoczony. - Gdzie się podziała twoja ślicznotka? Zamierzałem stanąć na czatach, ale zmarzłem jak diabli. Chętnie wszedłbym do jakiejś gospody i gołnął coś na rozgrzewkę.

- Idź przodem, Crosby - odparł Montcalm, nie spuszczając wzroku z Annelise. - Dołączę do ciebie później. Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

- Chyba nie z tą tutaj? Odpuść sobie, bracie, jeśli ci życie miłe. To istna smoczyca, kobieta zupełnie nie w twoim typie. W dodatku podstarzała.

- Jestem otwarty na wszelkie możliwości. Zresztą nie jest wcale taka stara, a gdyby udało mi się ją namówić, żeby zdjęła okulary, mogłoby być całkiem przyjemnie.

- Nie zdołasz zajrzeć jej pod spódnicę. Znam ten typ. Jest oschła i sztywna, jakby połknęła kij. Annelise miała ich obu serdecznie dość. Nie zamierzała wysłuchiwać dalszych obelg pod swoim adresem.

- Żegnam panów-odezwała się oziębło.-Rzadko spotyka się takich nadzwyczaj wytwornych dżentelmenów - dodała, akcentując przesadnie ostatnie słowo.

Crosby nie wychwycił ironii, natomiast Montcalm zachichotał, po czym powiedział:

- Może pani być pewna, że wkrótce znów się spotkamy... smoczyco.

Nie wiedzieć czemu w jego ustach to określenie nie wydawało się ani trochę obraźliwe.

Przeciwnie, zabrzmiało raczej jak pieszczota.

- Szczerze wątpię.

Annelise okręciła się na pięcie i odmaszerowała z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi ramionami. Prawdę mówiąc, wiele ją kosztowało, aby w taki ziąb zachować godność bez płaszcza i kapelusza. Nie obejrzała się ani razu, bo i po co? Na pewno się z niej naśmiewają. Nie zamierzała uciekać. Za nic w świecie nie da po sobie poznać, że po raz pierwszy od kilku lat jest bliska łez.

- Podlec, łajdak, szuja i ostatnia kanalia - wymamrotała pod nosem i natychmiast przeszła jej ochota na płacz. Następnym razem będzie lepiej przygotowana. Już ona mu pokaże! Ma się rozumieć jeśli jeszcze kiedykolwiek go zobaczy. Poprzysięgła sobie dołożyć wszelkich starań, aby do tego nie doszło.

- Któż to był, do diaska? - zainteresował się żywo Crosby. - Ponoć miałeś się tu spotkać z dziedziczką?

Christian zerknął na podpitego przyjaciela. Z pewnością nie mógł uchodzić za niezawodnego kompana, ale też Montcalm z zasady nie zadawał się z ludźmi godnymi zaufania.

- Owszem, miałem, tyle że stanęła mi na drodze zionąca ogniem smoczyca. Nie martw się. Będą inne okazje.

- To ty powinieneś się martwić. Jeśli szybko się nie wzbogacisz, rychło utoniesz w długach.

- Nonsens. Nie zapominaj, że gram dzisiaj w karty. Zbiorę akurat tyle, ile mi trzeba na doraźne wydatki. Do wesela starczy z nawiązką.

- Nie możesz liczyć wyłącznie na hazard. Co będzie, jeśli fortuna przestanie ci sprzyjać? Pomyślałeś o tym?

- Bez obaw. - Christian uśmiechnął się. Nie zamierzał wyjawiać, że szczęście praktycznie go nie opuszcza z tego prostego powodu, że jako człowiek pozbawiony skrupułów znał i z powodzeniem stosował wiele sztuczek, które pozwalały mu zapewnić sobie wygraną. - Nie przewiduję żadnych kłopotów - dodał.

Popatrzył za majaczącą w oddali kobiecą sylwetką. Okazała się o wiele bardziej zajmująca niż piękność, którą wybrał sobie na żonę. Rozmowy z Hetty upływały głównie na prawieniu jej coraz to nowych wymyślnych komplementów. Smarkuła domagała się, aby na każdym kroku wychwalać jej niezrównaną urodę. Było to niesłuchanie nużące.

Tak, smoczyca jest zdecydowanie ciekawsza; wprawdzie nie najmłodsza, ale za to nad wyraz interesująca. Zresztą miewał znacznie starsze od niej kochanki i bawił się przy nich znakomicie. Nie może liczyć sobie więcej niż trzydzieści lat, a to oznacza, że jest młodsza od niego. Uznał to za zabawne, zwłaszcza że przemawiała do niego jak stetryczala ciotka do niesforne go siostrzeńca. Zostawi ją w spokoju. Przynajmniej na razie. Teraz liczy się przede wszystkim śliczna Hetty i jej

majątek. Panna Chipple sprawia wrażenie nieco krnąbrnej, ale i temu da się zaradzić. Był przekonany, że zdoła nad nią zapanować. Znał na to mnóstwo sposobów. Cieleśne uciechy mają ogromny wpływ na niedoświadczone dziewice. Kiedy młodej żonce znudzi się wypełnianie małżeńskich obowiązków - a znudzi jej się na pewno, jak wszystkim - wtedy będzie mógł pogłębić znajomość ze smoczyką. Zaskarwienie sobie jej łask będzie trudnym zadaniem, ale lubił wyzwania, dzięki nim życie nabierało blasku.

- Pójdziemy rozegrać kilka partyjek, Crosby - zwrócił się do kompana. - Co ty na to? Potem wpadniemy do lady Bellwhite. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Chciałbym jak najszybciej dokonać podboju.

- Dziedziczki czy smoczycy?

- Jak dobrze mnie znasz, Crosby?

- Sugerujesz, że nie dość dobrze?

- Przeciwnie, mój drogi. Wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że jestem nade wszystko pragmatykiem. Panna Chipple zostanie niebawem przyszłą wicehrabiną Montcalm. Jeśli przy okazji zdobywania jej ręki uda mi się zdeprawować smoczykę, tym lepiej.

- Jesteś niezrównany, Christian - stwierdził żarliwie Pennington. - Inspirujesz mnie.

- Zawsze do usług - odparł Christian.

## Rozdział trzeci

Niemiełe spotkanie w parku wprawiło pannę Kempton.w fatalny nastój. Ze zrozumiałych względów wieczorek u lady Bellwhite nie napawał jej entuzjazmem. Po powrocie do domu stwierdziła, że Hetty zniknęła. Nie mogła też odnaleźć pokojówki. Obie przepadły jak kamień w wodę. Trudno, nie zamierzała o nie wypytywać. Wystarczy jej wrażeń jak na jedno przedpołudnie. Pomysł, by Annelise zamieszkała u Chipple'ów, nie przypadł zbytnio do gustu lady Prentice. Jak widać, nie bez przyczyny.

- Nie podoba mi się, że muszę wyprawić cię do domu zwykłego kupca - wyznała swego czasu matka chrzestna. - Mam nadzieję, że pieniądze gospodarza osłodzą ci nieco pobyt pod jego dachem. Pan Josiah na pierwszy rzut oka wydaje się dość sympatyczny. Jego córka jest źle wychowana i zuchwała, ale ufam, że sobie z nią

poradzisz. Jeśli wydasz ją za mąż po myśli ojca, pan Chipple będzie miał wobec ciebie dług wdzięczności, a trzeba ci wiedzieć, że słynie z hojności wobec tych, którzy mu się przysłużyli. -Gdyby udało ci się uczynić z jego jedynaczki damę z tytułem, kto wie, być może mogłabym go przekonać, aby zapewnił ci niewielki dochód. Dla niego to błahostka. Nawet nie odczuje wydatku. Naturalnie nie ma mowy o tym, abyś zamieszkała w Londynie, utrzymanie jest tu zbyt drogie, ale przecież zawsze mówiłaś, że lubisz wieś. Na pewno znalazłby dla ciebie jakiś mały domek w jednej ze swoich licznych włości. - Potrząsnęła smętnie głową. - Bóg mi świadkiem, chciałabym cię zatrzymać przy sobie, ale sama ledwo wiązę koniec z końcem. Ech, ci mężczyźni. Zostawiają nas, biedne kobiety, na pastwę losu... Gdyby żył, twego ojca należałoby porządnie wychłostać.

- Nie zaprzeczę. - Annelise nie zadała sobie trudu, aby bronić zmarłego rodzica. Kochała go z całej duszy, lecz nie znajdowała żadnego usprawiedliwienia dla skandalicznych postępów, które doprowadziły go do przedwczesnej śmierci. -Nie zamierzam też liczyć na zbyt wiele. Nie wiadomo, czy zdołam pomóc panu Chipple'owi w spełnieniu jego rodzicielskich ambicji. - Och, jestem pewna, że podołasz temu zadaniu bez trudu. Nie znam losów matki Henrietty, jedno nie ulega wszakże wątpliwości: to dziewczę od bardzo dawna nie zaznało kobiecej opieki. Możesz wypełnić tę pustkę, wprowadzić oboje w tajniki obyczajów panujących w wytwornym towarzystwie. A jeśli wszystko ułoży się po mojej myśli, być może skończysz jako pani Chipple. Naturalnie chciałabym dla ciebie lepszego męża, ale bogactwo pana Josiaha

wynagrodzi ci wszelkie inne niedostatki.

- Nie zamierzam wyjść za mąż - oznajmiła stanowczo panna Kempton. - Nie obchodzi mnie, ile pan Chipple ma pieniędzy.

- Krążą słuchy, że niedługo otrzyma tytuł. Z jego fortuną wiele można kupić, nawet względy monarchii.

- Dziękuję, ale nie jestem zainteresowana.

- Jak uważasz, moja droga. To tylko pomysł, niemniej sędzę, że powinnaś wziąć go pod rozważenie.

Przypomniawszy sobie tę rozmowę, Annelise omal nie uległa pokusie, żeby spakować walizkę i czym prędzej się ulotnić. Za żadne skarby świata nie chciałyby zostać żoną pana Chipple'a, a Hetty okazała się nieznośną, rozpieszczoną i nieusłuchaną jedynaczką. Co do burzliwego spotkania z Montcalmem... Wolałyby więcej go nie oglądać, wiedziała jednak, że w praktyce to zupełnie nierealne. Sumienie nie pozwalało jej zostawić panny Chipple na pastwę losu. Łajdacy jego pokroju potrafią w mgnieniu oka roztrwonić nawet największy majątek. Kiedy przehula fortunę młodej żony i znudzi się jej wdziękami, zacznie szukać kolejnej ofiary... a przecież wypadki się zdarzają... Kierowała się w życiu zdrowym rozsądkiem oraz pragmatyzmem. Miała jednak pewną słabość: czy



tywała upiorne gotyckie powieści i dla zwykłej przyjemności snuła przedziwne fantazje na temat ludzi, których nie znała. Na szczęście zdawała sobie sprawę z tego, że to jedynie czcze wymysły, nieszkodliwe bajania. Owszem, Christian Montcalm jest łowcą posagów i niegodziwcem, ale to z pewnością nie czyni z niego mordercy. Mimo wszystko nie sprawia wrażenia człowieka, który byłby zdolny posunąć się do zbrodni.

Przebrała się do kolacji w prostą czarną suknię - jedną z dwóch najlepszych spośród tych, które podarowała jej matka chrzestna. Czerń miała tę zaletę, że wystarczyło dodać do niej odrobinę koronek, odpowiednie rękawiczki oraz kilka błyskotek, aby mogła uchodzić za szykowną. Zerknęła w lustro na staromodnie mały dekolt, wąską spódnicę i luźną talię. Dobierając jej garderobę, lady Prentice postawiła wyłącznie na wygodę i poręczność. Wszystkie suknie panny Kempton były na tyle luźne w pasie, że ich właścicielka mogła ubierać się samodzielnie, bez pomocy pokojówki. Żałowała tylko, że są aż tak ponure i bez wyrazu.

Wkrótce dołączyła do pana Chipple'a i Hetty. Ta ostatnia wpatrywała się ze skupieniem w ogień na kominku. Najwyraźniej postanowiła ignorować obecności znienawidzonej opiekunki.

- Wygląda pani prześlicznie - odezwał się donośnie gospodarz.

Annelise poczuła się niezręcznie. Raptem przypomniała sobie o staraniach chrzestnej, która pragnęła ich wyswatać.

- Gdzie twoje maniery, dziecko? Przywitaj się z panną Kempton.

- Dobry wieczór - burknęła Henrietta, nie odrywając wzroku od płomieni.

- Dobrze się sprawowała? - dociekał troskliwie pan Josiah. - Jest może troszkę przekorna, nie przeczę. Co gorsza, wydaje jej się, że wie, co dla niej dobre, dlatego właśnie liczę na panią. Oczekuję, że będzie pani miała na nią oko i dopilnuje, aby spotykała wyłącznie odpowiednich konkurentów. Nie' dbam o to, czy będą majętni, czy biedni jak Łazarz. Mam dość pieniędzy, żeby zapewnić mojej małej dostatek do końca życia, ma się rozumieć także temu, którego wybierze sobie na męża. Rzecz w tym, aby ów mąż dał jej tytuł. Jak sądzę, będzie nalegała, żeby był to ktoś przystojny i młody. Nie potrafi jeszcze dostrzec zalet stabilizacji i dojrzałego wieku... - Zawiesił głos, po czym rzucając jej wymowne spojrzenie, dodał: -Jestem przekonany, że pani jest w tym względzie znacznie rozsądniejsza. Próbuje ze mną flirtować, przeraziła się Annelise i przywołała na usta wymuszony uśmiech. - Walory panny Henrietty bez wątpienia pozwolą nam znaleźć dla niej kandydata w odpowiednim wieku - odezwała się dystyngowanym tonem. - Kogoś, kto będzie mógł się poszczycić prawym charakterem oraz nieposzlakowaną opinią. Prawdę mówiąc, uważam, że powinien to być młodzian w wieku zbliżonym do jej własnego. Najlepiej dwudziestokilkulatek. - Czyli osobnik na oko dziesięć lat młodszy od Christiana Montcalma, dodała w duchu.

Jej wypowiedź nie wzbudziła entuzjazmu, zwłaszcza pana Chipple'a.

- Ma poślubić arystokratę - oznajmił oschle. - Reszta to sprawy drugorzędne. - Wykrzywił wargi w grymasie, który niemile zaskoczył pannę Kempton. - Nie pozwolę, żeby gnuśniała na wsi i marnowała czas na znajomości z tamtejszymi dziedzicami. Potrzebuje nieco miejskiej ogłady, ot co. Kiedy z pani pomocą ją zdobędzie, będzie mogła wybrać sobie, kogo tylko dusza zapragnie, w granicach rozsądku, ma się rozumieć. Aha, żeby nie było niedomówień. Ja podejmę ostateczną decyzję. Muszę zaaprobować przyszłego zięcia. Na szczęście nie mam powodu do obaw. Hetty już dawno wybiła sobie z głowy dziecięce miłostki.

Zatem na jej drodze stanął już co najmniej jeden niepożądany adorator, wywnioskowała Annelise. Ktoś młody i niewystarczająco dobrze urodzony, aby sprostać wygórowanym wymaganiom pana Chipple'a. Zapewne jakiś obywatel ziemski, do którego Henrietta wciąż tęskni. Idealnie się składa, pomyślała Annelise. Łatwiej będzie odwrócić uwagę panny od Montcalma.

- Jeśli masz na myśli Williama, papo, to zapewniam, że dawno o nim zapomniałam. O wiele bardziej interesuje mnie Christian Montcalm.

- Za to ja nie jestem przekonany, czy chcę, abyś utrzymywała tę znajomość. Dochodzą mnie słuchy, że nie jest prawdziwym dżentelmenem. Lepiej, żebyś nie wiedziała, jakie plotki o nim krążą. Owszem, zostanie kiedyś wicehrabią, ale nie ma potrzeby, byśmy mierzyli aż tak wysoko.

- Masz rację, papciu - zgodziła się nieoczekiwanie panna Chipple. - Tytuły są nazbyt przece-  
niane. - W jej błękitnych oczach pojawiła się iskierka nadziei, która dała wiele do myślenia  
pannie Kempton.

- Nie według mnie, moja panno - oświadczył zdecydowanie pan Josiah. - Jeśli zaraz nie  
siądziemy do stołu, spóźnimy się do lady Bellwhite. Wielce się natrudziłem, żeby zdobyć  
zaproszenie, nie wypada więc przybyć po czasie.

- Lepiej, żebyśmy pojawili się odrobinę za późno niż o kilka minut za wcześniej - wtrąciła  
Annelise. - Moim zdaniem, najlepiej będzie, jeśli dotrzemy na miejsce około godziny po  
wyznaczonej porze. Nikt nie poczyta tego za nietakt, a wielu gości już będzie i pańska córka  
może liczyć na bardziej spektakularne wejście. Wszystkie oczy zwrócą się ku niej.

- Nie każdy przestrzega tych pani idiotycznych zasad - obruszyła się Hetty. - Christian  
pojawia się często pod sam koniec wieczoru.

- Właśnie o to mi idzie. To wysoce niefrasobliwe i niedyplomatyczne.

- W takim razie, wyruszmy tak, aby zdążyć punktualnie na dziesiątą - zarządził energicznie  
pan Chipple.

- I opuścimy przyjęcie tuż przed planowanym końcem - dodała pospiesznie Annelise,  
narażając się w ten sposób na jadowite spojrzenie podopiecznej.

- To będzie dla mnie prawdziwy zaszczyt. Nieczęsto zdarza mi się eskortować dwie tak

urocze damy - orzekł pan Josiah i podszedł do drzwi.

- Powiedziała mu pani o tym, co się wydarzyło w parku? - zapytała cicho Hetty, gdy ojciec pogrążył się w rozmowie z lokajem.

- Jeszcze nie.

- A zamierza pani?

- Na razie się przed tym powstrzymam. Ufam, że zrozumiałaś błąd. Reputacja panny na wydaniu to kwestia niezwyklej wagi.

- Ależ z pani nudna osoba! Nie zna pani innego życia? Nie męczy pani to ciągle głędzenie i pouczanie wszystkich?

Istotnie, męczy mnie i to bardzo, przyznała w duchu panna Kempton. Nie czuła się lepsza nawet wtedy, gdy musiała instruować takie rozkapryśzone, niewdzięczne pannice.

- Jestem tu po to, aby ci pomóc - odparła sztywno.

- Nie ma takiej potrzeby - oznajmiła radośnie Henrietta. - Moja reputacja to fraszka! Poślę ją do diabła, jak tylko zostanę żoną Montcalma.

- A cóż to za folwarczna mowa, moja panno? - przywołał córkę do porządku pan Chipple.

Miał znacznie lepszy słuch, niż się wydawało. - Postaraj się trochę bardziej. Potrafisz chyba zademonstrować pannie Kempton wykwintny język, którego używa się w salonach?

- Ależ naturalnie, ojczy, jak sobie życzysz - odparła Hetty, po czym otworzyła usta i wystawiła język, zezując w stronę Annelise, która poczuła się naprawdę stara i zmęczona.

Pan Josiah dotrzymał słowa. Dotarli do domu lady Bellwhite dokładnie z wybiciem dziesiątej.

Na ulicy stało mnóstwo powozów, a ze środka dobiegały odgłosy rozmów oraz przytłumione

dźwięki muzyki. Już w westybulu natknęli się na trzech cherlawych młodzianów, czterech niestarych wdowców, hrabiego o skandalizującej opinii oraz okazałą grupkę innych potencjalnych kandydatów do ręki Henrietty Chipple. Na szczęście Moncalm jak dotąd nie raczył się pojawić.

Przed wyjściem z domu panna Kempton wygrzebała z dna walizki zapomniany koronkowy czepek, który opadał jej teraz na twarz i od którego przeraźliwie swędziała ją skóra. Zdesperowana zdecydowała się go użyć jako tarczy obronnej. Tego typu nakrycie głowy oznaczało bowiem, że kobieta wkroczyła w wiek staropanieństwa. Nie musiała się zatem obawiać, że ktokolwiek okaże jej względy. Zaskoczył ją jedynie pan Chipple, lecz nietrudno było go przekonać, że wspólne płasy to, oględnie mówiąc, chybiony pomysł. Po krótkiej rozmowie zaopatrzył ją w szklaneczkę ponczu i odszedł w stronę stolików, przy których grano w karty. Annelise zaszyła się w kącie wraz z innymi przyzwoitkami i matronami. Już po kilku minutach spostrzegła, że co najmniej połowa obecnych na sali wdów przejawia żywe zainteresowanie pan Chipple'em. Jak jej ongiś wyłuszczyła lady Prentice, pieniądze potrafią czasem wiele wynagrodzić. Na wieść o tym, że panna Kempton zamieszkuje obecnie w domu Chipple'ów, siedzące obok damy zarzuciły ją gradem pytań.

Tak, odpowiadała z zachęcającym uśmiechem, pan Chipple to niezwykle oddany ojciec. Owszem, jego dom przy Green Park jest wyjątkowo duży i okazały. Nie, owdowiał wiele lat temu, i nie, nie upatrzył sobie nowej żony. Czyż Londyn to nie idealne miejsce dla niego i jego pięknej córki? Naturalnie, nawiązą tu wiele nowych, cennych znajomości. Czym on się właściwie zajmuje? Przewozem towarów? Tak, ma własną flotę handlową. Ach, to całkiem ciekawe. Kupiectwo to przecież szanowany fach.

Około pół tuzina kobiet, starszych od niej o zaledwie dziesięć lat, z radością wypełniłoby pustkę w życiu pan Chipple'a. Sam zainteresowany najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy, było jednak całkiem prawdopodobne, że gdyby zechciał, mógłby pójść w ślady Hetty i dzięki małżeństwu zyskać tytuł. Przednia myśl, uznała po chwili namysłu Annelise. Tak, podejmie się roli podwójnej swatki. Jeśli zdoła zaaranżować korzystny mariaż nie tylko córce, lecz także ojcu, wdzięczność Chipple'ów powinna zabezpieczyć jej w miarę dostatnią przyszłość. Kto wie, może nawet dostanie ów wiejski domek, o którym wspominała chrzestna?

- Widziałaś może Montcalma?

Choć pytanie nie było skierowane do niej, Annelise znieruchomiała i bezwiednie nadstawiła ucha.

- Myślisz, że ośmieli się pojawić po niechlubnej ucieczce z żoną lorda Mortona? Nie wydaje mi się.

- Morton zabrał niewierną małżonkę na kontynent, aby tam przeczekać najgorsze.

Zamierzają wrócić, gdy wrzawa nieco ucichnie. A co się tyczy Montcalma, cóż, nie od dziś wiadomo, że zaprzedał duszę diabłu. Jeden skandal mniej czy więcej nie robi mu różnicy.

- Istotnie. Tak czy owak raczej go dziś nie zobaczymy. Gdyby się jednak pokazał, zamierzam demonstracyjnie go zignorować.

- Nie zrobisz tego, Lavinio. Wystarczy, że się do ciebie uśmiechnie, i będziesz zgubiona.

Pamiętasz? Ostrzegałam cię. Nie powinnaś była się z nim zadawać. Minęło już pięć lat, a ty nadal ani spojrzysz na innego mężczyznę.

Panna Kempton próbowała zapanować nad ciekawością, lecz w końcu dała za wygraną.

Odwróciła głowę i przyjrzała się dokładnie kobietom, które prowadziły rozmowę. W jednej z nich rozpoznała lady Lavinie Worthington. Lawinia była w wieku Eugeniei, jednak czas obszedł się z nią znacznie lepiej niż z siostrą Annelise. Choć owdowiała stosunkowo dawno, wciąż nosiła żałobę. Prezentowała się wprost olśniewająco, a jej szyję zdobił brylantowy naszyjnik wart co najmniej setki najlepszych sukien.

- Mylisz się, moja droga. Bardzo chętnie spojrzę na kolejnego mężczyznę. Pan Chipple, jak sądzę, byłby dla mnie w sam raz.

- Nie mówisz poważnie! - zaprotestowała przyjaciółka lady Worthington.

- Przeciwnie. Jestem śmiertelnie poważna. W jednym miałaś rację. Przez tego łajdaka Christiana jestem na wieki stracona dla innych. Wiem,



że żaden nie dorówna mu jako kochanek. Skoro już nie zaznam takiej przyjemności, mogę przynajmniej dokonać żywota przy kimś, kto ma do zaoferowania bezpieczeństwo materialne.

- Jeśli wierzyć plotkom, przy panu Chipple'u opływałabyś w dostatek. Popatrz jednak na drugi koniec sali i zastanów się, czy aby na pewno jesteś gotowa poślubić fortunę.

Annelise spojrzała we wskazanym kierunku i ujrzała Montcalma. Wyglądał zjawiskowo. W oczekiwaniu na pierwsze takty muzyki ujął dłoń Hetty.

## **Rozdział czwarty**

Jeśli wymagały tego okoliczności, -Annelise potrafiła pokonać sporą odległość w zaskakująco krótkim czasie. Nie przeszkadzało jej nawet to, że musiała przeciskać się przez wypełnioną po brzegi salę balową. Poruszała się zwinnie i z wrodzonym wdziękiem i dzięki temu dotarła do celu niemal niezauważona. Niewiele myśląc, rzuciła się do przodu, aby rozdzielić sobą Montcalma i Henriettę. Za moment miała rozbrzmieć muzyka. Należało więc działać zdecydowanie. W ostatniej chwili złapała za rękaw stojącego w pobliżu młodzieńca i pociągnęła go w stronę podopiecznej.

- Panno Chipple - odezwała się pospiesznie. -Zechce pani poznać pana... hm...
- Restona...
- Właśnie. Pana Restona. Jest pani zagorzałym wielbicielem i prosi o taniec.
- Tak... to znaczy... - Młody człowiek zarumie-

nił się po korzonki włosów. - Będę zaszczycony, jeśli uczyni mi pani ten honor. - Opamiętał się i skłonił głowę przed Hetty.

- Wspaniale - zaświergotała panna Kempton, po czym popchnęła młodych w kierunku parkietu. - Pan Montcalm na pewno zrozumie.

Hetty miała ochotę się opierać, ale jej nowy partner wczuł się w rolę i ująwszy zdecydowanie jej dłoń, poprowadził ją do walca.

- Pan Montcalm zrozumiał doskonale - wycedził Christian.

Annelise zadarła głowę, aby na niego spojrzeć. Było to dla niej całkiem nowe i niezwykle przyjemne doświadczenie. Zamierzała posłać mu triumfalne spojrzenie, lecz zorientowała się, że w jego zielonych oczach nie ma śladu rozbawienia.

- Panna Chipple obiecała ten taniec mnie -oznajmił oschle. - Nie lubię, gdy ktoś psuje mi szyki.

- Nie wątpię - odparła uszczypliwie. - Są tu liczne damy, które z przyjemnością z panem zatańczą.

- Znam też jedną, dla której będzie to tortura - stwierdził Montcalm i zanim Annelise pojęła, co się święci, porwał ją w objęcia i pociągnął na środek sali.

Nie tańczyła od lat, co najmniej od śmierci ojca. Sądziła, że będzie się potykać i mylić kroki, ale przypomniała sobie wszystko w okamgnieniu. Zwłaszcza że biegłość w tańcu była jednym z jej nielicznych talentów. Radziła sobie całkiem nieźle, lecz najchętniej wyrwałaby się i uciekła. Niestety,

Christian wzięł jej dłoń w uścisku i nic nie wskazywało na to, że zamierza ją puścić. Tacy jak on nie dają łatwo za wygraną, a kłótnia na parkiecie nie wchodziła w rachubę ze względu na obowiązujące normy.

- Niech pan pozwoli mi odejść - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Bardzo pragnąłem zatańczyć, a pani ograbiła mnie z partnerki, trudna rada, musi ją pani zastąpić.

- Niczego nie muszę!

W walcu tancerze cały czas się dotykali. Gdyby to był kadryl, łatwo byłoby się wymknąć, a tak nie miała najmniejszych szans. Jedyna pociecha w tym, że nie znaleźli się na środku sali tak jak Hetty, która bawiła się znakomicie i swoim zwyczajem odrobinę zbyt hałaśliwie. Ta pannica jest doprawdy nieznośna, pomyślała Annelise. Nikt jej nie nauczył, że w towarzystwie nie wypada tak głośno się śmiać? Trzeba będzie ją poinstruować, aby następnym razem nie robiła z siebie widowiska. Uczyni to, jak tylko uwolni się od tego zuchwalca. Na szczęście cofają się ku wyjściu na balkon. Dopiero gdy zupełnie sami znaleźli się na pogrążonym w ciemnościach balkonie, Annelise uzmysłowiła sobie, że lepiej byłoby jednak dotrwać do końca tańca na parkiecie.

- Drugi raz weszłaś mi w paradę, smoczyco - odezwał się Montcalm, ale w jego głosie nie było złości. - Nie znoszę, gdy ktoś umyślnie niweczy moje plany. To mi działa na nerwy.

- Cóż, będzie pan musiał do tego przywyknąć

dopóty, dopóki będę w pobliżu. Nie pozwolę panu zbliżyć się do Hetty.

- Dlaczego, jeśli wolno wiedzieć? Jest tajemnicą poliszynela, że ktokolwiek poślubi to piękne dziewczę, zrobi to przede wszystkim dla pieniędzy. Panna Chipple pochodzi z nizin społecznych, a to poważna przeszkoda, czyż nie? Bez sowitego posagu nawet tak urodziwa buzia nie skusi nikogo z tytułem, o który tak zabiega jej ojciec.

- Nie przeczę - odparła Annelise, bezskutecznie próbując zabrać dłoń z uścisku Montcalma. Drugą rękę wciąż trzymał na jej ramieniu. - Właśnie dzięki fortunie Henrietta może wybrać zalotnika, który cieszy się nieposzlakowaną opinią i powszechnym szacunkiem. Pańska osoba nie spełnia tych kryteriów.

- Zaręczam, że nie każdy przykłada do nich aż tak wielką wagę, jak się pani zdaje. Śmiem twierdzić, że Hetty podoba się powszechna konsternacja, którą budzi jej flirt z moją niegodną osobą.

- Za to mnie wasz flirt nie podoba się ani trochę! Zechce pan ode mnie się odsunąć, z łaski swojej?

- Nie tak prędko. Przyszedłem na to nieopisanie nudne przyjęcie wyłącznie po to, aby oddać się dalszemu uwodzeniu kapryśnej dziedziczki, pani zaś bezceremonialnie mi w tym przeszkodziła. Najwyższa pora, żebyśmy doszli w pewnych kwestiach do porozumienia.

- Nie liczyłabym na to na pańskim miejscu.

- Będę szczery: potrzebuję pieniędzy. Właśnie dlatego zamierzam się ożenić z pani głupiotką podopieczną. Co więcej, nie mam najmniejszych wątpliwości, że spośród wszystkich mężczyzn, których pozna w Londynie, wybierze właśnie mnie. Przypuszczam, że cokolwiek

pani powie, aby spróbować ją do mnie zniechęcić, przyniesie skutek odwrotny do zamierzonego.

- Trudno się z tym nie zgodzić - przyznała niechętnie Annelise. Mógłby wreszcie ją puścić. Czemu tkwi tak blisko, że czuje jego oddech? Dlaczego jego dotyk niemal pali jej skórę, mimo że dłoń chroni rękawiczka? - Nie da się ukryć, że jest pan zachwycający na swój nieco krzykliwy, łot-rzykowski sposób. Powinien pan jednak wiedzieć, że wybór nie należy wyłącznie do panny Chipple. Ostateczną decyzję podejmie jej ojciec.

- Krzykliwy? - powtórzył urażony. - Łotrzy-kowski?

- Młode dziewczęta przepadają za uroczymi hulakami - wyjaśniła Annelise. - Właśnie z tego powodu małżeństwa z reguły aranżują za nie starsi i mądrzejsi członkowie rodziny. Być może do pana Chipple'a nie dotarły jeszcze niepoehlebne opinie na pański temat. Tak czy inaczej, osobiście go o nich poinformuję. Będzie pan musiał zarzucić sieci gdzie indziej.

- Tak się składa, że żadna inna bogata dziedziczka nie zjechała w tym roku do stolicy. - Przyjrzał jej się spod przymrużonych powiek. - A może smoczyca dysponuje znośnym dochodem?

- Nie mam ani pensa.

- Wielka szkoda. Rad bym panią nakłonić, byś odwołała te obraźliwe słowa pod moim adresem.

Co do jednego... - Sięgnął do czoła Annelise i musnął palcami koronkę, która okalała jej twarz niczym kwef. - A cóż to jest, u diabła? Nie miała pani tego na sobie w parku.

- Niczego wtedy na sobie nie miałam... To znaczy... - Urwała na widok miny Montcalma.

-Chciałam powiedzieć, że spieszyło mi się, i wybiegłam na ulicę bez płaszcza i kapelusza.

Jestem kobietą w zaawansowanym wieku, a to nakrycie głowy potwierdza mój status starej...

Zanim dokończyła zdanie, Montcalm zdarł z głowy Annelise czepek i wychyliwszy się za balustradę, posłał go z rozmachem na ziemię. Popatrzyła za nim z mieszanymi uczuciami.

Był uszyty z bardzo dobrej koronki. Z drugiej strony, czuła się w nim jak osiemdziesięciolatka, a nie przekroczyła nawet trzydziestki.

- Twoje włosy mają dość niespotykaną barwę. Co to za kolor?

Dosyc tych drwin, pomyślała.

- Szarobury - burknęła, po czym spróbowała wyszarpnąć ramię, jednak Montcalm nie ustąpił.

Wzięła głęboki oddech i przymknęła powieki. Wyobraziła sobie siebie w roli srogiej

guwernantki i rzekła, jakby przemawiała do upartego dziecka: - Panie Montcalm, oboje dobrze wiemy, że w gruncie rzeczy nic pana nie obchodzi ani mój majątek, ani tym bardziej kolor moich włosów. Bez wątpienia zasięgnął pan wyczerpujących informacji o tym, kto jest wart pańskich starań, a kto nie. Ja z pewnością się nie kwalifikuję. Zdaję sobie sprawę z tego, że udaremniłam pańskie plany na dzisiejszy wieczór, ale nie zamierzam za to przepraszać.

Sam pan widzi, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Proszę mnie puścić, chcę wrócić na przyjęcie.

Chyba nigdy dotąd nie spotkała tak urodziwego mężczyzny. Z takim wyglądem omamiłby każdą. Nic dziwnego, że oczarował także naiwną i podatną na wpływy Hetty. Gdyby była dziesięć lat młodsza i nieco mniej rozsądna, sama uległaby jego urokowi.

- Smoczyco - zaczął uwodzicielskim szeptem - zbyt nisko się cenisz. Dokładasz wszelkich starań, aby przekonać świat, że jesteś pryncypialną starą panną, a na oko nie wyglądasz na wiele starszą ode mnie.

- Co takiego?! - wykrzyknęła oburzona. - Wypraszam sobie! Mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat! - Poniewczasie uświadomiła sobie, że perfidnie ją sprowokował.

- Chodzę po świecie trochę dłużej niż ty. Jako bardziej doświadczony i mądrzejszy coś ci poradzę. Nie porywaj się z motyką na słońce. Nie warto stawać do bitew, których nie można wygrać. Tak się składa, że w wojnie o Hetty Chipple mam nad tobą znaczną przewagę. Nieważne, do jakich metod będę musiał się uciec, aby ją poślubić. Wiedz, że potrafię być bezwzględny.

Nie chciała stchórzyć, ale istotnie wydawało się, że w tej potyczce jest z góry skazana na porażkę. Wytrącił jej oręż z ręki. Zresztą nie powinno jej obchodzić, jak skończy Henrietta. Ojciec pragnął wydać ją „dobrze” za mąż, lecz nie dbał zanadto



o szczęście córki. Zależało mu wyłącznie na zyskaniu wyższego statusu społecznego. Montcalm zaś, jako dziedzic tytułu, mógł ów status zagwarantować. Wystarczyło przekonać pana Chipple'a, że mariaż Hetty i Montcalma to znakomity pomysł. Kusilo ją, aby wybrać tę znacznie łatwiejszą drogę, która położyłaby kres jej zgryzotom.

- Kocha ją pan? - zapytała z nadzieją.

- Nie! - zaprzeczył zgorszony. - Oczywiście, że nie. Nie wierzę w miłość. Wzajemna inklinacja, przywiązanie są możliwe, jak sądzę, ale nic ponadto... Czy wyglądam na niepoprawnego romantyka? Jestem na to zbyt przyziemny i praktyczny.

- Przecież kobieta powinna być kochana... Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- Doprawdy? A może wystarczy, aby ją całowano? - zapytał. Błyskawicznie przyciągnął do siebie Annelise i przywarł ustami do jej warg.

Całkowicie zaskoczona, nie zareagowała. Christian obejmował ją ciasno ramieniem, a jego druga dłoń dotykała lekko jej policzka. Miał zaskakująco chłodne i delikatne wargi. Ocierał się nimi o usta Annelise z biegłością, która rozbudziła jej zmysły i zmąciła rozum. Nie sądziła, że pocałunek może być tak przyjemny.

- Lekcja pierwsza zaliczona - wyszeptał jej wprost do ucha. - Pora na lekcję drugą.

Rozchylił jej usta i znów ją pocałował, tym razem głęboko i namiętnie, tak jak całują się kochankowie. Jej ciało zareagowało instynktownie: zamknęła oczy, odchyliła głowę i pozwoliła, aby Montcalm przeciągał pieśczętę w nieskończoność. Kiedy wreszcie się od niej oderwał, sprawiał wrażenie, jakby nagle zabrakło mu tchu. W wątłym blasku księżyca dostrzegła intensywny blask ciemnozielonych źrenic.

- Pojętna z ciebie uczennica, smoczyco - zauważył miękko.

- Teraz czeka mnie pewnie lekcja trzecia? - zapytała zduszonym głosem.

- Nie jesteś na nią jeszcze gotowa. Ufam, że będę w pobliżu, kiedy nadejdzie twój czas. Zanim to jednak nastąpi, możemy popracować nad lekcją drugą. Wprawdzie nie masz takiej wprawy w całowaniu jak Hetty, ale da się temu zaradzić. Jesteś pilną adeptką. Przy odpowiednim treningu w lot połapiesz się w czym rzecz. Sugerowałbym metodę prób i błędów...

Nie zaprotestował, gdy popchnęła go w stronę balustrady i podbiegła do wejścia na salę. Odeszła-by bez słowa, gdyby nie usłyszała za plecami przytłumionego śmiechu. Stała jak wryta i obróciwszy się na pięcie, zmroziła go wrogim spojrzeniem.

- Powinni- cię wykastrować, ty łajdaku bez sumienia! - wyrzuciła z siebie jadowitym tonem. W tej chwili nie przychodziła jej do głowy dotkliwsza obelga.

Roześmiał się jeszcze głośniej.

- Wcale byś tego nie chciała. Wierz mi. Kanalia! Jak zwykle to on musi mieć ostatnie słowo.

Roztrzęsiona wróciła na salę, uprzednio zamknąwszy za sobą drzwi. Montcalm porwał ją na

balkon tak szybko i niepostrzeżenie, że nie miała czasu pomyśleć o konsekwencjach. Zniknęła na kilkanaście minut z najstojniejszym uwodzicielem stolicy, ale szczerze mówiąc, była w takim stanie, że niewiele ją obchodziło, czy ktoś to zauważył, czy nie. Miała szczerą ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie, lecz w ostatniej chwili coś ją powstrzymało. Wyprostowała plecy i uniosła dumnie głowę. Doświadczyła w życiu gorszych rzeczy niż skradziony pocałunek.

Wypatrzywszy w tłumie podopieczną, odetchnęła z ulgą. Piękna dziedziczka zmieniała partnera. Cała w uśmiechach, wdzięczyła się do nowego adoratora i chłonęła z zadowoleniem pochlebstwa, którymi niewątpliwie ją zasypywał. Panna Kempton uznała, że może spuścić ją na moment z oka. Udała się pospiesznie do garderoby i stanęła przed lustrem, aby poprawić potargane włosy. Kiedy próbowała ujarzmić poluzowany kok, u jej boku wyrosła nagle lady Lavinia Worthington.

- Korzystnie pani wygląda - zauważyła, przeszywając ją świdrującym spojrzeniem. - Cieszy mnie, że postanowiła pani znowu bywać w towarzystwie.

Lavinia zawsze miała niewyparzony język. Bywało, że nazwała ją „wielkoludem” albo „tyczką”. Annelise próbowała podziękować jej za komplement uśmiechem, ale opuchnięte usta odmówiły posłuszeństwa.

- Widzę, że pani również jest zadowolona z tej decyzji. Nie sądziłam, że należy pani do kobiet skłonnych do potajemnych flirtów, ale najwyraźniej byłam w błędzie.

Widziała, jak tańczy z jej dawnym kochankiem, uznała Annelise.

- Nie bardzo rozumiem. Skąd to przypuszczenie?

- Nie jestem ślepa, moja droga. Mogę zwracać się do ciebie po imieniu, prawda? Każdy głupiec by zauważył, że przed chwilą ktoś cię zapamiętale całował. Zaczerwienione, lekko opuchnięte wargi i nieprzytomne spojrzenie mówią same za siebie. Czyżbyś była zaręczona? Panna Kempton przyjrzała się ze zgrozą swemu odbiciu. W rzeczy samej wyglądała na namiętnie wycalowaną, ale jakże miałyby nie wyglądać? Wcześniej żaden mężczyzna nawet się do niej nie zbliżył. Niegodziwcem, który to zrobił, powodowały nikczemne intencje. Zamierzał jedynie zbić ją z pantałyku, zburzyć jej spokój. Nic więcej.

- Nie jestem zaręczona, Lavinio - odparła. -W moim wieku nie mam nadziei na zamążpójście. Wiodę spokojne życie w pojedynkę, a w towarzystwie pojawiaam się sporadycznie.

- Skoro nie narzeczony cię całował, to kto? Annelise korciło, aby powiedzieć prawdę, tym bardziej że lady Worthington nadal usychała z tęsknoty za Christianem, choć porzucił ją pięć lat temu. Na szczęście czcigodna panna Kempton rzadko pozwalała sobie na uleganie pokusom.

- Nikt, zapewniam. Zdaje się, że ponosi cię wyobraźnia. Mężczyźni raczej nie znajdują we mnie upodobania.

- Nawet twój wart zachodu gospodarz?

Upłynęło kilka sekund, zanim Annelise uzmysłowiła sobie, o kim mowa, a kiedy już się domyśliła, miała ochotę się roześmiać głównie z powodu ulgi, którą raptem odczuła. Wcale nie chodziło o Montcalma. Lavinia upatrywała w niej rywalki o względy pana Chipple'a...

- Ręczę, że pan Chipple nie jest mną ani odrobinę zainteresowany. Możesz śmiało zastawić na niego sidła. Miło mi było cię spotkać. - Powiedziawszy to, zostawiła wdowę samą, nim ta zebrała się na odpowiedź, i wróciła na salę.

Chipple'owie rozglądali się wokół wyraźnie spragnieni jej towarzystwa. Czyżby uznali, że pora zbierać się do domu? Oby.

- Ach, tu pani jest, panno Kempton! - zawołał donośnie pan Josiah. Usłyszeli go bodaj wszyscy goście i połowa sąsiadów lady Bellwhite. - Szukaliśmy pani. Czas wracać w pielesze. Moja mała musi porządnie się wyspać. Sen ma zbawienny wpływ na urodę.

Hetty nie była zachwycona pomysłem rodzica, ale ponieważ taniec sprawił jej ogromną przyjemność, nie okazała niezadowolenia aż tak dobitnie jak zazwyczaj.

- Gdzież pani tak długo się podziewała? - zapytała opryskliwie. - Pamiętam, że zanim przepadła pani jak kamień w wodę, próbowała odesłać z kwitkiem Montcalma.

- Owszem. Pozbyłam się go raz na zawsze. Wypchnęłam go z balkonu na ulicę. Nie będzie cię więcej nękał, drogie dziecko.

Panna Chipple spojrzała na nią w niemym przerażeniu.

- Nie rób takiej wystraszonej miny, żabciu. -Pan Chipple zachichotał. - Panna Kempton zwyczajnie cię nabiera. Poza tym nie musisz padać w ramiona pierwszemu lepszemu, który okaże ci względy. Powiedz lepiej, gdzie ci młodzieńcy, których przyuważyłaś?

- Myślę, że powinniśmy odłożyć tę rozmowę do czasu, gdy znajdziemy się w powozie - upomniała Annelise, aż nadto świadoma rzucanych w ich stronę wścibskich spojrzeń.

- Prędzej odłożymy ją do czasu, gdy Tamizę pokryje gruba warstwa lodu. Wychodzimy. - Hetty zadarła brodę i pomaszerowała do drzwi, zupełnie jakby to ona była nauczycielką, a nie niesforną uczennicą. W niektórych sferach życia istotnie miała więcej doświadczenia niż jej opiekunka.

Gdy Christian i jego kompani opuszczali posiadłość lady Bellwhite, nad miastem zawisła mgła. Crosby jak zwykle zrzędził, ktoś inny zaproponował spędzenie reszty wieczoru w klubie o intrygującej nazwie „Siedlisko Rozpusty”. Montcalm miał właśnie zabrać głos w tej sprawie, lecz wtem zatrzymał się gwałtownie i spojrzał pod nogi. Po chwili podniósł z ziemi kawałek przemoczonej, niegdyś białej tkaniny. Uśmiechnął się półgębkiem, a jego wzrok powędrował bezwiednie w stronę balkonu. Drzwi były otwarte, a ze środka sączyła się muzyka.

- Cóż to znowu za obrzydlistwo? – zaintereso-

wał się Crosby. - Odkąd to zbierasz z ulicy brudne łachmany?

- Od kiedy mają wartość sentymentalną, mój drogi - odparł Christian. - To pamiątka. - Nie zamierzał się tłumaczyć, zwłaszcza że kompan niebawem się wszystkim naprzykrzał, naturalnie z powodu nadmiernego spożycia trunków. Zamiast się nim przejmować, skoncentrował się na trzymanej w dłoni koronce. Rzucił ją o wiele dalej, niż sądził. Spodziewał się, że zawisnie gdzieś wysoko na gałęzi, ale czekała go miła niespodzianka. Czepek jakimś cudem znalazł się u jego stóp. Rozpoznał go w jednej chwili. To znak. Czego? Nie miał pojęcia, był jednak pewien, że przyszłość okaże się nad wyraz interesująca. To dobrze. Miał powyżej uszu odwiecznej nudy; monotonia nigdy mu nie służyła. Tkanina była bardzo dobrej jakości. Rozciągnął ją w palcach, aby lepiej jej się przyjrzeć. Smoczyca kazała mi zarzucić sieci gdzie indziej, pomyślał z zadowoleniem, oto sieć, w którą sama wpadnie...

- Co robisz?! - zawołał Crosby, gdy Montcalm wsunął znalezisko do kieszeni. - Uwalasz sobie ubranie!

- Jeśli udamy się do przybytku, który tak zachwala Godfrey, za kilka godzin będę w znacznie gorszym stanie. A płaszcz mogę kupić nowy.

- Z twoimi długami? Wątpię.

- Na litość boską, opanuj się, przyjacielu. Jesteś dziś wyjątkowo nieznośny.

Crosby zachnął się, po czym nagle się roześmiał.

- To jej, prawda? Niezły z ciebie szelma, słowo daję.

- Coś ty powiedział? - Christian wlepił w niego zdumione spojrzenie.

- Jak to co? Mówię o pannie Chipple. Musi mieć bzika na twoim punkcie, skoro pozwoliła sobie na taką niedyskrecję.

- Cóż. - Montcalm odetchnął z ulgą. - Śliczna Henrietta nie potrafi mi się oprzeć.

- Może i wobec nas będzie taka uległa, kiedy już się z nią ożenisz - rozmarzył się Godfrey.

- Nawet nie próbuj tego sprawdzać, bo będziesz miał ze mną do czynienia.

- W przeszłości zawsze dzieliłeś się zdobyczami - przypomniał kompan.

Christian zamknął oczy i przywołał w pamięci obraz młodziutkiej Hetty i jej karminowych ust, które tak często domagały się niewinnych pieścizot. Nie wiedzieć czemu nagle jej śliczną buzię zastąpiła oniemiała ze zdziwienia twarz smoczycy. Nadal nie znał jej imienia...

- Ludzie i okoliczności się zmieniają - powiedział. - Dzielić się sprzedajną dziewczką to jedno, pozwolić, aby ktoś używał na mojej żonie, to zupełnie co innego. Kiedy urodzi mi kilku dorodnych synów, będzie mogła robić, co zechce, pod warunkiem, że zachowa ostrożność i dyskrecję, ma się rozumieć.

- A jeśli nie będzie dyskretna?

- Wtedy dopilnuję, żeby pojęła i zapamiętała obowiązujące reguły.



## Rozdział piąty

Po powrocie do domu Annelise dopilnowała, żeby jej podopieczna udała się do sypialni, po czym poszła w jej ślady. Na szczęście dekorator-skie zapędy gospodarza nie dotarły do jej przytulnego pokoiku. Ściany miały przyjemny odcień pastelowego różu, a w kominku tlił się ogień. Powinna była zasnąć po przyłożeniu głowy do poduszki. Powinna, ale nie zasnęła. Jednak był to pierwszy pocałunek w jej życiu. W dodatku nie całował jej jakiś zadurzony młokos ani podstarzały lubieżnik, lecz bardzo przystojny mężczyzna, który drwił z niej niemiłosiernie, a co gorsza, nie krył, że doprowadzi pannę Chipple przed ołtarz. Przewróciła się na pościeli i uderzyła pięścią w poduszkę, zła, że podczas pocałunku odczuwała przyjemność. Mężczyzna nie powinien mieć tak cudownych ust, to niesprawiedliwie. Kobiety są bardzo podatne na męski urok. Ona sama, rzecz jasna, nie jest uległa, a nawet gdyby była, doskonale wiedziała, że jest dla Christiana solą w oku i zawalidrogą. Niczym więcej. Tak naprawdę nie chodzi mu o nią, lecz o znacznie bardziej cenną zwierzynę.

Odrzuciła na bok nakrycie i usiadła. Znajdzie sobie coś do czytania. Nudna lektura z miejsca utuli ją do snu. Coś mało zajmującego i bez wątków romansowych. Może jakiś traktat filozoficzny po łacinie? Nie, nie zasłużyła na aż tak dotkliwą karę. Najlepsza będzie uczone rozprawa

o zarządzaniu gruntami. Może się okazać, że to bardzo interesujący temat, w każdym razie ciekawszy niż się w pierwszej chwili wydaje. Kiedy majątek ojca stopniowo popadał w ruinę, żadną miarą nie potrafiła temu zaradzić zapewne dlatego, że nie miała wiedzy w owej dziedzinie. Jednak nie, stanowczo nie będzie snuć tęsknych wspomnień o zapuszczonym starym domu, który trzeba było sprzedać, aby pokryć choć część długów zmarłego właściciela. Pozostaje jej liczyć na to, że kiedyś znajdzie się dla niej jakiś kąs, skromna chatka na wsi, w której dokona żywota w otoczeniu psów i kotów, bo przecież nigdy nie będzie miała dzieci.

Nie spodziewała się ofert małżeńskich, prawdę mówiąc, nie była nawet szczególnie zainteresowana zamążpójściem. Nauczyła się samodzielności i było jej z nią dobrze. Propozycje, które mogłyby ewentualnie się pojawić, pochodziłyby wyłącznie od wdowców, a ci bardziej niż żon potrzebują nianiek dla swego pozbawionego matek potom-

stwa. Z dwojga złego wolałaby zostać płatną guwernantką, niż użerać się z dziećmi jakiegoś opasłego gbura, z którym na dodatek musiałaby dzielić łożę. Co też jej snuje się w głowie? Czemu raptem nachodzą ją myśli o dzieleniu łoża z kimkolwiek? Nazbyt wybujała wyobraźnia, jej odwieczne przekleństwo. Rankiem wszystko wróci do normy. Nabierze niezbędnego dystansu, ujawni nieczne machinacje Montcalma i przekona oboje Chipple'ów, że Christian to najgorszy z możliwych kandydatów do ręki Hetty. Potem będzie mogła spokojnie wyleczyć urażoną dumę i zapomnieć o niefortunnym incydencie, do którego doszło na balkonie domu lady Bellwhite.

Choć obudziła się znacznie później niż zwykle, było jeszcze względnie wcześnie, a w domu panował niczym niezmacony spokój. Wstała z łożka i rozsunęła zaciągnięte kotary, aby wpuścić do środka pierwsze promienie słońca. Pomimo rześkiej pogody ulice sprawiały wrażenie kompletnie wyludnionych. Nieliczni spacerowicze przechadzali się niespiesznie po opustoszałym parku. Większość londyńczyków nie opuszczała domów przed południem. Wczoraj mniej więcej o tej właśnie porze musiała uganiać się za nieobliczalną podopieczną. Ciekawe, gdzie się znajdują jej pokoje i czy wyposażono je w zamek? Nie zaszkodziłoby, gdyby dziewczę od czasu do czasu posiedziało w odosobnieniu.

Kiedy kończyła się ubierać, rozległ się raptem przeraźliwy pisk. Wypadła bez butów na korytarz, zastanawiając się, jakież to znowu nieszczęście spadło z samego rana na pannę Chipple. Może to ten nikczemnik Montcalm wdarł się jakimś sposobem do domu? Podbiegła do otwartych drzwi, które, jak się okazało, prowadziły do sypialni Hetty. Zatrzymała się w

progu. Potrzebowała dłuższej chwili, aby przyzwycząić oczy do nieznośnego przepychu. Całe wnętrze od sufitu do podłogi opływało w koronki i satynę, a każdy, najmniejszy nawet detal utrzymany był w najrozmaitszych odcieniach różu, od kapy na łóżko i krzesła aż po stertę porozrzucanych w nieładzie ubrań. Wystrój rodem z bajkowego domu uciech, pomyślała z niesmakiem. Po chwili wyczuła intensywny zapach kwiatów i pojęła przyczynę nadmiernej ekscytacji podopiecznej.

- Czyż nie są cudne? - zaświergotała radośnie Hetty, obracając w dłoniach olbrzymi bukiet.

- Jestem pewna, że wykupił wszystkie różowe róże w mieście! Co do jednej!

- Istotnie bardzo ich dużo - odparła powściągliwie Annelise.

- Jakiż on słodki i rozrzutny - rozczuła się Hetty, próbując przycisnąć wiązanekę do piersi.

Cóż za bezmyślność, uznała Annelise. Róże tego gatunku mają wyjątkowo duże i ostre kolce.

Kwiaciarz musi się sporo napracować, by je usunąć, dlatego między innymi należą do

najdroższych. Znała się na kwiatach. Wtedy, gdy miała dom, co dzień doglądała ogrodu.

Brakowało jej go prawie tak samo jak ojca. Nie żywiła najmniejszych wątpliwości, że bukiet pochodzi od Montcalma.

Jest pretensjonalny, krzykliwy i sądząc po liczbie i barwie kwiatów, odrobinę prześmiewczy, co całkowicie umknęło adresatce przesyłki.

- „Nawet najpiękniejsze kwiaty nie mogą się równać z pani urodą”. - Hetty odczytała na głos bilecik i spojrzała triumfalnie na opiekunkę. - A nie mówiłam? Zdobyłam najprzystojniejszego kawalera w stolicy i to zaledwie w ciągu kilku tygodni!

- Moja droga, nie zapominaj, że pan Montcalm poszukuje bogatej żony - przypomniała rzeczowo Annelise. Było jej niemal żal naiwnej dziewczynki, która najwyraźniej nie wyrosła jeszcze z bujania w obłokach. Będzie jej bardzo ciężko przywyknąć do rzeczywistości.

- Jak oni wszyscy - zbyła ją Hetty, wzruszając ramionami. - Skoro wiem, że przyszły mąż poślubi mnie dla pieniędzy, mogę przynajmniej wybrać kogoś urodziwego.

- Uroda to nie wszystko - stwierdziła sentencjonalnie panna Kempton. - Liczą się także czyny. - Boże drogi, mówię jak zmęczona życiem, siedemdziesięcioletnia piastunka, skarciła się w duchu.

- Jego czyny też mi się podobają - stwierdziła z rozmarzeniem Hetty.

Myśli o pocałunkach tego łajdaka, odgadła Annelise. Powiedział przecież, że Hetty całuje lepiej niż ona. Podlec! Niech go piekło pochłonie! Uprzytomniła sobie, że jest bosa i ma rozpuszczone włosy. Damie nie przystoi pokazywać się w takim stanie.

- Do zobaczenia na śniadaniu, moja droga - powiedziała.

Podopieczna odprawiła ją skinieniem dłoni jak służącą. Cóż było robić? Zaciśnęła zęby i ruszyła do swojego lokum. Na progu czekała na nią pokojówka, ta sama, którą zaciągnęła onegdaj do parku. Nie wiedzieć czemu ogarnęły ją złe przeczucia.

- Chciałam zapytać, czy mogę się na coś przydać. - Lizzie dygnęła i spojrzała na nią wyczekująco. - Mam sporą wprawę w usługiwaniu damom, a pani Buxton mówi, że nie uchodzi, aby tak znamienity gość jak pani dbał o siebie sam.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za troskę, ale zazwyczaj radzę sobie sama. To dla mnie żaden kłopot.

Służąca sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Jak pani sobie życzy. Gdyby zmieniła pani zdanie, proszę tylko dać mi znać, a natychmiast przybiegnę.

- Naturalnie, dziękuję. - Annelise spodziewała się, że pokojówka ukloni się i odejdzie, ale dziewczyna wciąż tkwiła w miejscu. - Coś jeszcze? - spytała.

- Pani również dostała dziś kwiaty. Pozwoliłam sobie wstawić wazon do pani pokoju.

Czyżby Montcalm zgotował dla niej kolejną zniewagę? - zadała sobie w duchu pytanie Annelise. Przysłał jej wiecheć zasuszonego zielska, a może wiązkę ostów? Bez obaw, to nie od niego. Nie znał nawet jej imienia. A jeśli to sam gospodarz? Nie będzie znosić umizgów pana Chipple'a. O, nie.

- Dziękuję, Lizzie - odezwała się z udawanym spokojem. - Możesz odejść.

Pokojówka nie była zadowolona z odprawy, ale panna Kempton nie zamierzała się nad nią litować. Nie życzyła sobie żadnych świadków. Miałyby pozwolić, aby ktoś oglądał jej reakcję na nieoczekiwany podarunek? Odczekała, aż służąca zniknie na schodach, po czym weszła do sypialni i stanęła jak wryta na widok przepięknego bukietu wiosennych kwiatów.

Uśmiechnęła się bezwiednie, zanurzając twarz w wiązance pastelowych irysów, żonkili i herbacianych róż. W pewnym momencie dostrzegła wśród kwiatów smoczą lilię. Zrobiło jej się gorąco i sięgnęła ostrożnie po kopertę, jakby się obawiała, że wypełzną z niej jadowite węże. Nie myliła się. Wiadomość okazała się znacznie gorsza, niż się spodziewała. „Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa odbyć lekcję trzecią, smoczyco”.

Zapiekł ją policzki, mimo że dawno temu starannie zadbała o to, by nigdy się nie rumienić. Gdyby miała choć odrobinę rozumu, otworzyłaby okno i wyrzuciła bukiet. Czasem jednak nie słuchała głosu rozsądku. Za bardzo uwielbiała kwiaty, aby ulec impulsowi i zwyczajnie je zniszczyć. Kochała zapach wiosennych pąków i ich delikatne listki. Postanowiła zapomnieć, od kogo dostała wiązanekę, i na tym sprawę zakończyć. Wypadało jeszcze zniszczyć ów nieszczęsny bilecik. Lepiej, żeby nie wpadł w niepowołane ręce. Służba bywa niekiedy ciekawska. Podeszła do kominka, ale ogień w palenisku zdążył wygasnąć. W jej workowatej sukni nie było kieszeni, niewiele myśląc, zwinęła więc kartkę i wcisnęła ją sobie między piersi. Tam będzie bezpieczna. Związawszy pośpiesznie włosy, wsunęła stopy w buty i zeszła do jadalni.

Christian Montcalm wynajmował pokoje gościnne przy Upper Kilgrove Street. Szczęśliwym trafem kodeks towarzyski nie wymagał, żeby kawaler utrzymywał własną miejską rezydencję. Montcalm co dzień dziękował za to losowi, zwłaszcza że od sześciu miesięcy zalegał z czynszem. To cud, że nie wyrzucono go na bruk. Bez wątpienia zawdzięczał to głównie swoim pięknym oczom. Gospodyni - pulchna, leciwa dama o złotym sercu - nie mogła mu się oprzeć. Karmiła go domowymi wypiekami, dogadzała znakomitą herbatą, pobłażała, a także matkowała jak rozbrykanemu synowi.

Bywały chwile, gdy niemal zapominał, jak wyglądała jego matka. Nie żyła od tak dawna, że czasem wołał o niej nie pamiętać. Do tamtych lat nie było powrotu. Urodził się we Francji, co zdaniem wielu czyniło zeń Francuza. Nic dalszego od prawdy. Montcalmowie byli szanowanym angielskim rodem z wielopokoleniową tradycją. Dziadek jako wicehrabia i brat księcia wykazywał typowo arystokratyczne cechy. Zapamiętał go z dzieciństwa jako pełnego rezerwy starca, który dba wyłącznie o dobre imię rodziny, niekoniecznie zaś o jej członków. Ojciec, Geoffrey, na swoje nieszczęście przyszedł na świat drugi w kolejności, a zatem nie odziedziczył tytułu. Na domiar złego zakochał się w córce francuskiego markiza. Made-



leine de Chambord wyróżniała się nie tylko niezwykłą urodą, lecz także niepoślednim majątkiem. Jej posag był tak ogromny, że choć wicehrabia początkowo kategorycznie sprzeciwił się decyzji syna, ostatecznie przemógł niechęć i wyraził zgodę na mariaż potomka z cudzoziemką. Ten jednak postanowił osiedlić się w ojczyźnie żony, w związku z czym popadł w niełaskę bezdusznego rodzica. Mimo usilnych zabiegów dziadek nie zdołał ściągnąć ojca do Anglii, więc po jakimś czasie zwyczajnie spisał go na straty. Geoffrey i Madeleine nie rozpaczali z tego powodu. Zamieszkali w niewielkim *château* w Normandii, a ich pożycie okazało się zgodne, udane i szczęśliwe.

Christian był ich drugim dzieckiem. Miał czworo rodzeństwa, dwie siostry i dwóch braci. Najstarszy Laurent wyrósł na pyszałka, który uwielbiał prawić wszystkim morały. Helene uznano jednogłośnie za ozdobę całej rodziny, pulchna i piegowata Jacqueline psociła na każdym kroku, a ojciec często podrzucał ją w powietrze i nazywał diabelskim nasieniem. Odpowiadała niezmiennie, że „skoro ona jest diabelskim nasieniem, to papa musi być samym diabłem”. Potem pojawił się Charles-Louis, złotowłosego cherubinek o błękitnych oczach i miłym usposobieniu. Christian pokochał malca z całego serca. Miał wobec niego wielkie plany. Zamierzał przekazać mu całą swoją wiedzę, chciał uczyć go jazdy, fechtunku i trudnej sztuki flirtowania, a także by nie słuchał Laurenta.

Wypełnione miłością życie wydawało się sielanką. Dom zawsze stał otworem dla licznych kuzynów Madeleine. Dołączyła do nich także sędziwa prababcia. Nikt nie mówił o napiętej sytuacji w kraju. Roztrząsanie tego tematu uważano za brak taktu. Christian nie domyślił się w porę, że dzieje się coś złego, ale już wtedy czuł instynktownie, że nie powinien wyjeżdżać.

Do dziś wyrzucał sobie, że nie było go na miejscu, kiedy mordowano jego najbliższych. Gdy Laurent skończył czternaście lat, rodzice wysłali go do Anglii, aby poznał dziadka. Starszy wnuk z miejsca zdobył sympatię wicehrabiego, co nie dziwiło, ponieważ byli do siebie wyjątkowo podobni. Nadęci i antypatyczni - tak w każdym razie myślał o nich wtedy Christian. Po wyjeździe brata przyszła kolej na niego.

Nie miał ochoty opuszczać rodzinnej posiadłości. Bronił się przed rozłąką wszelkimi sposobami. Dobrze wiedział, że nie zyska aprobaty seniora rodu. W przeciwieństwie do Laurenta, czy też Laurence'a - jak go nazywał dziadek - nieustannie pakował się w coraz to nowe tarapaty. Ojciec zazwyczaj kwitował je żartem, matka wielokrotnie załamywała nad nim ręce, a nawet wylewała z jego powodu łzy, na przykład wtedy, gdy wdał się w bójkę z chłopcami z pobliskiej wioski. Zbili go na kwaśne jabłko, a mimo to nie wyjawiał ich nazwisk. Wieśniakowi, który podniósł rękę na arystokratę, groziła gilotyna, nawet jeśli obaj byli tylko dziećmi.

Próbował wszystkiego, byle tylko nie znaleźć się na statku płynącym do Anglii. Za pierwszym

razem uciekł nawet z pokładu i wrócił na piechotę do St. Matthieu. Matka z niepokoju odchodziła od zmysłów, ojciec zaś pierwszy i jedyny raz srodze się na niego rozgniewał. Po tym wybryku postanowiono, że odbędzie podróż w eskorcie jednego ze służących. Tak też się stało. Lokaj dostarczył go niczym przesyłkę do majątku wicehrabiego i niezwłocznie udał się w drogę powrotną.

Wicehrabia Montcalm i jego młodszy wnuk od pierwszej chwili zapalali do siebie wzajemną niechęcią. Zdaniem dziadka, chłopiec zanadto wrodził się w matkę. Podobnie jak Madeleine, był „nazbyt urodziwy, zupełnie bezużyteczny i ponad miarę francuski”. Usłyszawszy niesprawiedliwe zarzuty, Christian odpowiedział na nie z właściwą dla młodego wieku zapalczywością. Wykrzyczał na całe gardło, że woli być Francuzem do szpiku kości niż wyniosłym, bladolicym Anglikiem bez serca. Niefortunnym zbiegiem okoliczności utarczka miała miejsce na półpiętrze. Gdy dziadek wymierzył mu potężny policzek, spadł ze schodów i mocno się poturbował. Leczenie złamanych kończyn zatrzymało go w Anglii znacznie dłużej, niż pierwotnie planowano.

Po tym incydencie obarczył wicehrabiego winą za wszystkie przyszłe nieszczęścia. Nie za to, że go uderzył i nie za zgruchotane kości, lecz za to, że przez niego nie zdążył wrócić do rodzinnego domu. Kiedy wydobrzeał na tyle, aby móc podróżować, było za późno. Całą Francję toczyła już plaga Terroru \*, która dotarła również do sielskiej Normandii.

Powiedziano mu, w jaki sposób jego rodzina pożegnała się z życiem. Długo próbował wyprzeć tę okrutną wiedzę ze świadomości, lecz nie zdołał. Rozwahał czasem, czy śmierć od

gilotyny nie byłaby litościwsza. Niczego by nie poczuli, choć siostry z pewnością przeraziłaby myśl o tym, co je czeka. A Charles-Louis?

Powolne konanie w płomieniach musiało być potworne; zginęli wszyscy, rodzice, siostry, brat i mały braciszek, babcia, korpulentny lokaj, który towarzyszył mu podczas rejsu, i śliczna pokojówka, która pozwoliła mu się kiedyś pocałować. Umierali w męczarniach, a on bawił w bezpiecznej Anglii i nie przybył im na ratunek. Nie zdołał ich ocalić.

Zastanawiał się nieraz, czy owi trzej wieśniacy, którzy niegdyś sprawili mu cięgi, przyłączyli się do żadnego krwi pospólstwa. Zapewne tak. Może to nawet oni podłożyli ogień. Obie strony konfliktu

• **Terror jakobiński (27 czerwca 1793-27 lipca 1794) znany także pod nazwą „Wielki Terror” - okres bezprzykładnej fali przemocy, która trwała przez ponad rok w czasach Rewolucji Francuskiej). Na skutek tarć pomiędzy rywalizującymi o przejęcie władzy frakcjami politycznymi żyrondistów i jakobinów doszło do masowych egzekucji. Szacuje się, że od gilotyny zginęło wówczas 16-40 tysięcy ludzi. Mordowano lub więziono tzw. wrogów rewolucji; przeciwników rządów jakobińskich, „nieudolnych” oficerów, oraz osoby związane niegdyś z dworem królewskim. Większość ginęła niewinnie (przyp. tłum.).**

miały swoje racje, tak czy inaczej Christian znienawidził rodaków matki z całej duszy i wyrzekł się francuskiej części samego siebie.

Od tamtych wypadków upłynęło dwadzieścia lat. Ze zrozumiałych względów coraz rzadziej sięgał pamięcią do tragicznych wydarzeń, które pozbawiły go wszystkiego, co w życiu ukochał. Sam nie wiedział, czemu wspomina je akurat tego ranka. Być może dlatego, że choć od dawna miał się za Anglika w każdym calu, nie zdołał wykorzenić w sobie starych nawyków. Nie potrafił wmusić w siebie angielskiego śniadania, a wołowinę i piwo o poranku uważał za niezmiennie odpychające. Upił łyk gorącej czekolady i skubnąwszy odrobinę rogalika, wyrzwał na zewnątrz. Niebo miało kolor błękitnych oczu małego Charlesa--Louisa. Kiedy Crosby Pennington pojawił się w jego kwaterze - jak zwykle nieprzyzwoicie punktualnie, mimo że poprzedniego wieczoru spożył niebywałe ilości rozmaitych trunków - Montcalm był już wykąpany, ubrany i gotowy do wyjścia na spotkanie świata. Rozmyślał o łatwiej zdobyczy w osobie panny Chipple oraz o zionącej ogniem smoczycy, przy czym możliwość ponownego spotkania z tą ostatnią wydała mu się znacznie bardziej zajmująca. Przypuszczał, że wyrzuciła kwiaty, które jej podarował. Pewnie wylądowały za oknem. Wiedział już, że jest córką barona Jamesa Kemptona, który przehulał cały majątek, po czym skrzył kark, wypadłszy z siodła. Osierocił trzy córki. Dwie spośród nich na swoje szczęście były zamężne, jednej przypadła w udziale rola zubożałej starej panny bez dachu nad głową i widoków na zamąż-pójście. Na osłodę pozostał jej jedynie tytuł przed nazwiskiem; czcigodna panna Annelise Kempton. Cóż, niełatwo się wykarmić samym szacunkiem bliźnich.

Ponoć odbyła kiedyś sezon w Londynie, tyle że niewiele jej z tego przyszło. Prawdopodobnie już ją widywał, co nie znaczy, że zauważył. Jego uwagę przyciągały z reguły wyłącznie panny olśniewającej urody, a smoczyce - choć nie jest pozbawiona wdzięku - trudno uznać za zniewalającą piękność. Naturalnie nie nazwałby Annelise brzydulą, zbyt wiele mu się w niej podobało, szczególnie ukryte za szpetnymi szklami prześliczne, szare oczy. Miała też zaskakująco ponętne usta, nie mówiąc o nieskazitelnej jasnej cerze. Czy pod ubraniem jej skóra jest równie miękka i jedwabista jak na twarzy i karku? Rozmyślał o tym i o niej samej coraz częściej, choć przynajmniej na jakiś czas powinien wybić ją sobie z głowy. Na razie musi zadbać przede wszystkim o pomyślne zwieńczenie znajomości z panną Chipple. Smoczyca będzie jego kolejnym trofeum. Kiedy poślubi Henriette i zacznie dzielić z nią łóżę - niekoniecznie w tej kolejności - będzie mógł skupić całą uwagę na układnej pannie Kempton.

## Rozdział szósty

Choć wetknięty w gorset liścik palił skórę, Annelise rozpoczęła nowy dzień ze spokojem. Był piękny, słoneczny poranek, aura w sam raz na orzeźwiająca przechadzkę po parku. Naturalnie zamierzała zabrać ze sobą niepokorną podopieczną. Znalazła Hetty w jej pretensjonalnie urządzonej sypialni, pochyloną nad książką. Schowała ją pospiesznie, ale panna Kempton zdażyła zauważyć, że to jedna z popularnych francuskich powieści. Sama za nimi przepadała, mimo że spotykały się z powszechną krytyką. Być może jeszcze jej nie czytała... Nie zapyta o tytuł, pozbawiłaby się tym samym resztek godności.

- Pomyślałam, że dobrze nam zrobi spacer -oznajmiła. - Ruch wyjdzie nam na zdrowie.

Hetty obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem.

- Nie potrzebuję ruchu. Miałam go wczoraj aż nadto. To pani podpierała ściany podczas balu. Niech pani idzie sama.

Zatem panna Chipple szczęśliwie nie zauważyła, że tańczyłam z Montcalmem, pomyślała z ulgą Annelise. Tak czy owak należy jej się nauka za grubiaństwo.

- Tak się składa, że mnie również zaprosił do tańca pewien bardzo przystojny dżentelmen

-oznajmiła nie bez satysfakcji. - Świeże powietrze przyda ci się tak samo jak mnie.

- Proszę się nie martwić, otworzę okno.

- Nie, młoda damo, włożysz buty i kapelusz i wyjdiesz ze mną do parku. W przeciwnym razie niezwłocznie poinformuję twojego ojca, od kogo dostałaś kwiaty.

- Sam się domyśli - odparła wyraźnie niezadowolona Henrietta, ale podniosła się i sięgnęła po pantofle. - Poza tym mówiłam już pani, że potrafię go przekonać, do czego tylko zechcę.

- Nawet do tego, aby pozwolił ci poślubić mordercę?

Panna Kempton powiedziała to celowo. Próbowwała zaszokować Hetty, lecz ta, o zgrozo, skwitowała jej pytanie wzruszeniem ramion.

- Co też pani opowiada? To niedorzeczne. Nie wierzę, że mógłby kogokolwiek pozbawić życia.

- Owszem. Zabił co najmniej trzech ludzi w pojedynkach.

- Pojedynki to nie morderstwo, ale skoro już o tym mowa, będę musiała mu tego zabronić.

Monarchia nie zezwala na honorowe walki. Nie mam ochoty spędzać kilku miesięcy za granicą



tylko po to, aby ucichł jakiś skandal z jego udziałem.

- Zmierzasz zatem go zmienić? - zapytała sceptycznie Annelise.

- Naturalnie. Przypuszczam, że kiedy się ustatkuje, stanie się potulny i nudnawy jak inni mężowie. Zdaje się, że życie w rodzinnym stadle wpływa tak na większość mężczyzn.

- Twierdzisz więc, że gdy cię poślubi, z miejsca straci zainteresowanie pojedynkami i hazardem? Że przestanie uganiać się za kobietami?

Hetty otworzyła szeroko oczy.

- A po cóż miałyby to robić? Przecież będzie miał mnie.

Pozazdroszczenia godne samouwielbienie, stwierdziła w duchu panna Kempton.

- Obawiam się, że ta bezprzykładna wiara w zbawienną siłę miłości jest nieco przesadzona.

Nie podzielam twojego entuzjazmu.

- To dlatego, że jest pani starą panną. Nikt pani nie zechciał, wobec tego uznała pani, że prawdziwa miłość nie istnieje.

- Ty za to jesteś przekonana, że Christian Montcalm cię kocha, czy tak?

- Oczywiście. Dlaczego miałyby mnie nie kochać? Jestem piękna, żywiołowa, powabna, a w dodatku bogata. Nie można mi się oprzeć.

Ku zdumieniu Annelise, w głosie Henrietty pojawiła się nutka cynizmu. Zdaje się, że nie doceniła jej inteligencji. Panna najwyraźniej zdawała sobie sprawę z tego, że jej głównym atutem jest posag, a jednocześnie wysoko ceniła swoją urodę. Miała ochotę dodać jej otuchy, ale zdusiła w sobie ten impuls.

Park był pełen ludzi. Panna Kempton rozejrzała się dokoła z niejaką obawą. Dręczył ją obsesyjny lęk, że za moment wypatrzy w tłumie wysoką sylwetkę Montcalma. Tłumaczyła sobie, że ryzyko spotkania jest znikome. Niemożliwe, żeby pojawił się w pobliżu w tym samym czasie, co ona i jej krnąbrna podopieczna. Spacerowały w milczeniu, gdy wtem Hetty zatrzymała się znienacka i zastygła w miejscu z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Hetty! Panno Chipple!

Jakiś młodzian biegł ku nim, deptając wypiełgnowane trawniki. Annelise zatknęła okulary na czole i wytężyła wzrok, aby lepiej mu się przyjrzeć. Nigdy wcześniej go nie widziała. Miał ogorzałą cerę, zbyt długie włosy i nosił typowo wiejskie ubranie.

- Panno Chipple! - zawołał raz jeszcze i przyspieszył kroku. - Zechce mi pani wybaczyć - zwrócił się najpierw do Annelise. - Jestem przyjacielem panny Henrietty sprzed lat. Kiedy ją zobaczyłem, dałem się ponieść radości z ponownego spotkania. Będę niezmiernie wdzięczny, jeśli pozwoli mi pani się przedstawić.

Panna Kempton skinęła głową. Była ciekawa, co wyniknie z tej rozmowy. Widok oniemiałej podopiecznej ją zaintrygował. Zastanawiała się, kim jest mężczyzna, który potrafi zamienić elok-wentną zazwyczaj dziedziczkę w poblady posąg.

- William Dickinson - przedstawił się młodzieniec. - Hetty i ja razem dorastaliśmy.

- Co tu robisz, Will? - zapytała z wyrzutem Henrietta. - Wiesz przecież, że nie powinniśmy się spotykać.

- Nie wolno mi nawet sprawdzić, jak się miewa dawna przyjaciółka? Skoro już znalazłem się przypadkiem w Londynie...

- Przypadkiem? Przecież nie cierpisz Londynu. W ogóle nie lubisz miasta. Sam kiedyś mówiłeś, że chcesz osiąść na stałe w Kent i poświęcić się zarządzaniu majątkiem jak przykładowy obywatel ziemski.

- Ostatnio doszedłem do wniosku, że mógłbym spróbować żyć inaczej.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślała panna Kempton, spoglądając uważnie to na jedno, to na drugie.

- To już nieważne - odparła Henrietta. - Nie wyrzekniesz się rodziny. Nie jesteście wystarczająco znani i szanowani, aby zadowolić mojego ojca. Poza tym nie masz tytułu, a ja zasługuję na coś więcej niż nudny żywot na ponurej prowincji. Miałabym zajmować się wyłącznie rodzeniem dzieci i tyciem? Nigdy. Jestem stworzona do czego innego i bardzo podoba mi się w stolicy. Mam mnóstwo zalotników, bywam na salonach, tańczę do upadłego, chodzę do teatrów, odbywam inspirujące dyskusje o literaturze i...

William zdarł z głowy kapelusz i zgniótł go w dłoniach.

- Aż tak bardzo się nie zmieniłaś, Hetty. Nigdy w to nie uwierzę. Nie przepadasz za muzyką, nie lubisz teatru, chyba że w sztuce pojawia się trup, a o książkach, które czytujesz, nie dyskutuje się w wytwornym towarzystwie. Większość ludzi nie gustuje w powieściach. To

przez ojca nabrałaś wielkich aspiracji, ale w głębi serca wiesz, że będziesz szczęśliwa tylko tam, gdzie się wychowałaś, na wsi, u boku mężczyzny, który cię kocha.

- Mężczyzny? - powtórzyła szyderczo. - Raczej chłopca, towarzysza dziecięcych zabaw. Może i byłeś moją pierwszą sympatią, ale teraz muszę myśleć o przyszłości. Małżeństwo to dla mnie szansa na społeczny awans. Niedługo zostanę wicehrabiną.

- Ach, tak... A czy twój wybranek cię kocha?

- Naturalnie. Jest urodziwy, nie za stary i wyjątkowo dowcipny. Zamierzam ułożyć sobie życie z kim innym, Will. Pora byś i ty zapomniał o przeszłości. Wracaj do Kent. To nie miejsce dla ciebie.

Annelise oddała by fortunę, której nie miała, aby zobaczyć minę Montcalma, kiedy Hetty nazwała go „nie za starym”. Przypatrzysz się Dickinsonowi, uznała go za bardzo przystojnego, acz odrobinę kościstego młodzieńca. Był poirytowany i zaciskał mocno usta, ale patrzył z zachwytem i uwielbieniem na Henriettę. Mieliby śliczne potomstwo, pomyślała, po czym przypomniała sobie o obowiązkach przyzwoitki.

- Panie Dickinson - odezwała się uprzejmie - może wstąpi pan do nas na herbatę? Będą państwo mieli więcej swobody, aby dokończyć rozmowę.

- Niestety, nie jestem mile widziany w domu

pana Chipple'a - odparł młody człowiek. - Zresztą, nie mam niczego więcej do powiedzenia. Może poza tym, że Londyn to również nie twoje miejsce na ziemi, Hetty. Jedź ze mną do domu. Nie potrzebujemy pieniędzy twojego ojca ani miejskich ekstrawagancji. Pobierzmy się i...

- Mówiłam ci już, że to wykluczone - przerwała mu panna Chipple. - Ojciec także się temu sprzeciwia. Zapewniam, że czuję się tu bardzo dobrze. Jestem zadowolona i szczęśliwa. Wracaj do Applewood i zapomnij, że mnie kiedykolwiek spotkałeś - oznajmiła, ale w jej głosie nie było przekonania, a błękitne oczy podejrzanie zwilgotniały.

Panna Kempton podała jej chusteczkę.

- Nie jest mi potrzebna - zaprotestowała Hetty, ale i tak otarła mokre powieki. - Nic mi nie będzie. Jestem tylko zła. Czemu nie chcesz tego zrozumieć, Will? Byliśmy wtedy młodzi i nierozsądni. Teraz jestem dorosła. Zrozumiałam, że życie nie zawsze daje nam to, czego pragniemy. Widać nie było nam pisane...

Annelise żałowała, że nie wzięła drugiej chustki. Biedny pan Dickinson wyglądał tak, jakby i on miał się za moment rozplakać. Widać było gołym okiem, że wbrew woli ambitnego rodzica Hetty upatruje swojego szczęścia właśnie w Williamie.

- Jaki piękny dzień - powiedziała wiedziona niezrozumiałym impulsem. Zignorowała przy tym poczucie lojalności wobec gospodarza. Postanowiła dopomóc młodym, mimo że pan Josiah wyraźnie sobie nie życzył, aby jego córka poślubiła dawnego ukochanego. - Może usiądą państwo na ławce przy stawie? Będę was stąd doskonale widziała, a wy będziecie mogli porozmawiać na osobności.

- Naprawdę? - uradował się Will. - Pozwoli nam pani się oddać, panno... panno...
- Kempton. - Henrietta przypomniała sobie o manierach i spojrzała tęsknie we wskazanym przez opiekunkę kierunku.
- Oczywiście. Nie widzę przeszkód. Będę tu na was czekała. - Annelise posłała im zachęcający uśmiech.

Pan Dickinson uroczyście podał ramię ukochanej. Hetty wsunęła w nie rękę i podniosła na niego wzrok. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Była zakochana po uszy tak jak on w niej. Sielankowy żywot na prowincji bez wątpienia uczyniłby ją ogromnie szczęśliwą.

Uwielbiała wysłuchiwać komplementów na temat swojej urody, ale miała na tyle rozumu, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że pragnie od życia czegoś więcej. Ponadto mogła być pewna, że William będzie jej całkowicie oddany i otoczy ją troskliwą opieką. Czegóż chcieć więcej od męża? Gdy odchodzili, Annelise przyglądała się im ze łzami wzruszenia w oczach. Skąd u niej ta ckliwość? Sięgnęła do kieszeni, ale ponieważ niczego w niej nie znalazła, pociągnęła głośno nosem. Po chwili zza jej pleców wychynęła odziana w rękawiczkę dłoń trzymająca nieskazitelnie białą, koronkową chustkę.

- Jasny piorun! - wymknęło jej się, nim zdążyła się pohamować. Swego czasu nauczyła się od ojca kilku soczystych przekleństw.

Montcalm roześmiał się.

- Doprawdy, nie spodziewałem się tego po pani, smoczyco. Czy Henrietta wie, że czcigodna panna Kempton pomstuje jak przekupka?

- Nie zna pan moich możliwości albo nie słyszał pan nigdy przekupki. Nie rozeźlił mnie pan aż tak bardzo, bym zaczęła zionąć prawdziwym ogniem. Jeszcze nie.

Mężczyzna nie powinien być taki piękny, pomyślała Annelise. Drobne zmarszczki wokół oczu to z pewnością rezultat hulaszczego trybu życia. Nawet jeśli nie powstały od śmiechu, przydają mu nieodpartego wdzięku. Jak tu się dziwić, że Hetty uległa jego urokowi? Na szczęście sama jest nań odporna.

- Czyżby panna Chipple umówiła się z panem na spotkanie? - zapytała, spoglądając na niego podejrzliwie.

- Ależ skądże. To czysty zbieg okoliczności. Gdyby tak było, nie oddaliłaby się bez opieki z innym mężczyzną.

- Nie odeszli bez opieki. Widzę ich stąd jak na dłoni. Zresztą sama ich tam posłałam - wyjaśniła Annelise.

Nie przewidziała tylko, że usiądą tak blisko siebie i że Will obejmie Hetty ramieniem. Powinna wstać i ich rozdzielić, ale gdyby to zrobiła, Christian poszedłby za nią, a była to ostatnia rzecz, jaka była jej teraz potrzebna. Skomplikowałyby to sprawy, które i bez tego mocno się pogmatwały.

- Sama ich pani odesłała, smoczyco? Czemu mnie to nie dziwi? I w czym, pani zdaniem, ów krzepki wieśniak mnie przewyższa?

- To zacny i prawy młodzian. Panna Chipple zasługuje na kogoś lepszego niż nikczemny, odstręczający...
- Panno Kempton, gdzie się podziały pani maniery? Nie pojmuję, dlaczego zapałała pani do mnie tak wielką niechęcią. Jestem przecież czarujący, dowcipny...
- Aż za bardzo jak dla mnie - odparła cierpko.
- *Merci du compliment...* Wyznam jednak po raz wtóry, że nie lubię, gdy inni próbują niweczyć moje plany, nawet takie śliczne małe smoczyce jak pani. Annelise ogarnęła złość.
- Wyjaśnijmy coś sobie, panie Montcalm - odparła stanowczo. - Pan nie lubi, gdy ktoś wtrąca się w pańskie sprawy, a ja nie lubię, kiedy się ze mnie jawnie drwi. Oboje wiemy, że nie jestem ani mała, ani śliczna. Nie musi mi pan o tym przypominać.
- Interesujące... - mruknął, jakby mówił do samego siebie. W jego oczach w miejsce wesołości pojawiła się zaduma. - Zdaje się, że niechcący trafiłem w czuły punkt. Zupełnie niepotrzebnie ma pani z tego powodu kompleksy. Otworzyła usta, by wyrzucić z siebie kolejną obelgę, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, nakrył je dłonią. Choć dotykał jej przez rękawiczkę, poczuła nagły skurcz żołądka. Natychmiast przypomniał jej się ubiegły wieczór.
- Nieważne. Wyleczymy z nich panią później. Tymczasem wypada mi rozdzielić tych dwoje gołąbeczków.



Pan Dickinson nadal obejmował czule wybrankę swego serca. Ich głowy niemal się ze sobą stykały. Panna Kempton podejrzewała, że zajmuje ich w tej chwili coś innego niż ożywiona rozmowa.

- To nie pańska sprawa i nie pańska powinność.

- Owszem, jedno i drugie. Mam wobec Henrietty poważne i uczciwe zamiary. Moja przyszła małżonka zachowuje się niestosownie. Byłoby co najmniej dziwne, gdybym nie próbował w tej sytuacji interweniować. Jeśli pozwolę, by naraziła na szwank reputację, nie zyskam znaną w oczach jej ojca. Co innego, jeśli zapobiegę katastrofie i nie dopuszczę do tego, żeby zrobiła z siebie pośmiewisko. Będzie mi winien dozgonną wdzięczność, czyż nie?

- Proponuję, by się pan oddalił i zostawił to zadanie mnie. Panna Chipple i pan Dickinson są młodzi i zakochani, ale z pewnością znają dobre obyczaje. W przeciwieństwie do innych wyznają jakieś zasady...

- Zakładam, że to przytyk do mojej skromnej osoby? Słowo daję, panno Kempton, jest pani dla mnie stanowczo zbyt surowa i niesprawiedliwa. Jeśli sądzi pani, że nie wzrusza mnie widok młodych kochanków, to jest pani w wielkim błędzie. Przykro mi będzie ich rozdzielić, lecz cóż, potrzebuję na gwałt fortuny panny Chipple, dlatego zamierzam ją poślubić, i to bez względu na to, co powiedzą jej ojciec lub ukochany.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że jeśli córka wyjdzie za mąż nie po jego myśli, pan Josiah może ją wydziedziczyć?

- Wątpię. Pobląza jej na każdym kroku. Poza tym na kogóż miałby wydawać pieniądze, jeśli nie na nią? A może pani zamierza zagiąć na niego parol? Gdyby się z panią ożenił...

- W żadnym razie. - Wzdrygnęła się bezwiednie. - Skąd panu przyszedł do głowy ten niedorzeczny pomysł?
  - Przyznam, że mi ulżyło. Nie jest pani aż tak praktyczna, jak się na pierwszy rzut oka wydawało, a to pozwala mi zachować nadzieję.
  - Nadzieję? Na co?
- Posłał jej enigmatyczny uśmiech, lecz nie raczył odpowiedzieć.
- Poza tym gdyby została pani żoną kogoś takiego jak Chipple, byłaby to niepowetowana strata.
  - Słusznie, fortuna przeszłaby panu koło nosa - podsumowała z kpiną.
  - Nie miałem na myśli pieniędzy.
  - Niechże pan wreszcie przestanie błaznować! - nie wytrzymała Annelise. Jej cierpliwość miała swoje granice. - Może pan flirtować, z kim się panu podoba, ale ze mną niczego pan nie wskóra. Proszę raz na zawsze wbić sobie do głowy, że czcze pochlebstwa nie robią na mnie najmniejszego wrażenia. Nie jestem podatna na pańskie wątpliwe wdzięki. Nie uda się panu mnie omamić i przeciągnąć na swoją stronę. Nie będę pańską sojuszniczką i nie pomogę panu w zdobyciu panny Chipple. Nie jest pan jej wart.
  - Zapewne - odparł z niezmaconym spokojem - ale i tak mnie poślubi. Czy jej się to podoba,

czy nie. Byłbym ostatnim głupcem, gdybym pozwolił, aby tak łakomy kąsek wymknął mi się z rąk. Hetty jest zwyczajnie zbyt cenna, żebym porzucił swoje zamiary wobec niej. Pani to zupełnie co innego...

- A jakże - odparła bez mrugnięcia okiem Annelise. Znała swoje niedostatki. Nie miała ochoty wysłuchiwać kolejnej litanii wad, których się w niej doszukał. - Panna Chipple to piękna i bogata dziedziczka, ja zaś jestem stanowczą i upartą starą panną, która nie dopuści do tego, by takie młode, niewinne dziewczę oddało swoje życie w ręce nikczemnego niegodziwca i... i... rozpustnika... - Umilkła, uzmysłowivszy sobie, że posunęła się za daleko.

Montcalm zareagował leniwym uśmiechem.

- A cóż pani może wiedzieć o rozpuście? -zapytał z przekąsem.

- Nic. Zupełnie nic.

- Właśnie. Niech się pani nie martwi. Chętnie wypełnię tę lukę w pani edukacji. Kiedy już doprowadzę do ślubu z Hetty, będę miał mnóstwo czasu, aby się panią zająć. Nie uwierzy pani, jak ożywcze i inspirujące mogą być pewne doświadczenia.

Zanim zebrała się na odpowiedź, odszedł równie nagle, jak się pojawił. Zdawała sobie sprawę, że w jednej chwili zapomniał i o niej, i o rozmowie, którą właśnie odbyli. Oddałaby wszystko, aby zapomnieć o nim i o jego słowach.

## Rozdział siódmy

Panna Kempton jest naprawdę urocza, pomyślał Christian, maszerując niespiesznie przez park. Chyba nigdy dotąd nie spotkał tak drażliwej i napastliwej, a zarazem nie pewnej siebie i czarująco bezbronnej istoty. Większość kobiet, które znał, była albo niesłychanie urodziwa, albo cokolwiek zdeprawowana. Annelise nie można było przypisać żadnej z tych właściwości. Zupełnie niechcący trafił w jej czuły punkt. Nie miała nic przeciw temu, aby nazywał ją „smoczycą”, za to określenia „śliczna” i „mała” wyraźnie ją rozgniewały. Cóż, prawdę powiedziawszy, rzeczywiście nie była mała. W każdym razie nie wzrostem. Nieefektywne i bezkształtne stroje, przy których się upierała - wliczając suknię wieczorową - skutecznie maskowały jej wdzięki, lecz mimo to wczorajszego wieczoru zdołał się upewnić, że jest smukła w jednych i zaokrąglona w innych, właściwych miejscach.

Co do drugiego słowa, którym ją określił, uważał, że jest jak najbardziej trafne. Jego zdaniem, była ładna. Miał ochotę ją pocałować już przy pierwszym spotkaniu, kiedy otworzyła usta, aby udzielić mu reprimendy. Chciałby ją zobaczyć z rozpuszczonymi-włosami, bez tego szkaradnego odzienia i bez paskudnych okularów. Chętnie zdeptałby je obcasem.

Podejrzewał, że nie nosiła ich z powodu rzeczywistej wady wzroku, lecz po to, aby się za nimi ukryć.

Dość o tym. Nie wolno mu się rozpraszać. Teraz liczy się wyłącznie Hetty. Sprawy przybrały bardzo korzystny obrót. Pan Josiah będzie wielce niezadowolony, kiedy dowie się o przyjeździe dawnego ukochanego córki do Londynu. Kiedy Christian postanowił przez ożenek wejść w posiadanie fortuny panny Chipple, przeprowadził dyskretny wywiad na temat jej rodziny. Pani Chipple zmarła, gdy Hetty była małą dziewczynką, pan Chipple zaś wzbogacił się na przewożeniu towarów drogą morską, choć zaczynał jako skromny kupiec. W jaki sposób w stosunkowo krótkim czasie zgromadził tak wielki kapitał, pozostawało jego tajemnicą. Zresztą, Montcalm nie dbał o to, skąd się wzięły pieniądze przyszłego teścia, najważniejsze, by mógł uszczknąć trochę dla siebie. Miał mnóstwo długów. Wierzyciele naciskali go coraz mocniej, a dobra passa w szulerniach musiała się kiedyś skończyć. Ubiegłej nocy nie wygrał zbyt wiele. Prawdopodobnie rozkojarzyły go zanadto potyczka z panną Kempton i myśl o tym, że ma w kieszeni jej koronkowy czepek. Nie mógł sobie pozwolić na nieuwagę czy roztargnienie. Przez następnych kilka tygodni skupi się wyłącznie na rozwiązaniu problemów materialnych. Potem będzie czas na rozrywki.

Annelise uzmysłowiła sobie, że cały czas ściska w rękę koronkową chusteczkę. Powinna wstać i wdeptać ją w błoto. Wyraziłaby w ten sposób niechęć do jej właściciela. Uznała jednak, że szkoda niszczyć tak ładną rzecz. Ostatnie chude lata nauczyły ją oszczędności. Wsunęła więc delikatny materiał między piersi, tuż obok oburzającego bilecika. Jak tylko wróci do domu, odda chustkę którejś ze służących, liścik spali, a bukiet wyrzuci przez okno. Właściwie to kwiaty mogłaby zachować. Są takie śliczne... To nic, że przysłał je utrapieniec, który najwyraźniej znajduje perwersyjną przyjemność w wykpiwaniu jej na każdym kroku. Zerknęła w stronę pobliskiej ławki. Młodzi siedzieli stanowczo zbyt blisko siebie. Pan Josiah nie będzie zadowolony, ale może zmieni zdanie co do Williama, kiedy dotrą do niego wieści o fatalnej reputacji Montcalma. Zaabsorbowani sobą zakochani nie zauważyli nadejścia opiekunki. Twarz Hetty była mokra od łez, co, o dziwo, przydawało jej uroku. Należała do tych nielicznych kobiet, które, kiedy płaczą, wyglądają czarująco. Mnie zazwyczaj puchną oczy i kapie mi z nosa, pomyślała z żalem panna Kempton. Cóż, nie powinno jej to dziwić. Różniły się od siebie jak ogień i woda. Na jej widok oboje podskoczyli, jakby ich

polano ukropem. Panna Chipple sięgnęła po zdjętą rękawiczkę. Całe szczęście, że świadkami tego tkliwego *tete-a-tete* były tylko kaczkę. W przeciwnym razie opinia dziedziczki mogłaby nieodwołalnie ucierpieć.

- Myślę, że mimo wszystko nie zaszkodzi, jeśli wstąpi pan z nami do domu - odezwała się Annelise. - Zbliża się pora herbaty. Hetty z pewnością będzie uradowana, jeśli odnowi pan przyjazne stosunki z jej ojcem.

Niestety, Henrietta sprawiała wrażenie osoby, którą nieprędko cokolwiek uraduje.

- Will nie może nam towarzyszyć - oznajmiła stanowczo. - Nie zna pani papy; nie znosi, gdy ktoś mu się przeciwstawia.

- Zaręczam, że nikt nie będzie mu się przeciwstawiał, moja droga. Przypuszczam, że rozgniewałby się w dwójnasób, gdyby się zorientował, że zatailiśmy przed nim prawdę.

Prędzej czy później dowie się o waszym spotkaniu.

- Od kogo?

- Ode mnie. Mam wobec niego określone powinności. Poza tym to ja pozwoliłam wam na rozmowę sam na sam.

- Ale... nie musi mu pani o niczym mówić...

- Owszem, muszę. Jeśli nie ja, doniesie mu o tym Christian Montcalm.

- Kim jest ów Montcalm? - zainteresował się żywo Will.

Na wzmiankę o innym zalotniku na policzkach Hetty pojawił się ognisty rumieniec.

- Był tutaj? - zapytała wyraźnie zatrwożona.

- Pan Montcalm to jeden z licznych konkurentów Henrietty - wyjaśniła Annelise na użytek

Dickinsona. - Najmniej odpowiedni, a zarazem najbardziej zagorzały ze wszystkich. Jeśli stworzymy mu ku temu okazję, zacznie sprawiać kłopoty. Tylko na to czeka.

- Nieprawda! - zaprotestowała gwałtownie dziedziczka. - Nie starałby się świadomie mi zaszkodzić.

William spojrział na nią, nie kryjąc zdumienia.

- Kochasz go, Hetty? - zapytał rozczarowany.

- Oczywiście, że nie! - odparła oburzona. - Chcę tylko za niego wyjść za mąż.

Usłyszawszy to prostolinijne wyznanie, pan Dickinson zrobił minę, jakby zamierzał wziąć nogi za pas. Panna Kempton chwyciła młodych za ręce i pociągnęła oboje w stronę ulicy, aby temu zapobiec. Pan Josiah z pewnością nie jest aż tak srogi, jak go przedstawia córka, a im szybciej stawią mu czoło, tym lepiej dla całej trójki, uznała.

- Zjemy w zielonym salonie - poinformowała pokojówkę, gdy dotarli na miejsce. - Poproś pana Chipple'a, by do nas dołączył, jeśli nie jest zajęty.

Ściany „zielonego” salonu w istocie miały raczej barwę żółci. Ów wyszukany kolor sprawiał, że na jego tle każdy wyglądał jak trup - każdy z wyjątkiem Hetty naturalnie. Zdaniem Annelise, nic nie było w stanie umniejszyć nieskazitelnej urody młodej dziedziczki. Może jestem przesadnie cyniczna, skarciła się w duchu. Może Christian - wbrew temu co sam deklaruje - zakochał się w pannie Chipple bez pamięci, a jej posag stanowi



jedynie dodatkową zachętę do ożenku. Dobrze sobie. Trudno o większy nonsens. Gdyby rzeczywiście pałał płomiennym uczuciem do Hetty, nie marnowałby czasu z nią, a już na pewno by jej nie całował. Koncentrowałby wysiłki na ukochanej, zamiast dręczyć jej opiekunkę.

William i Henrietta milczeli jak zakłęci, niewątpliwie z powodu Montcalma. Panna Kempton wzięła więc rolę gospodyni na siebie. Paplała o pogodzie i zadawała zdawkowe pytania, na które młodzi odpowiadali monosylabami. Dopiero gdy poruszyła temat wsi, rozmowa wyraźnie się ożywiła. Pan Dickinson zaczął mówić ze swadą, a Hetty chętnie mu wtórowała. Atmosfera nieco się rozluźniła, lecz nie na długo.

Wkrótce w progu pojawił się gospodarz i omiółtł zebranych złowrogim spojrzeniem. Jego córka skuliła się bezwiednie i odwróciła wzrok. Miała winę wypisaną na twarzy. Will nie stchórzył. Poderwał się i mężnie wziął byka za rogi.

- Dzień dobry panu - przywitał się układnie. Jego głos prawie nie zdradzał oznak podenerwowania. - Natknąłem się na panie podczas spaceru w parku. Panna Kempton była uprzejma zaprosić mnie na herbatę. Mam nadzieję, że nie nadużyłem pańskiej gościnności. Przybyłem do miasta na krótko i pomyślałem, że przy okazji warto odnowić znajomość z dawnymi sąsiadami.

- Miło cię widzieć, Will - odrzekł chłodno pan Josiah. - Co cię sprowadza do stolicy? Jesteś przecież zagorzałym zwolennikiem życia na wsi. Nie sądzę, żebyś czuł się dobrze w metropolii.

- Przyjechałem na prośbę ojca. Sądził, że uda mi się nabrać nieco miejskiej ogłady, ale to zapewne daremny trud.

- To dobrze, że potrafisz dostrzec, gdy masz do czynienia z przegraną sprawą, chłopcze - skwitował z krzywym uśmiechem Chipple. - Kiedy wracasz do domu?

- Zatrzymałem się w Londynie na tydzień. Dobry obyczaj nakazywał udzielić panu Dickinsonowi gościny albo przynajmniej zaprosić go na kolację. Annelise już otwierała usta, aby to zrobić, lecz w ostatniej chwili powstrzymało ją wyczuwalne napięcie między mężczyznami. Przyjazny zazwyczaj pan Josiah wydał jej się zdecydowanie mniej życzliwy.

- W takim razie może jeszcze się spotkamy, choć wątpię, żebyśmy obracali się w tych samych kręgach. Hetty, powinnaś chyba wypocząć przed dzisiejszym balem u lady Helton. Mnóstwo zalotników zabiega o względy mojej córki, Williamie. Biedactwo, często bywa wyczerpana. Panno Kempton, chciałbym z panią pomówić na osobności, jeśli łaska. Proszę zająć do mnie w wolnej chwili.

Pan Dickinson został zwyczajnie odprawiony i w żaden sposób nie można było temu zaradzić. Nawet Henrietta nie odważyła się zaprotestować. Pożegnała apatycznie oddanego wielbiciela i wyszła wraz z ojcem z salonu. Panna Kempton nie posiadała się z oburzenia. Gospodarz potraktował gościa wyjątkowo nieuprzejmie. Postanowiła załagodzić sytuację, wciągając niepokieszonego Williama w dalszą pogawędkę o hodowli owiec

i bydła. Wyczuła, że młodzieniec chciałby jej się zwierzyć, uznała jednak, że nie powinna wiedzieć zbyt wiele. W ten sposób mogła udawać, że nie ma pojęcia o jego potajemnych amorach z Hetty. Jeśli się okaże, że pan Chipple nie życzy go sobie jako zięcia, będzie musiała zrobić wszystko, by trzymał się z daleka od jej podopiecznej. Nadal jednak miała nadzieję, że uda jej się ocalić Henriettę od Montcalma.

Około pół godziny później zapukała do drzwi gabinetu pana Chipple'a. Nie raczył unieść głowy znad dokumentów. Jako że nie miała zwyczaju czekać, weszła zdecydowanym krokiem do środka i usiadła na krześle naprzeciw biurka.

- Życzył pan sobie ze mną mówić? Spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony. Zapewne nie spotkał dotąd kobiety, której nie udałoby mu się zastraszyć. Odłożywszy na bok papiery, rozparł się wygodnie w fotelu. Nie wstał na jej powitanie, choć wymagały tego dobre maniery. Dawał jej w ten sposób do zrozumienia, jak bardzo jest nią rozczarowany. Będzie musiała kiedyś mu wytłumaczyć, że wyrażanie niezadowolenia nie musi wiązać się z brakiem taktu. Tymczasem czekała w milczeniu na słowa reprimendy. Zaczynała rozumieć, z jakich powodów panna Chipple odczuwa przed ojcem tak ogromny respekt.

- Will Dickinson nie jest mile widzianym gościem w tym domu - zaczął bez wstępów.

- Doprawdy? Nie wydaje się szczególnie groźny. Poza tym rozumiem, że on i pańska córka znają się z czasów dzieciństwa. Pomyślałam, że spotkanie ze starym przyjacielem choć w niewielkim stopniu pomoże jej złagodzić tęsknotę za domem.

- A cóż to znowu za pomysł?! Dom jest teraz tutaj, w Londynie. Przywiązanie do Williama to tylko dziecinna mrzonka. Henrietta zna swoją powinność i wypełni ją bez słowa sprzeciwu.

- A jaka jest jej powinność, jeśli wolno spytać?
  - Sądziłem, że już się w tym względzie porozumieliśmy, panno Kempton. Ma wyjść za mąż za dżentelmena z tytułem. Majątek przyszłego małżonka nie gra roli. Idzie wyłącznie o to, aby ów człowiek zapewnił jej i ich wspólnemu potomstwu przynależność do towarzyskich elit. Dzięki urodzie Hetty i hojnemu posagowi nie powinno być z tym najmniejszego kłopotu. Możliwości jest wiele, dlatego nie chcę, aby Dickinson odwracał jej uwagę od tego, co naprawdę ważne. Jak wiadomo pannom w tym wieku łatwo zawrócić w głowie, a moja córka nie jest szczególnie lotna. Na szczęście ma na tyle rozumu, aby robić to, co jej każę. Mimo to chcę zyskać pewność, że nie ulegnie żadnej pokusie związanej z dawnym życiem na prowincji.
- Annelise zastanawiała się, co powiedzieć. Dziedziczka okazała się znacznie bystrzejsza, niż sądził jej ojciec, ale prawdopodobnie przekonywanie go o tym nie miało najmniejszego sensu.
- Czy pan Dickinson prosił o rękę Hetty? - zapytała.
  - Owszem, zuchwalec miał czelność to zrobić! Nie rozumiem, skąd mu przyszło do głowy, że

pozwolę, aby mój skarb marnował się u boku zwykłego prowincjusza. Albo dostanę w zamian tytuł, albo nie oddam jej wcale!

Na takie dictum panna Kempton nie znalazła argumentów. Poza jednym.

- Mimo ziemiańskiego pochodzenia - zaczęła odważnie - William jest o niebo lepszym kandydatem od Christiana Montcalma.

- Ten bawidamek wciąż się koło niej kręci? -Pan Josiah się skrzywił. - Ma pani słuszość, mogłaby trafić lepiej. Co nie znaczy, że się nie nada/Jeśli inne ewentualności zawiodą, nie będę oponował - ostatecznie ma zostać wicehrabią. Owszem, doszły mnie słuchy, że to niegorszy łajdak, ale nie wątpię, że ożenek sprowadzi go na właściwą drogę.

- Obawiam się, że nie w pełni pojmuję pan powagę sytuacji. Dla większości szanowanych rodzin pan Montcalm to *persona non grata*. Ma tak fatalną reputację, że najbardziej wpływowe osobistości skazały go na towarzyską banicję. Skandaliczne postęпки z przeszłości nieprędko pójną w niepamięć. Nie wymaże ich nawet małżeństwo z pańską córką. Henriettę zaś spotka taki sam ostracyzm, jaki spotkał jego.

Pan Chipple rozważył w milczeniu jej racje.

- Bardzo pouczające. Rad jestem stwierdzić, że jednak się co do pani nie pomyliłem. Wypada mi się cieszyć, że przyjąłem panią pod swój dach. Rozeznaje się pani w salonowych niuansach znacznie lepiej niż ja. Zdumiewa mnie tylko jedno. Skoro ów Montcalm nie jest przyjmowany w najlepszych domach, dlaczego wciąż się na niego natykamy?

Prawda była oczywista, niemniej uznała, że lepiej pozostawić go w nieświadomości. Podobnie jak Christiana - choć z innych powodów - również nuworyszowskich Chipple'ów podejmowali tylko nieliczni przedstawiciele wyższych sfer.

- Mówiąc bez ogródek, pan Montcalm zwyczajnie ugania się za panną Hetty. Postanowił uczynić z niej swoją żonę, a ona jest mu przychylna. Próbowałam go zniechęcić, lecz nie zważa na moje ostrzeżenia.

- To zrozumiałe - skwitował pan Josiah. - Czemu miałby słuchać kobiety? Cóż, w takim razie osobiście przemówię mu do rozsądku. Tak, dam mu dobitnie do zrozumienia, że jego zaloty nie są mile widziane. Spodziewa się pani, że będzie sprawiał kłopoty?

- Jestem przekonana, że nie tak łatwo zrezygnuje. Jak pan zauważył, Hetty jest nie tylko piękna, lecz także bogata. Któż na jego miejscu poddałby się bez walki?

- Swoją drogą trochę szkoda... Hetty jest nim wyraźnie zauroczona. Mógłby skutecznie odciągnąć jej uwagę od tego prostackiego gamonia, to jest chciałem powiedzieć pana Dickinsona. Poza tym tytuł wicehrabiego to rzecz nie do pogardzenia. Nie wiadomo jak prędko pojawi się lepsza propozycja.

Racja, pomyślała Annelise. Szkopuł w tym, że Chipple'owie nie bywają na najbardziej wykwinnych przyjęciach. Cóż, być może da się temu

zaradzić. Henrietta jest tak śliczna i majątna, że wiele znamienitych matron chętnie przymknie oko na to, iż jej ojciec to zwykły kupiec. Zapewne znajdzie się i taka, która przyjmie ją na synową.

- Za pozwoleniem, sir, moim zdaniem, należy uzbroić się w cierpliwość. Skoro zarówno pan Montcalm, jak i pan Dickinson okazali się nieodpowiedni, zaczniemy szukać dalej.

Zasmuciło ją, że młodzi kochankowie zostaną rozdzieleni. Znów dawała o sobie znać jej sentymentalna natura. Will i Hetty wyglądali razem tak słodko... Pocieszała się myślą, że pan Chipple zdejmie jej z głowy przynajmniej jeden kłopot. Dzięki temu, że go oświeciła, nie będzie musiała znosić dłużej Christiana. Pan Josiah odprawi go z kwitkiem.

- Ja zajmę się Montcalmem, a pani postara się, żeby Hetty przestała wzdychać do Willa. Nie wydam jej za włościanina, choćby miała wypłakać za nim oczy.

Interesujące. Henrietta płakała po Williamie? Twierdziła przecież, że ojciec spełnia każdą jej zachciankę. Najwyraźniej godził się jedynie na to, co sam pochwalał.

- Naturalnie, jak pan sobie życzy. Myślę, że nie powinniśmy uczestniczyć w dzisiejszym balu. Christian Montcalm z pewnością się pojawi, a pan nie będzie miał wcześniej sposobności, aby zniechęcić go do dalszych zalotów.

- Och, proszę się tym nie trapić. Jestem człowiekiem czynu. Nie mam zwyczaju zasypiać gruszek w popiele. Może pani być spokojna. Pan

Montcalm raczej nie zjawi się dziś u lady Helton, pewno w ogóle już go nie zobaczymy.

Dopilnuję, żeby dobrze zrozumiał moje stanowisko.

Annelise nagle poczuła się nieswojo. Być może tylko jej się zdawało, ale wychwyciła w głosie rozmówcy złowrogą nutę.

- Jeśli to już wszystko, chętnie udam się na spoczynek przed wieczornym przyjęciem.
- Oczywiście, panno Kempton. - Tym razem pan Chipple wstał, jak przystało na dżentelmena. - Pani pomoc jest nieoceniona. Musi być pani rześka i wypoczęta, aby mieć oko na moją córkę.

Nie wiedzieć czemu, Annelise była zmęczona. Doszła do wniosku, że to z powodu nadmiaru świeżego powietrza, a nie niepożądanego towarzystwa. W końcu Christian dręczył ją swoją obecnością zaledwie kilka minut. Kiedy wróciła do pokoju i położyła się na łóżku, zaczęły ją uwierać wetknięte w gorset drobiazgi. Wyciągnęła ze stanika liścik oraz koronkową chusteczkę. Choć w kominku tlił się ogień, nie miała siły wstać i wrzucić doń niestosowny bilecik. Przypatrzywszy się z bliska chustce, przyłożyła ją sobie do nosa. Pachniała nią, ale także i nim. Była to mocna, nieznaną i tajemniczą woń. Westchnęła, po czym wsunęła oba przedmioty pod poduszkę. Pozbędzie się ich przy innej okazji. Najważniejsze, że pozbyła się Montcalma.



## Rozdział ósmy

Christian sporo wiedział o kobietach. Potrafił przewidzieć, kiedy przypuścić atak, a kiedy się wycofać. Adorował naiwną pannę Chipple nad wyraz gorliwie i wytrwale, tak by zwierzyzna chwyciła przynętę. Skonstatowawszy wszakże, że dziewczę jest stanowczo zbyt pewne siebie, postanowił przez jakiś czas trzymać się od niej z daleka. Nie obawiał się, że pojawienie się jej dawnego ukochanego pokrzyżuje mu plany. Hetty była młoda i zmienna. Zamierzał uczynić ją swoją żoną, zanim panna zdąży się zorientować, że pragnie na męża kogoś zupełnie innego. *Tant pis*, pomyślał. Tym gorzej dla niej, poprawił się natychmiast. Nie znosił, gdy czasem bezwiednie przychodziły mu na myśl francuskie słowa. Ostatnio przyłapywał się na tym dość często.

Noc w szulerni okazała się nad wyraz owocna głównie dzięki temu, że nie rozpraszały go myśli ani o Henriecie, ani o smoczycy, która tak zawzięcie strzegła do niej dostępu. Szczęście mu sprzyjało, wracał więc na kwaterę ukontentowany i z pełną sakwą. Na jego dobry nastrój wpłynęły niebagatelnie także dwie flaszki wina.

Mieszkał w przyzwoitej dzielnicy, lecz o tej porze żadna okolica nie była całkiem bezpieczna. Naturalnie nie musiał lękać się o własne bezpieczeństwo, chlubił się bowiem swą zapalczywością i brawurą, a jego sława dotarła także na ulice. Żaden rzezimieszek nie odważyłby się go zaczepić. Sądził tak do chwili, gdy skręcił za róg i raptem okazało się, że nie jest sam: Napastnicy, a było ich co najmniej dwóch, czaili się w cieniu. Ciekawe, czy czekają na niego, czy wypatrują przypadkowej ofiary. Zaraz wszystkiego się dowie.

Ruszył chwiejnym krokiem przed siebie. Zataczał się przy tym i mamrotał pod nosem niezrozumiałe przekleństwa. Słowem, udawał łatwą zwierzynę. Napastnicy wyłonili się z ciemności dopiero wtedy, gdy dotarł do drzwi. Byli rośli, nie tak wysocy jak on, za to znacznie tężsi. Dobrze się składa, uznał Christian, wprawdzie są silni, ale powolni. Brzęknął kluczami i celowo zamarudził przy zamku, potem położył rękę na sztylcie i rzekł dobitnie: - Panowie, nie radzę.

Odwrócił się i zmierzył ich taksującym spojrzeniem. Udało mu się zbić ich z pantałyku. Tak mu się przynajmniej zdawało dopóty, dopóki jeden z nich, ten większy - zdaje się, mózg całej operacji - nie postąpił gwałtownie w jego stronę.

- Nie trzeba nam twojej rady, fircyku - odezwał się napasdiwie. - I tak zrobimy swoje.
- Przemyślcie to lepiej. Nie oddam sakiewki po dobroci, a jeśli dojdzie do bójki, nie wyjdziecie z niej bez szwanku.

Opryszek okazał się rozpaczliwie mało rozgarnięty.

- Jest nas dwóch, a tyś jeden i w dodatku cherlak. Nie przyszliśmy po pieniądze, ale przy okazji chętnie się obłowimy, co, Smitty?

- Skoro nie chcecie mnie obrabować - zaczął Christian - to pewnie zamierzacie zabić, zgadłem? Jeśli tak, obawiam się, że wasza misja zakończy się fiaskiem.

- Spokojna głowa, damy radę.

- Wolno spytać, dlaczego umyśliliście sobie mnie ukatrupić? Nie podoba wam się moja twarz? A może jesteście francuskimi rewolucjonistami i próbujecie wprowadzić nowy ład?

- My, Francuzikami? Tfu! Na psa urok. - Jeden z rzezimieszków splunął z odrazą. - Ktoś nas opłacił. To nic osobistego. Zwykła robota, jak każda inna.

- Bez obaw, nie wezmę tego do siebie. Kto was najął? Przychodzi mi na myśl co najmniej tuzin osób, które mogłyby życzyć mi śmierci. Na szczęście dla nich większość zdaje sobie sprawę, że nie warto ze mną zadzierać.

- Każdy kiedyś umrze - stwierdził filozoficznie Smitty. - A my wiemy, jak pozbawić życia. Zabiliśmy już nieraz.

Montcalm posłał im złowieszczy uśmiech. Gdyby mieli więcej oleju w głowie, z pewnością by się przerazili. Doskonale władał szpadą i sztyletem, nie zamierzał go jednak dobywać, nim się nie dowie, kto nastął na niego zabójców.

- Komu znów się naraziłem tak bardzo, że postanowił udać się do doków i opłacić zbirów? - W chwili, gdy te słowa spłynęły z jego ust, nagle go olśniło. - To oczywiste, że zwerbował was Josiah Chipple, mam rację?

- Coś mi tu śmierdzi, Clemson - stropił się Smitty. - On chyba nie powinien o tym wiedzieć, co?

- A co to za różnica, barani łbie? - zirytował się jego kompan. - Zaraz wyciągnie kopyta. - Odwrócił się do Christiana i odsłonił niepełne uzębienie. - Jeśli ci się zdaje, że masz do czynienia ze zwykłymi marynarzami, to się grubo mylisz, bratku. Złapię cię nawet wtedy, gdy będziesz uciekał ile sił w nogach.

- A czemu miałbym uciekać?

- Jak to, czemu, dumny człeku? - zniecierpliwiał się Smitty. - Życie ci niemiłe? Czarnuchy, na których polujemy w Afryce, zawsze uciekają i...

- Zamknijże się, ty matole!

- Czego się ciskasz? Sam mówiłeś, że zaraz będzie martwy. Na wszelki wypadek poderżniemy mu gardło. Wtedy już na pewno nic nie powie.

- Wystarczy, że będzie martwy, ale gardło i tak mu poderżniemy. Podoba mi się ten pomysł. Szkoda, że w Anglii nikt takiego nie kupi. Moglibyśmy sprzedać go jakiemuś Arabowi. Arabowie lubią mężczyzn, a ten tutaj ma taką śliczną gębę,

a i zadek pewno niczego sobie. Nie żebym się na tym wyznawał...

- To może powinniśmy...

- Nic z tego, Smitty. Ukatrupimy piękniusia. Nie widzisz, że próbuje nas zagadać? Gra na zwłokę, mądrała. Chce przewlec nieuniknione.

- Nie przewlec, lecz odwlec - wtrącił uprzejmie Montcalm. - Zakładając, że macie na myśli mój marny koniec...

- Dość tego gadania! - nie wytrzymał napastnik i ruszył ku niemu z nożem w dłoni.

Christian westchnął i wyjął mały sztylet z ozdobną rękojeścią.

- Takiś chojrak? - Clemson zaśmiał się. - Jesteś głupszy niż... - Nie dane mu było dokończyć, bo po chwili leżał w kałuży krwi z ostrzem w gardle.

Montcalm tymczasem zwrócił się do jego towarzysza.

- Chcesz być następny?

Smitty wykazał o wiele więcej rozsądku niż jego współnik. Uniósłszy ręce, zaczął się wycofywać.

- Powiedz panu Chipple'owi, że tak łatwo się mnie nie pozbędzie.

- Co to, to nie! Nie puściłby mi tego płazem.

- Ktoś musi przekazać mu moją wiadomość.

- Sam mu ją przekaż. - Przerażony zbójca puścił się pędem wzdłuż alei.

Christian podszedł do ciała Clemsona i odzyskał sztylet. Zatem Chipple nie jest zwykłym kupcem. Nadzwyczaj cenna i użyteczna informacja. Ponieważ tak jest znacznie wygodniej, zarówno społeczeństwo, jak i władze starają się ignorować doniesienia o tym, że niektórzy „przedsiębiorcy” zbijają majątek na kupczeniu żywym towarem. Zapewne właśnie dzięki

temu pan Josiah zdołał utrzymać źródło swych dochodów w tajemnicy. Jeśli prawda wyjdzie na jaw, Hetty nie znajdzie zalotnika, który spełniłby ambicje jej bezwzględnej matki. Liczne przymioty panny z urodą i posagiem przestaną się liczyć. Żaden dżentelmen nie pojmie za żonę córki handlarza niewolników. Żaden z wyjątkiem przyszłego wicehrabiego Montcalma, którego reputacja i tak pozostawia wiele do życzenia.

Uśmiechnął się niewesoło. Nie chciał spędzić reszty życia w stolicy. Poznał miasto, ze wszystkimi jego wadami i zaletami, od podszewki. Szczerze mówiąc, ciągle hulanki i swawole zupełnie mu obrzydły. Wprawdzie po sędziwym wuju miał odziedziczyć jedynie tytuł, niemniej był właścicielem sporego majątku w Devonshire. Posiadłość należała niegdyś do jego ciotecznej babki. W czasach swojej świetności prezentowała się niezwykle okazale, obecnie jednak mocno podupadła. W iście opłakanym stanie znajdowały się zwłaszcza zabudowania. Dom praktycznie nie nadawał się do użytku, za to ziemia była wyjątkowo urodzajna. Mógł sprzedać Wynche End jakiemuś bogaczowi, ale za bardzo kochał to miejsce i nie potrafił się z nim rozstać. Dlatego tak bardzo potrzebował pieniędzy Henrietty, bez względu na to, że zarobiono je w nikczemny sposób.

W jego pokojach panował dojmujący chłód.

Henry, służący, którego Christian najmował na dzień, miał się zjawić dopiero o świcie. Wiedział, że powinien udać się niezwłocznie do łóżka, postanowił jednak napalić przedtem w kominku. Zakrwawione od noża dłonie wprawiały go w szczególnie podły nastrój. Szkoda, że kiedy był zmuszony kogoś zabić, nie potrafił zachować zimnej krwi. Chciałby umieć traktować podobne zajścia jak zło konieczne i przechodzić nad nimi do porządku dziennego. Niestety, wciąż nie był w stanie do nich przywyknąć. Może to i lepiej. Podszedłszy do miednicy, umył dokładnie ręce i sztylet. Matka podarowała mu go w prezencie na dwunaste urodziny. Nawet nie przypuszczała, że w przyszłości tak często będzie robił z niego użytek. Zresztą, kto wie, może już wtedy wiedziała, że mu się przyda. Nie lubił myśleć o znienawidzonych Francuzach, ale kiedy wspominał matkę, zawsze robiło mu się cieplej na sercu. Zdumiewające, jak bardzo Smitty obawiał się konfrontacji ze swym mocodawcą. Możliwe, że przeląkł się na skutek gwałtownego zgonu współnika. Przecież obaj byli łowcami niewolników, a to banda okrutnych oprawców. Co więcej, widok śmierci jest wpisany w ich fach. Jeśli Josiah istotnie jest aż tak groźny, to Smitty wkrótce podzieli los Clemsona. Christian długo zastanawiał się, jak postąpić z człowiekiem, który wydał na niego wyrok. Jednego był pewien: Chipple słono zapłaci za swój zbrodniczy zamysł. Nikt nie podnosi bezkarnie ręki na Montcalma. Upokorzy go, pozbawi znacznej części majątku, a na dokładkę odbierze mu córkę, i zrobi to wszystko z niekłamaną satysfakcją. Annelise miała powody do zadowolenia. Montcalm nie pojawił się ani u lady Helton, ani następnego wieczoru. Widocznie ostrzeżenie pana Chipple'a odniosło pożądany skutek.

Mogła zatem radować się myślą o tym, że Christian nie będzie jej nękał. Niestety, dobry humor jej nie dopisywał. Uznała, że z powodu ulewy. Padało cały dzień i całą noc. Kiedy spróbowała przewietrzyć duszną sypialnię, nakapało do środka.

Hetty sprawiała wrażenie, równie niezadowolonej. Wstawała około południa z zapuchniętymi oczami i snuła się po domu, wzdychając lub powrzaskując na każdego, kto miał nieszczęście wejść jej w drogę. Panna Kempton zastanawiała się, czy Hetty doskwiera nieobecność Montcalma, czy raczej Dickinsona.

Na domiar złego w domu panowała atmosfera podniecenia i nerwowego wyczekiwania, a to z powodu przyjęcia, które zdecydował się wydać pan Chipple. Miała to być proszona kolacja na czterdzieści osób z kartami i tańcami. Służba, choć doświadczona, uwijała się jak wukropie.

Henrietta co najmniej siedem razy zmieniała zdanie co do sukni, w której powita gości, niekiedy za namową opiekunki. Niektóre jej stroje dorównywały bowiem krzykliwością fatalnemu gustowi pana Chipple'a.

Annelise również była rozdrażniona. Wprawdzie większość zaproszonych pochodziła z niż-



szych szczebli towarzyskiej hierarchii, niemniej część z nich zamierzała uświetnić przyjęcie swoją obecnością wyłącznie ze względu na lady Prentice i jej chrześnicę. Annelise знаła pana Chipple'a i wzdragała się na myśl o spotkaniu człowieka o tak chwiejnych manierach z matronami, dla których etykieta jest świętością. Owe damy wyglądały i zachowywały się nienagannie, były onieśmielające, krytyczne i nigdy w niczym się nie myliły. Kiedyś wydawało jej się nawet, że warto je naśladować. Niestety, ostatnimi czasy w niczym ich nie przypominała. Bilecik od Montcalma nadal spoczywał na półce między jej rzeczami, a chustka co noc trafiała pod poduszkę. Za każdym razem, gdy po nie sięgała, obiecywała sobie, że wkrótce je zniszczy, ale na to się nie zdobyła. Przyjrzała się mizernej kolekcji swoich wizytowych sukien. Popielato-brązową wkładała co najmniej dwukrotnie. Oprócz niej pozostawała jeszcze ciemnoszara. Była o wiele lepiej skrojona i bardziej dopasowana. Podkreślała talię, a także barwę oczu pod warunkiem, że Annelise zdejmowała okulary. Poważny problem stanowił zbyt duży dekolt. W związku z tym postanowiła narzucić na ramiona szeroki szal, aby zasłonić piersi. Spięła koronkowy materiał tak, aby zakrywał biust, i sięgnęła po ukochane perły. Ów naszyjnik był jedynym cennym przedmiotem, jaki jej pozostał. Dostała go na trzynaste urodziny od matki, tuż przed jej śmiercią. Należał niegdyś do prababki Annelise, zjawiskowo pięknej damy dworu z czasów króla Jakuba II. Ponoć pochodził od samego monarchy, ale nie miała co do tego pewności. Mogłaby za nie kupić wymarzony domek na wsi i żyć całkiem dostatnio, ale nie potrafiła się rozstać z tak cenną pamiątką.

Zjawiała się na dole odpowiednio wcześnie, aby wraz z podopieczną i jej ojcem powitać przybyłych. Choć nie była pewna, czy uda jej się poskromić jowialną wylewność pan Chipple'a, postanowiła spróbować utrzymać go w ryzach. Wkrótce salon wypełnił się gośćmi. Panna Kempton poprawiała właśnie szal, który przeszkadzał jej z powodu gorąca, gdy raptem uzmysłowiła sobie, że coś jest nie w porządku. Podniosła wzrok, aby napotkać jak zwykle odrobinę drwiące spojrzenie Montcalma.

## Rozdział dziewiąty

Annelise zastygła na, jak jej się zdawało, całą wieczność. Otrząsnąwszy się z odrętwienia, zerknęła na pana Chipple'a, który nadludzkim wysiłkiem próbował pohamować atak złości. Jeszcze moment i wybuchnie, pomyślała, gorączkowo zastanawiając się, co począć. Jeśli zrobi scenę, będzie musiał porzucić wszelkie nadzieje na tytuł czy choćby korzystne zamążpójście jedynej latorośli. Tylko ona mogła zapobiec nieuchronnej katastrofie. Przywołała na usta olśniewający uśmiech i powiedziała:

- Christianie, tak się cieszę. Jednak udało ci się znaleźć dla nas czas. - Chwyła Montcalma za rękę, po czym pochyliła się ku niemu, aby ucałować go w oba policzki.

Powinna się była domyślić, że wykorzysta sytuację. Zamiast ledwie ją musnąć, w odpowiedzi wycisnął na jej twarzy nieprzyzwoicie długi i poufały pocałunek. Odsunęła się, lecz on cały czas

więził jej dłonie w mocnym uścisku. A niech go! Na pewno się zarumieniła, choć nie szczydziła wysiłków, aby zapanować nad emocjami.

- To mój drogi przyjaciel, Christian Montcalm - zwróciła się do pana Chipple'a. - Nie widzieliśmy się od bardzo dawna. Pomyślałam, że nie weźmie mi pan za złe, jeśli go zaproszę.

- Panie Montcalm - wymamrotał pan Josiah, skinąwszy nieznacznie głową.

Zdumiona Hetty spojrzała na całą trójkę. Na szczęście zachowała zimną krew.

- Dobry wieczór panu - powiedziała ze słodkim uśmiechem.

Christian wciąż nie puszczał rąk Annelise i uparcie milczał. Zdesperowana, próbowała wymyślić coś, co , pomogłoby jej wybrnąć z tej nad wyraz uciążliwej sytuacji. Tym razem z opresji wybawiła ją niezawodna jak zwykle lady Prentice.

- Witam, panie Chipple - odezwała się od progu. - Hetty. Jest też i moja droga Annelise. Na pewno chciałabyś odnowić znajomość z przyjacielem z dzieciństwa. Śmiało, zastąpię cię w roli gospodyni.

- Dziękuję - odrzekła z wdzięcznością, po czym pociągnęła Montcalma przez zatłoczone foyer.

Poszedł za nią bez słowa sprzeciwu. Nie miała pojęcia, dokąd go zabrać. Na zewnątrz? Nie najlepszy pomysł, zważywszy na to, do czego doszło podczas balu u lady Bellwhite. Nie mogła jednak pozwolić, aby ktokolwiek usłyszał ich rozmowę. Po namyśle skierowała się do niewielkiego ogrodu, który mieścił się na tyłach domu. W razie

potrzeby zamknie furtkę na klucz i uniemożliwi mu powrót do środka, postanowiła.

- Co pan tu, u diabła, robi?! - wykrzyknęła, gdy tylko uwolniła dłoń z jego uścisku.

- A cóż to za nieobyczajny język, moja słodka! Powinienem być oburzony, ale skoro jesteśmy starymi przyjaciółmi, może pani wypowiadać się przy mnie zupełnie swobodnie.

- Musi pan natychmiast opuścić ten dom. Pan Chipple jest nieobliczalny. Ledwie zdołałam zapobiec skandalicznej scenie.

- Nie jestem pewien, czy za to dziękować, czy może raczej panią zwymyślać. Gdyby doszło do owej sceny, Henrietta z miejsca przestałaby być dobrą partią, co z kolei zwiększyłoby moje szanse jako jej konkurenta. Z drugiej strony, skoro już zmusiła pani jej ojca, żeby powitał mnie oficjalnie w swoich progach, i to w obecności połowy londyńskiego towarzystwa, nie będzie miał wyjścia. Wkrótce go do siebie przekonam.

Spojrzała na niego wyraźnie zgorszona.

- Taki jest genialny plan? Chce go pan ugłaskać?

- Ależ skąd - odparł rozbawiony. - Wątpię, żeby udało mi się pozyskać jego względy. Nie po tym jak go pani do mnie zraziła. To pani sprawka, prawda?

- Owszem - odparła bez mrugnięcia okiem. Nie czuła się ani trochę winna. - Ostrzegałam przecież pana, że to zrobię. Dobro Hetty leży mi na sercu. Chcę, żeby wyszła za kogoś, kto będzie ją kochał i...

- A kto mówi, że nie będę jej kochał? Pieniądze wyzwalają we mnie tkliwe uczucia.

- Jest pan odrażający! Najwyższa pora, żeby pan sobie poszedł.

- Nie tak prędko, moja droga. Pójdę sobie, ale najpierw rozmówię się z panem Chipple'em.
- Jeśli zamierza się pan oświadczyć, to chyba postradał pan zmysły.
- Nic z tych rzeczy. Muszę tylko pogawędzić z naszym gospodarzem na temat jego niewyszukanych metod zniechęcania niepożądanych zalotników. Z przykrością stwierdzam, że to człowiek całkowicie pozbawiony finezji i polotu.

Annelise robiła wszystko, aby się nie wpatrywać w Christiana z tej prostej przyczyny, że kiedy na niego patrzyła, oblewało ją gorąco. Ostatnie słowa wzbudziły jednak jej ciekawość. Kiedy spojrzała na urodziwą twarz, malował się na niej gniew. Niewiele myśląc, wyciągnęła dłoń, aby pogłaskać Christiana po policzku. Na szczęście wzdrygnął się, zanim jej palce zetknęły się z jego skórą. Natychmiast splotła ramiona, żeby nie ulec kolejnej pokusie.

- Pan Chipple nie jest szczególnie obyty. Nie zna zwyczajów panujących w wytwornym towarzystwie. Jeśli przysłał kogoś, kto miał lekko przetrzepać panu skórę...
- Trafnie powiedziane... - mruknął, wykrzywiając usta.
- Cóż, postąpił niegodnie, ale proszę zważyć, że nie chciał pan przyjąć do wiadomości wcześniejszych ostrzeżeń. Nie wie pan, kiedy się wycofać.

- Wycofuję się tylko wtedy, kiedy sam uznam za stosowne. Czy pani wie, na czym Chipple dorobił się fortuny?
  - Jak to na czym? Na przewozie towarów.
  - A jak pani sądzi, jakie towary przewożą jego statki?
  - Przyprawy, drewno, zwierzęta... Zresztą niewiele mnie to obchodzi.
  - A powinno, droga smoczyco. Cóż, nie zamierzam pani w tej kwestii oświecać. Zamienię tylko słówko z gospodarzem i zaraz się ulotnię. Czy to poprawi pani samopoczucie?
  - Moje samopoczucie to wyłącznie moja sprawa - oznajmiła oschle Annelise. - Panu nic do niego. Jeśli o mnie chodzi, może pan robić, co zechce, i odwiedzać, kogo zechce. Moim zadaniem jest chronić Hetty i...
  - Tak, tak. Już o tym pani wspominała. Nie chcę, żeby pani znów stroszyła piórka z mojego powodu. Hm... chyba nie spotkałem dotąd smoczycy z piórami. Proszę mi zdradzić, czy ma pani pod spodem piórka, zamiast łusek? Wiem, że zionie pani ogniem, doświadczyłem tego na własnej skórze, ale wiem też, że w odpowiednich miejscach jest pani całkiem miękka... Annelise wzięła zamach, aby spoliczkować Montcalma, ale chwycił ją w porę za nadgarstek.
  - Nie radzę, skarbie. Raz mnie już dziś napadnięto. Nie pozwolę na kolejne zniewagi.
  - Nie pozwoli pan?! - fuknęła. - A jak niby mnie przed nimi pan powstrzyma?
  - Tak jak zwykle, gdy wyprowadza mnie pani z równowagi - odparł, po czym zawładnął ustami Annelise.
- Po chwili odskoczyła od niego jak oparzona i otarła wargi wierzchem dłoni. Christian roześmiał się, potrząsając głową.

- Ależ łatwo panią sprowokować, droga panno Kempton. Zbyt łatwo.
  - W takim razie proszę znaleźć sobie trudniejszą przeciwniczkę, panie Montcalm.
  - Nie pozbędzie się mnie pani łatwo, moja droga. Nie zostawię w spokoju żadnego z was. Pan Chipple i ja mamy sobie coś do wyjaśnienia. Nie zamierzam też rezygnować z Hetty. Co się zaś tyczy pani, smoczyco, cóż, jakby to ująć... trudno ci się oprzeć. Dochodzę do wniosku, że bardzo się do pani przywiązałem. Uwielbiam nasze słowne utarczki.
  - Niech pan zejdzie mi z oczu!
  - W swoim czasie - odrzekł spokojnie, wodząc wzrokiem po sukni Annelise. - Te stroje wołają o pomstę do nieba - stwierdził tonem znawcy. - Doprawdy, nie pojmuję, czemu zakrywa pani piersi tym okropnym, staromodnym szalem. A perły? Są wprawdzie śliczne, ale nieprawdziwe. Zasluguje pani na coś lepszego. Gdyby nosiła pani lepiej skrojone toalety, inaczej uczesała włosy i pozbyła się tych piekielnych okularów, mogłaby pani uchodzić za całkiem ładną.
- Tym razem Annelise nie próbowała go uderzyć, choć miała na to przemożną ochotę.
- Nie dbam o to, czy uchodzę za ładną, czy



brzydką - oznajmiła wyniośle. - A perły są prawdziwe.

- Myli się pani, i to w obydwu kwestiach, smoczyco. Zajmiemy się tym później. Flirtowanie z panią to wielka przyjemność, ale muszę myśleć o interesach. Obiecuję, że kiedy omówię sprawy z pan Chipple'em, odnajdę panią i dokończymy naszą miłą pogawędkę.

- Boże miej mnie w opiece! - wykrzyknęła poirytowana. - Niech pan będzie tak miły i trzyma się ode mnie z daleka. To najlepsze, co może pan zrobić.

- Wiem - odrzekł z niezmaconym spokojem Christian. Dotknął delikatnie jej twarzy, a potem przytrzymał w palcach perły. - Szkopuł w tym, że nie jestem ani miły, ani dobry.

Annelise nie miała zwyczaju wymigiwać się od obowiązków. Nie chowała głowy w piasek i nie uciekała od kłopotów. Przeciwnie, zawsze stawiała im czoło z godnością i starała się rozwiązywać je najlepiej, jak umiała. Bywały jednak sytuacje, które przerastały nawet ją, Kemptonównę z krwi i kości. Coś takiego przytrafiło jej się dzisiaj.

Wracała do gości z zamiarem wymówienia się nagłą niedyspozycją. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, nawet zdradzi wstydlive szczegóły swoich dolegliwości. Podejrzewała, że znajdzie się ktoś na tyle dociekliwy, aby o nie wypytywać. Tak czy inaczej, zostawi gości pod opieką gospodarza, a sama ukryje się w zaciszu sypialni. Spali wreszcie ten przekłety bilecik, a chusteczkę podrze na strzępy.

Montcalm wzbudzał w niej tak gwałtowne emocje, że używała przy nim iście rynsztokowego języka. Powinna się za siebie wstydzić, ale była zbyt roztrzęsiona. Nie potrafiła nazwać uczuć, które targaly jej duszą, a nawet gdyby była w stanie je opisać, nie miała najmniejszej ochoty na to, aby zgłębiać ich naturę.

Zamknąwszy za sobą furtkę, ruszyła zaciemnioną alejką ku domowi. Może nie było to najrozsądniejsze posunięcie, lecz cóż, zdaje się, że rozsądek chwilowo ją opuścił. Gdy przechodziła obok stajni, usłyszała raptem jakiś szelest i dostrzegła w zaroślach zarys męskiej sylwetki. Tego mi tylko brakowało, pomyślała ponuro.

- Kto tam? - zawołała, zapomniawszy o ostrożności. Postać wydała jej się znajoma.

- Dobry wieczór, panno Kempton - wymamrotał William, który właśnie wyłonił się z cienia.

- Witam, panie Dickinson. Czemu nie wszedł pan do środka? Skrada się pan po ciemku jak przestępca.

- Nie jestem zaproszony ani tym bardziej mile widziany. Chciałem popatrzeć na Hetty choćby i przez okno. Jej obraz będzie musiał mi wystarczyć na długie samotne lata...

Młodzieńcza egzaltacja, skomentowała w duchu Annelise, próbując ukryć uśmiech. Dzięki Willowi oderwie się przynajmniej od nędznego melodramatu, który rozgrywa się w jej własnym życiu.

- Tak łatwo pan się poddaje? Sądziłam, że zechce pan walczyć o ukochaną.

- A cóż ja mogę zrobić? - odparł smętnie. - Pan Chipple stanowczo mi zabronił zalecać się do Hetty. Zapewne wydaje się pani dobroduszny, ale proszę mi wierzyć, w naszych stronach siał prawdziwy postrach.

- Co też pan opowiada? - zbyła jego obawy, choć w głębi serca poczuła się nieswojo. - Jest pan na tyle dobrze ubrany, że nikt się niczego nie domyśli, jeśli się na pana natknie. Proszę pójść ze mną.

Biedaczysko, nawet nie zapytał dokąd. Ruszył za nią potulnie jak baranek, lecz gdy otworzyła furtkę i wprowadziła go do bocznego ogrodu, nagle stanął jak wryty. Widok posągu z obnażoną piersią wyraźnie zbił go z pantałyku. Zarumienił się jak wiśnia i spuścił głowę. Dobrze, że choć jeden z zalotników Henrietty ma w sobie odrobinę przyzwoitości, pomyślała panna Kempton.

- Sprowadzę Hetty. Niech pan cierpliwie czeka i nigdzie się stąd nie rusza.

- Jeśli pan Chipple się dowie...

- Pan Chipple ma teraz inne sprawy na głowie. Przyjmuje gości. Aha, jeszcze jedno, ufam, że zachowa się pan jak dżentelmen.

- Naturalnie, panno Kempton. Jakżeby inaczej. - Sprawiał wrażenie, jakby nawet nie przeszło mu przez myśl, że mógłby próbować wykorzystać sytuację.

- Uspokoił mnie pan. Proszę nie zabawić zbyt długo. To przyjęcie na cześć Henrietty. Jej dłuższa nieobecność zostanie natychmiast dostrzeżona.

- Jak pani każe.

Zostawiła go ze wzrokiem utkwionym w butach. Wolał wpatrywać się w swoje trzewiki, niż podziwiać szczegóły anatomiczne greckiej bogini. Weszła do domu i przecisnęła się przez ciżbę rozbawionych biesiadników. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Miała nadzieję, że Chipple i Montcalm zachowali umiar i nie skoczyli sobie do gardeł. W każdym razie obaj zapadli się pod ziemię. Hetty flirtowała w salonie z trzema młodzieńcami, którzy wpatrywali się w nią niczym w obraz.

- Panowie wybaczą - powiedziała Annelise, po czym wzięła podopieczną na stronę.

- Czego pani znowu chce? - naburmuszyła się panna Chipple. - To zacni panowie. Doskonale się przy nich bawiłam.

- Rozważasz poślubienie któregoś z nich?

- Nie!

- W takim razie dobrze ci zrobi odrobina świeżego powietrza. W bocznym ogrodzie, tym obok biblioteki.

- Wiem, gdzie jest boczny ogród - odburknęła Henrietta. - Po miałabym tam iść?

Annelise policzyła w myślach do dziesięciu. Panna nie była dziś tak przenikliwa jak zwykle.

- Możesz natknąć się tam na coś ciekawszego niż marmurowe posągi.

- Och! - Hetty pojęła w czym rzecz, ale z miejsca nabrała podejrzeń. - Dlaczego mi pani na to pozwala?

- Jestem dziś w nastroju do sentymentów i... odrobinę niedomagam. Chcę się wcześniej położyć. Mam nadzieję, że postąpisz, jak przystało

prawdziwej damie. Szczerze mówiąc, bardziej ufam panu Dickinsonowi niż tobie. Dobranoc, Hetty.

Odwróciła się, by odejść, lecz podopieczna położyła jej rękę na ramieniu, a potem ucałowała ją w policzek.

- Niech pani Bóg wynagrodzi - powiedziała z wdzięcznością i zniknęła w tłumie.

Gest Henrietty rozczulił pannę Kempton. Może dziewczyna nie jest aż tak powierzchowna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje? Ma przynajmniej na tyle rozsądku, aby dostrzec, że Will to zacny młodzieniec, wart o wiele więcej niż napuszone pawie, które otaczają ją w Londynie. Tylko jeden zawrócił jej tu w głowie, alte cóż, Montcalm zmąciłby rozum nawet świętej.

Na samą myśl o nim chwilowy spokój ją opuścił. Z jakichś powodów była bliska łez.

Pospiesznie udała się do swojej sypialni i zamknąwszy za sobą drzwi, oparła się o nie całym ciężarem. Podlec miał na nią coraz większy wpływ. Reagowała na jego obecność w sposób nieprzewidziany i gwałtowny, słowem, nie mogła już sobie ufać. Jak on śmie tak do niej mówić? I dlaczego skłamał na temat jej ukochanych pereł?

Otworzyła szufladę i odnalazła między bielizną kłopotliwy bilecik. Był pognieciony i wymięty; czytywała go niemal codziennie, aby się upewnić, czy istotnie jest tak obraźliwy, jak jej się wydawał na początku. Dziś, kiedy miała szczerą ochotę go spalić, okazało się, że zajęta przyjęciem służba zapomniała napalić w kominku. A niech to! Naturalnie mogłaby podrzeć liścik, ale wolała popatrzeć, jak zamienia się w popiół. Szkoda, że zwlekała z tym tak długo.

Chusteczka wciąż leżała pod poduszką. Wyjęła ją i spróbowała rozedrzeć na strzępy. Niestety, koronka była zbyt dobrej jakości. Zrezygnowana, zgmiotła ją w dłoni i usiadła na łóżku.

Niedyspozycja żołądkowa, postanowiła naprędce. Taka będzie oficjalna przyczyna jej nagłego zniknięcia. Montcalm i Chipple mogą sobie robić, co chcą. Jeśli pan Josiah urządzi publicznie scenę, tym lepiej dla jego córki. Prawdopodobnie nie znajdzie się nikt, kto będzie chciał ją poślubić, a to z kolei zwiększy szanse Willa. To poczciwy młodzieniec. Z drugiej strony, może zbyt wysoko go oceniła. Kto wie, czy nie zapomniał

o honorze i nie porwał ukochanej w siną dal. Być może są już w drodze do Gretna Green. Prawdę mówiąc, bardzo by ją to ucieszyło. Dotrzymanie towarzystwa starszkom było o wiele łatwiejsze niż sprawowanie pieczy nad hardą debiutantką. Nie widziała się w tej roli. Zwłaszcza że wiązało się to z obcowaniem z ludźmi pokroju Christiana.

Jeżeli dzisiejszy wieczór okaże się fiaskiem, niełatwo będzie znaleźć nowy dom. Trudno, w razie czego sprzeda perły, kupi wymarzony domek na wsi i dożyje żywota w towarzystwie kotów

i książek. Zdjąwszy naszyjnik, przyjrzała się uważnie błyszczącym, białym kamieniom.

Wyglądały jak zwykle pięknie. Montcalm sprawiał, że zaczynała wątpić we wszystko, co dla niej święte,

w samą siebie i swoją naturę. Już nigdy więcej nie pozwoli mu ze sobą igrać, postanowiła. Odłożywszy klejnoty i bilecik do wyszywanego woreczka, rozebrała się, zdmuchnęła świecę i wsunęła się pod kołdrę. Zасыpiając, wciąż ścisnęła w dłoni koronkową chustkę Montcalma.

## Rozdział dziesiąty

Christian przemknął przez wypełniony ludźmi dom z charakterystyczną dla siebie zręcznością. Być może gospodarz sądził, że zaszczyciła go towarzyska śmietanka, dla pozostałych było jednak oczywiste, że pod ten adres mogła trafić jedynie mniej wytworna część londyńskiej socjety. W najwyższych sferach samo pochodzenie Chipple'a czyniło zeń *persona non grata*. Choć Montcalm również był wyrzutkiem, nie musiał się obawiać, że w tym gronie spotka go przykrość. Witano go przyjaźnie. Zatrzymywał się tu i ówdzie, żeby pozartować lub pogawędzić, lecz jego myśli zaprzętała rozmowa, którą miał za chwilę odbyć z panem domu.

Odnalazłszy bibliotekę, wszedł po cichu do środka. Nalał sobie brandy, ale kiedy okazało się, że to koniak, miał ochotę wrzucić kieliszek do kominka. Unikał jak ognia wszystkiego, co fran-



cuskie. Tym razem postanowił nie być wybredny. Usiadł w fotelu i oparł obute stopy o blat biurka. Czekał na pojawienie się pana Chipple'a.

Popijając alkohol, zastanawiał się, gdzie się podziewa Annelise. Pewnie wypatruje go wśród gości, aby znów prawić mu morały. A może udała się na spoczynek. Tak, to bardziej prawdopodobne. Gdy się rozstawali, sprawiała wrażenie pokonanej. Szkoda, że musiał ją zostawić, i to w poczuciu klęski. Wolał swoją smoczycę, kiedy zionęła ogniem. Gdyby nie interesy, chętnie zostałby z nią dłużej i postarał się rozzłościć ją jeszcze bardziej. Cóż, nie mógł pozwolić, żeby ktoś, kto nasłał na niego zabójców, nie poniósł dotkliwej kary. Chipple słono zapłacił za swój niecny postępek. O wilku mowa. Gospodarz wszedł do środka w doskonałym nastroju. Upłynęła długa chwila, zanim zauważył obecność intruza. Gdy zorientował się, kto zacz, zaklął jak prawdziwy marynarz.

- Mnie również miło pana widzieć - rzekł Montcalm, nie zadając sobie trudu, aby wstać.  
- Śmiało, proszę spocząć.

Jedno spojrzenie na złowieszcze oblicze Chipple'a upewniło go, że ma do czynienia z bezwzględnym złoczyńcą, który nie cofnie się przed niczym, aby osiągnąć cel. Dobroduszny nuworysz, za jakiego pragnie uchodzić, to jedynie fasada, maska przydatna do tego, żeby ukrywać prawdziwe oblicze.

- Radziłbym nie alarmować służby. Zaprzepaści pan szansę na to, byśmy doszli do porozumienia polubownie. Zapewniam również, że wolałby pan, żebyśmy odbyli tę rozmowę bez świadków.

- Słusznie - rzekł pan Josiah. - Lepiej, żeby nikt nie widział tego, co za chwilę ci zrobię.

Zdejmij buty z mojego biurka, plugawa gnido.

- Wedle życzenia, bezduszny handlarzu żywym towarem. Niełatwo wdrzeć się gwałtem na salony, prawda? Większość dobrze urodzonych nie akceptuje ludzi pana pokroju.

Nowobogaccy mają bowiem ten feler, że nie spełniają wyrafinowanych wymagań wytwornego towarzystwa. Pańskie położenie pogarsza jeszcze jeden istotny szczegół. Wprawdzie jest pan właścicielem niebagatelnej fortuny, jednak sposób, w jaki wszedł pan w jej posiadanie, zdecydowanie przemawia na pańską niekorzyść. Frymarczenie bliźnimi to proceder nie tylko źle widziany, lecz także nielegalny. Przynajmniej w tym kraju. Jeśli źródło pańskich dochodów zostanie ujawnione, Henrietta na zawsze pożegna się z możliwością korzystnego zamążpójścia. Włożył pan wiele wysiłku w zatuszowanie faktu, że jest pan handlarzem niewolników.

Chipple wyraźnie pobladł i usiadł w fotelu.

- Nie masz na to żadnych dowodów, kanalio.

Christian zachował triumfalny uśmiech dla siebie. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego rozmówca jest niebezpiecznym przeciwnikiem. Zapewne nie zawahałby się poderżnąć mu gardła.

- Bez obaw, jeśli zechcę, zdobędę je bez naj-

mniejszego wysiłku. Na razie jednak jestem zbyt przejęty tym, co mnie spotkało. Proszę sobie wyobrazić, że dziś nad ranem napadło na mnie dwóch rzezimieszków. Ku memu zdumieniu, owi zbóje zamierzali mnie zamordować.

- Kto by pomyślał - skwitował szyderczo pan Josiah.

- Mocodawca najwyraźniej zapomniał ich ostrzec, że nie pójdzie łatwo. Nie sądzili, że będę się bronił. Zaskoczyłem ich tak dalece, że zrobili się bardzo rozmowni. Zbyt rozmowni na pana nieszczęście.

- Co się z nimi stało?

- Nie żyją. - Przypomniawszy sobie przerażenie Smitty'ego, Montcalm postanowił być wspaniałomyślny. Koniec końców, to dzięki gadatliwości opryszków zdobył kompromitujące Chipple'a informacje. - Mogłem jednego z nich oszczędzić, zawlec do magistratu i wnieść oficjalną skargę, uznałem jednak, że powinienem załatwić to z panem osobiście.

- Ze mną? Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Naturalnie, nie wątpię. Co więcej, jest pan tak prawomyślnym obywatelem, że z pewnością osobiście pan dopilnuje, aby podobna napaść na mnie się nie powtórzyła. Mam rację?

- Czego chcesz, Montcalm?

- Ręki pańskiej córki, rzecz jasna - odparł z uśmiechem Christian. - Od początku miałem wobec niej poważne zamiary. Sądziłem, że pan o tym wie.

- Próbujesz zagarnąć jej posag, ot co.

- Nie cieszy pana, że będzie pan miał praktycznego zięcia?

- Moja Hetty zasługuje na kogoś lepszego.

- Nie zaprzeczę. Jestem człowiekiem o dość wątpliwej reputacji, to fakt. Zapewniam jednak, że małżeństwo uczyni ze mnie statecznego męża i ojca.
  - Niedoczekanie, czarci pomioście! Nie będziesz ojcem moich wnuków!
  - Nie życzy pan sobie wnuków? - zdziwił się uprzejmie Montcalm. - Cóż, możemy zachować wstrzemięźliwość. Poza tym są sposoby na to, aby uniknąć ciąży. Z pewnością nie muszę panu tłumaczyć jakie, wątpię jednak, żeby miał pan ochotę stosować je na własnej córce. - Upił łyk koniaku. - Nie robiłbym tego na pana miejscu -dodał, gdy Josiah bezwiednie podniósł się i dał krok w jego stronę. - Jeśli biedaczka zostanie sierotą, nie będzie nikogo, kto mógłby się nią zająć.
- Chipple poszedł po rozum do głowy i zatrzymał się nagle.
- Czcigodna panna Kempton...
  - A tak, czcigodna panna Kempton - powtórzył Christian. - Próbuje być nieugięta, ale obawiam się, że w potyczce ze mną nie ma szans. Ugnie się prędzej czy później. Nie jest ani odrobinę tak zawzięta i niezłomna, jak jej się wydaje. - Uśmiechnął się na wspomnienie miny Annelise.
  - W takim razie znajdę kogoś innego...
  - Radzę pogodzić się z tym, co nieuchronne. Josiah zacisnął wargi i usiadł w fotelu. Skoro udało mu się zgromadzić tyle pieniędzy, pomyślał

Montcalm, bez wątpienia jest bystry. Dlaczego więc tak długo zwleka z podjęciem prostej decyzji? Pewnie trudno mu się przyznać do porażki.

- Ile?

- Słucham?

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Dam ci pięć tysięcy funtów za milczenie i za to, żebyś zostawił Henriettę w spokoju.

- Obraża mnie pan tą propozycją.

- Dziesięć tysięcy. Christian doskonale się bawił.

- Za kogo pan mnie ma? Jestem dżentelmenem.

- Dwadzieścia tysięcy.

- To spora suma, i owszem, ale pańska córka jest jedyną spadkobierczynią ogromnej fortuny.

- Pięćdziesiąt tysięcy i ani pensa więcej, krwiopijco. Jeśli nie przyjmiesz tej oferty, własnoręcznie ubiję cię jak psa, pal licha konsekwencje.

- Może pan spróbować - stwierdził łaskawie Montcalm. - Proszę pomyśleć, jakie miałyby to konsekwencje dla Hetty. Zgodzę się na pańską propozycję, bo jej los leży mi na sercu. Nie chcę, żeby cierpiała, gdy jej ojciec będzie gnił za kratkami.

- Wystarczy, że znikniesz. Postaram się, żeby nigdy nie odnaleźli twojego ciała.

- Marne szanse, proszę mi wierzyć. Dwaj pańscy najemnicy pożegnali się już przeze mnie z życiem.

- Jutro przyślę do ciebie kogoś z wekslem.

- I rozkazem, by mnie ukatrupił? Nie ma mowy.

- Jak więc chcesz to załatwić?

- Och, to żaden kłopot, jak sądzę. Jestem przekonany, że nie ufa pan nikomu, nawet bankom. Z pewnością znajdzie pan taką sumę w domowej skrytce.

- Nie jestem idiotą. Nie przechowuję pieniędzy w domu. Ktoś mógłby mnie okraść.

Christian z trudem powstrzymał się od ciętego komentarza.

- Większość złodziei w tym mieście omija mnie z daleka. Chroni mnie sława. Przypuszczam, że w pana przypadku jest podobnie. Pan również cieszy się w półświatku złą sławą. Nikt nie odważyłby się z panem zadrzeć, nieprawdaż?

. - Sam właśnie to robisz, czyż nie?

- Bez przesady - zaoponował Montcalm. - My dwaj to co innego. Jesteśmy dżentelmenami, którzy ubili interes. Obaj chcemy jak najlepiej dla Hetty. Choć wiele mnie to kosztuje, gotów jestem zdusić w sobie wielkie uczucie, które do niej żywię. Rozumie pan chyba, że i pana musi to sporo kosztować.

Josiah wpatrywał się w niego przez dobrych kilka sekund.

- Tak... rozumiem.

- Oczywiście, że pan rozumie.

Naturalnie stary łże jak z nut, doszedł do wniosku Christian. Nawet jeśli wręczy mu teraz gotówkę, uczyni wszystko co w jego mocy, aby mu ją później odebrać. Następnym razem niewątpliwie przyśle też nieco bardziej rozgarniętych zabójców. Christian również skłamał. Wcale nie zamierzał wyrzec się Hetty. Czemu miałby z niej

rezygnować? Zwłaszcza teraz? Po ślubie Chipple nie będzie miał wyboru. Będzie musiał przyjąć go do rodziny i dobrze się zastanowi, zanim podniesie rękę na mężulka ukochanej jedynaczki. Henrietta zostanie wicehrabiną, a on dzięki jej posagowi będzie żył tak, jak zechce. Kiedy znudzi jej się wieś, odeśle ją razem z dziećmi do drogiego papy, sam zaś zajmie się zastawianiem. sideł na swoją smoczyćkę. Zaraz, chyba się zagalopował. Jeszcze nie stanął przed ołtarzem, a do czasu, gdy to nastąpi, Annelise wyjedzie Londynu, żeby szukać schronienia u innej rodziny.

- Zaczekaj tu, pójdę po pieniądze.

- Raczej pójdę z panem. Nie zaszkodzi, jeśli rozprostuję kości.

- Nie sądzisz chyba, że pozwolę ci podejrzeć, gdzie trzymam oszczędności na czarną godzinę.

- Zdaje się, że czarna godzina właśnie nadeszła. Założę się, że zmienia pan owe sekretne miejsca bardzo często. Nie zdradzi mi pan zatem żadnej tajemnicy, chyba że pańskiej tajnej skrytki pilnuje zakuty w dyby czarnoskóry niewolnik.

- Nie bądź śmieszny, Montcalm. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał przestać co chwila o tym wspominać. Jeśli wieść o moim niegdysiejszym życiu się rozniesie, będę zrujnowany.

- Niegdysiejszym? Sądziłem, że nadal działa pan na tym polu.

- Wycofałem się jakiś czas temu - oznajmił stanowczo Josiah.

- Ach tak - odparł układowie Christian, choć nie uwierzył w ani jedno słowo Chipple'a. -

Idziemy?

Przyjęcie jeszcze się nie skończyło. Goście niedługo zaczną zastawiać się, gdzie się podział gospodarz. Panna Hetty gotowa wszcząć poszukiwania drogiego papy.

- Tfu, na takich jak ty nie ma słów. - Chipple nie pogodził się z porażką.

- Ależ są. Niektórzy określają takich jak ja mianem „szantażystów”, ale osobiście wolę określenie „człowiek interesu”.

- Pójdziemy przez ogród.

- Nie, pójdziemy przez dom - sprzeciwił się Christian. - Nie chciałbym, aby zaatakował mnie znieścacka któryś z pańskich, ludzi. Miałby pan na głowie kolejnego trupa - nie mojego, zaręczam. Proponuję, żeby przestał pan knuć i wykazał zdrowy rozsądek.

Josiah wlepił w niego rozwścieczony wzrok, po czym podniósł się z fotela i podszedł do biblioteczki. Kiedy wyjął jedną z książek, jedna z półek przesunęła się na bok i odsłoniła wnękę w ścianie.

- Jeśli to pistolet, proszę go nie wyciągać. Proszę pomyśleć o hałasie i zamieszaniu, które spowodowałby wystrzał.

- Potrafię przyznać się do porażki. Skoro muszę zapłacić za to, aby pozbyć się takiego plugawca jak ty, zrobię to z ochotą.

Wierutne kłamstwo, stwierdził w duchu Montcalm, lecz zachował to dla siebie.

- To spora suma - odezwał się Josiah. - Nie boisz się wyjść z nią na ulicę? Może dam ci eskortę?

- Nie trzeba, poradzę sobie. Poproszę tylko, żeby pożyczył mi pan dla wygody jakąś torbę.



Zwrócę ją panu przy najbliższej okazji. Może pan być spokojny.

Chipple ryknął niczym ranny zwierz, po czym cisnął w jego stronę spory wyszywany woreczek, i

- Uznaj to za pożegnalny prezent - rzekł, obrzucając Christiana morderczym spojrzeniem.

Ten ostatni podniósł się niespiesznie z fotela i rozciągnąwszy odrętwiałe członki, uśmiechnął się do przyszłego teścia.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Miło robić z panem interesy.

- Precz mi z oczu, kanalio! - nie wytrzymał Chipple.

Montcalm spakował pieniądze do aksamitnej sakiewki i złożył przed nim szyderycki ukłon.

Oczy ojca Hetty powędrowały do schowka, w którym przechowywał pistolet. Tym razem się pohamował, ale wkrótce spróbuje jakiegoś podstępu, skostatował Christian. Im prędzej wprowadzę swój plan w życie, tym lepiej.

- Dobranoc panu - pożegnał się, podchodząc do drzwi.

- Żegnam! - odparł wściekły Chipple.

Will Dickinson wiedział od samego początku, że niczego nie wskóra. Jeszcze przed wyjazdem z domu był pewien, że nie zdobędzie ręki ukochanej, mimo to wyprawił się w długą podróż do stolicy wyłącznie po to, żeby choć raz na nią spojrzeć. Pochodził z dobrej ziemiańskiej rodziny, która aspirowała jedynie do tego, aby jak najlepiej

zarządzać majątkiem oraz okolicznymi wsiami. Jego ojciec był miejscowym dziedzicem i zacnym człowiekiem, ale Henrietta nie pasowała do nich żadną miarą. Kobieta z jej urodą nie powinna marnować się na wsi w towarzystwie prostych ludzi. Pogodził się z tym dawno temu, a jednak wciąż o niej marzył.

Jeśli przyjdzie się z nim spotkać, pożegna się z nią na zawsze. Miał nadzieję, że będzie szczęśliwa. Byle tylko nie z Montcalmem. Słyszał na temat tego człowieka zatrważające plotki. Ktoś taki nie jest wart Hetty. Z dwojga złego, lepiej by jej było na prowincji niż z tym łajdakiem. Na szczęście pan Chipple do tego nie dopuści. Skoro nie zgodził się na ślub córki z bogatym obywatelem ziemskim, tym bardziej nie wyda jej za zubożalego rozpustnika, który nie ma jeszcze tytułu.

Usiadł na marmurowej ławce i odwrócił wzrok od nieprzyzwoitego posągu. Pan Chipple, zdaje się, sądził, że owe nieobyczajne rzeźby świadczą o wyrafinowanym guście ich właściciela. Nic bardziej złudnego. Jakie to szczęście, że Hetty wrodziła się w świętej pamięci matkę, a nie w bezdusznego ojca. Dziś zobaczy ją pewnie po raz ostatni. Powie jej, że nie będzie o nią walczył i że życzy jej szczęścia. Wspomni też, że skoro ona go nie kocha, postanowił ułożyć sobie życie z panną Augustą Davies.

Gdy ujrzał zmierzającą ku niemu zwiewną postać spowitą w różowe muśliny, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Poderwał się na równe nogi i wygładziwszy ubranie, powtórzył w myślach starannie obmyśloną, pożegnalną mowę.

Henrietta weszła do ogrodu i zamknęła za sobą furtkę. Jasne loki okalały jej głowę niczym aureola, a oczy płonęły niekłamany uczuciem. Wystarczyło, że raz w nie spojrział i przepadł z kretesem.

- Hetty! - wykrzyknął. - Nie mogę bez ciebie żyć! - Niepomny na obietnice złożone pannie Kempton i samemu sobie, porwał ukochaną w ramiona i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Pal licha honor i przyzwoitość!

Ku jego rozpacz, Hetty wyswobodziła się z objęć i zaczęła głośno szlochać.

- Najdroższa, wybacz... Nie powinienem był... Nie wolno mi było... Daruj. Sądziłem, że zdołam się powstrzymać. Jestem niegodziwcem.

- Ciii... - Dotknęła jego warg, by powstrzymać potok słów. Potem spojrzała na niego z promiennym uśmiechem. - Nadal mnie kochasz, Will! -zawołała radośnie, po czym rzuciła mu się na szyję, aby oddać pocałunek.

## Rozdział jedenasty

Dzień nie zaczął się dla Annelise pomyślnie. Obudziła się w ponurym nastroju, niewyspana z powodu nocnych koszmarów. Było jeszcze bardzo wcześnie, ledwie świtało. Tym lepiej. Zanim reszta domowników wstanie z łóżek, zdąży zjeść w spokoju śniadanie. Kto wie, może nawet wystarczy jej czasu na krótką przechadzkę po parku.

Ubrała się pośpiesznie i odłoniła okna. Lało jak z cebra. Aż dziw, że nie usłyszała, jak deszcz tłucze o szyby. Spożyje samotnie posiłek, a potem spróbuje w zaciszu pokoju zebrać myśli i ukoić skołatane nerwy. Wydarzenia ostatnich kilku dni zburzyły jej spokój ducha.

Potrzebowała samotności jak powietrza.

Posiliła się w pośpiechu, jako że drażnił ją kanarkowy kolor ścian w jadalni, po czym zabrała ze sobą filiżankę gorącej czekolady i zeszła na

parter. Postanowiła trzymać się jak najdalej od westybulu. Śniło jej się, że przeklęte posągi, w których lubował się pan Chipple, zaczęły się poruszać, a co gorsza, postanowiły ją zaatakować. We śnie z opresji wybawił ją Montcalm - ostatnia osoba, do której zdrowa na umyśle kobieta zwróciłaby się z prośbą o ratunek. Otworzyła pierwsze z brzegu drzwi i znalazła się w bibliotece gospodarza. Weszła do środka zwabiona widokiem okazałego księgozbioru. W pewnym momencie pisnęła, niemal potknąwszy się o ogromną rzeźbę nagiego mężczyzny. Odwróciła się z zamiarem natychmiastowego opuszczenia pokoju. Raptem jej oko uchwyciło niewielką wnękę w ścianie. Wiedziona ciekawością podeszła, do tajemniczej szczeliny. Schowek był obmyślony w taki sposób, by zasłaniały go grzbiety książek.

Nie mogła się powstrzymać. Wiedziała, że nie powinna, a mimo to zajrzała do środka. Ponieważ było jeszcze zbyt ciemno, aby cokolwiek dojrzeć, postanowiła wybadać wnętrze skrytki dłonią. Palcami natrafiła na pistolet. Nie była to bynajmniej ozdobna broń, której używa się do pojedynków. Choć zupełnie się na tym nie znała, odgadła, że trzyma w ręku narzędzie służące do zabijania.

Wzdrygnęła się, odłożyła śmiercionośny przedmiot na miejsce i zatrzasnęła sekretne drzwiczki. Dopiero ponieważ uzmysłowiła sobie, że popełniła błąd. Powinna zostawić wszystko tak, jak było, zanim tu weszła. Spróbowała otworzyć je na nowo, ale jej wysiłki spełzły na niczym. Niepotrzebnie martwię się na zapas, stwierdziła w końcu. Na biurku wciąż stał kieliszek z niedopitym koniakiem, a więc służba nie zdążyła jeszcze sprzątnąć. W razie

czego pan Josiah uzna, że to któraś ze służących. Nikt nie będzie podejrzewał, że czcigodna panna Kempton szperała w rzeczach gospodarza. Wyszła po cichu na korytarz i ujęła ostrożnie klamkę.

- Czym mogę pani służyć? - usłyszała raptem tuż za plecami.

Podskoczyła jak oparzona i obróciła się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z lokajem.

- Szukam spokojnego miejsca do czytania.

- Lepiej niech pani tam nie wchodzi - rzekł stanowczo Jameson. - To gabinet pana. Bez specjalnego pozwolenia nikomu z nas nie wolno zaglądać do środka. Nawet kiedy pokojówki robią porządki, pan osobiście je nadzoruje. Nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że myszkowała pani w...

- Nie mam zwyczaju myszkować - weszła mu w słowo Annelise. Dla większego efektu posłała mu wyniosłe spojrzenie. - Zaprowadź mnie, z łaski swojej, do cichego, dobrze oświetlonego pomieszczenia, a nie będę więcej sprawiać kłopotu.

Jameson wpatrywał się w nią długą chwilę. Nie wyglądał jak typowy, układowy lokaj.

Przypominał raczej rozjuszonego niedźwiedzia, który tylko czeka, aby rzucić się na ofiarę.

Znów ponosi mnie wyobraźnia, pomyślała Annelise, spoglądając na ogromne dłonie i przyobleczony w lśniącą liberię, opasty brzuch.

- Zaprowadzę panią do różowego salonu. Pan-

na Hetty rzadko go używa. Jestem pewien, że będzie tam pani wygodnie.

- Dziękuję, Jameson - odparła, ruszając w ślad za nim.

Wbrew jej obawom pokój okazał się przytulny, a szezlong nieoczekiwanie wygodny.

Wyciągnęła się i otworzyła książkę, gotowa zatracić się w wymagowanym świecie fantazji.

Uwielbiała powieści, lecz nie bezkrytycznie. Irytowali ją bohaterowie bez skazy i heroiny, które zajmowały się wyłącznie szlochaniem lub omdlewaniem na zawołanie. Nie znajdowała w nich ani krztyny pomysłowości czy choćby zwykłej autentyczności. Najciekawsze bywały zazwyczaj czarne charaktery. Nikczemnicy o wątpliwej reputacji, wielkiej urodzie i nieodpartym uroku. Tacy jak Montcalm...

Nie uważała się za bezbronną ani szczególnie wrażliwą. Radziła sobie z kapryśnym ojcem i wieloma innymi mężczyznami, których spotykała na swej drodze. Dlaczego miałaby nie poradzić sobie z tym jednym odrobinę zbyt przystojnym i uroczym? Czemu sama jego obecność tak bardzo ją rozstraja? Tłumaczyła sobie, że wcale nie chodzi o niego. To prawdopodobnie wina zbliżających się trzydziestych urodzin. Niebawem przekroczy nieubłaganą granicę staropanieństwa. Właściwie już się z tym pogodziła. Tylko czasem próżność kazała jej zastanawiać się nad pytaniem: czemu nie ja? Czysta głupota, rzecz jasna. Na cóż jej rozdzierające męki przy porodzie i użeranie się z jakimś niewychowanym gburem? Lubiła swobodę i samodzielność, choć naturalnie owa niezależność była raczej złudna. Odpowiadała za swoje czyny nie tylko przed sobą, lecz także przed lady Prentice i panem

Chipple'em. Miała również zobowiązania wobec sióstr. Czasem była tym wszystkim bardzo zmęczona. Może jednak powinna sprzedać perły i zaszyć się na prowincji? Tak właśnie zrobi, gdy tylko Hetty wyjdzie pomyślnie za mąż, zdecydowała.

Przestało padać. Odłożyła lekturę i podeszła do drzwi wiodących do bocznego ogrodu.

Wyglądał jak zwierciadlane odbicie tego, w którym rozmawiała wczoraj z Christianem. Z tą różnicą, że znajdował się po drugiej stronie domu. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu, wagle spostrzegła na zewnątrz właśnie Montcalma. Co on tu robi o ósmej rano? Pewnie znów coś knuje. Mogła wrócić do siebie i uniknąć spotkania. Mogła, lecz zamiast tego nacisnęła klamkę.

- Zastanawiałem się, kiedy pani do mnie dołączy, smoczyco - powitał ją, wpatrując się w któreś z okien na górze. - Zauważyłem, że pani mi się przygląda, i od razu pomyślałem, że nie odejdziesz, zanim znów nie natrzesz mi uszu. Nie darowałaby sobie pani kolejnej sprzeczki, prawda?

- Skąd pan się tutaj wziął tak wcześnie? Jest dopiero ósma. Nie przypuszczałam, że wstaje pan przed dziesiątą.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- W ogóle się nie kładłem.

- Czemu mnie to nie dziwi?

- Pewnie temu, że coraz lepiej pani zna mnie i moje zwyczaje, moja słodka. Który pokój zajmuje pani podopieczna?



- Po co panu ta wiedza? Zamierza pan wyśpiewywać pod jej oknem miłosne serenady?
- Nie - odparł szorstko. - Nie mam ani odrobiny talentu muzycznego - dodał o wiele łagodniejszym tonem. - Gdybym zaczął zawodzić smętne pieśni, mogłaby uciec na drugi koniec świata.
- W takim razie poproszę służbę, żeby wystawiła fortepian, i zapewnię panu akompaniament.
- Jak zwykle uczynna... Nie skorzystam z tej hojnej propozycji. Tak naprawdę przyszedłem pożegnać się z daleka z utraconą ukochaną.
- Utraconą ukochaną?
- Nie inaczej. Wyrzekłem się prawa do ręki panny Hetty.
- Wyrzekł się pan? - parsknęła Annelise. - Nigdy pan go nie miał. Swoją drogą nie sądziłam, że wykaże pan tyle zdrowego rozsądku. Co spowodowało zmianę decyzji?
- Znalazło się kilka ważkich powodów. Uzmysłowiłem sobie ze zgrozą, że Henrietta mogła odziedziczyć po ojcu zamiłowanie do szpetnych dekoracji. Doszedłem do wniosku, że nie mogę pozwolić, aby zaśmieciła Wynche End nagimi posągami.
- Co to jest Wynche End?
- Miejsce, które nazywam domem, kiedy nie mieszkam w Londynie. Mój wielce szanowny dziadek zadbał o to, abym nie odziedziczył niczego poza tytułem. Na szczęście Wynche End należało do krewnych mojej matki. Ponieważ wszyscy od dawna nie żyją, zostałem jedynym spadkobiercą.

Majątek jest w stanie kompletnej ruiny. Dach przecieka, drewno próchnieje, ziemia leży odłogiem, ale przynajmniej wszystko jest moją własnością. Pieniądze panny Chipple miały mi pomóc przywrócić posiadłość do dawnej świetności. Uznałem jednak, że oglądanie greckich figur na każdym kroku to zbyt wysoka cena.

- Naturalnie. To zrozumiałe. Gdzie znajdują się podupadłe włości?

- Chciałaby pani zająć miejsce Hetty? Z pewnością masz o wiele lepszy gust, ale wątpię, byś równie entuzjastycznie jak ona podchodziła do kwestii wypełniania małżeńskich powinności. Co do pytania, Wynche End mieści się w Devonshire, w pobliżu niewielkiej wioski zwanej Hydesfield. Wybrzeże jest tam dość ponure, choć ostatnio jego mieszkańcy zaczęli trudnić się przemytem. Dochodzą mnie słuchy, że to całkiem intratne zajęcie. Kto wie, jeśli przyjdzie mi zarabiać na życie, może się do nich przyłączyć?

- Och, z pewnością nie będzie tak źle - zakpiła bezlitośnie Annelise.

- Myślałem o tym, by wziąć przykład z pani. Zacznę pomieszkiwać przy bogatych rodzinach i będę uczył młodych chłopców dobrych obyczajów i tajników bywania w towarzystwie.

- Boże, miej nas wszystkich w opiece. Wystarczy jeden taki gagatek jak pan.

- Jest pani okrutna, panno Kempton - rzekł z przesadnie zboląłą miną. - Zraniła mnie pani do głębi. - W jego oczach pojawił się kpiący błysk. - Sprawia pani wrażenie takiej mądrej, na

wszystko ma pani gotową odpowiedź. Może potrafi pani wyjaśnić pewną kwestię, która dręczy mnie od jakiegoś czasu.

- Chętnie. Zgodzę się na wszystko, byleby pan wreszcie sobie poszedł.

- Na pani miejscu nie szafowałbym tak szczerze obietnicami, smoczyco. Co będzie, jeśli zażądam, byś dotrzymała słowa?

- Niech pana zada pytanie i odejdzie. Uśmiechnął się przewrotnie.

- Chodzi o posąg, który stoi za pani plecami. Jako osoba, która odebrała staranne wykształcenie, z pewnością ma pani rozległą wiedzę na temat greckiej mitologii, nieprawdaż? Co pani powie o tej konkretnej postaci?

Niech go licho, pomyślała Annelise. Jeśli się nie odwróci, przyzna się do porażki. Nie da mu tej satysfakcji. Na szczęście widziała już wstydlive części męskiej anatomii w bibliotece.

- Które to z bóstw? - zapytała nienaturalnie spokojnym głosem, po czym spojrzała na rzeźbę i zamarła.

- Priap, bóg płodności i urodzaju. Syn Dionizosa i Afrodyty. Zastanawiam się, czym wytłumaczyć jego... kondycję, jeśli wie pani, o co mi idzie.

Trudno było nie zauważyć, że marmurowe przyrodzenie znajduje się w stanie niesłabnącej ekscytacji. Annelise nie zdołała powstrzymać gwałtownego rumieńca.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała jak gdyby nigdy nic.

- Zapewne podziałała tak na niego pani obecność - zauważył rozbawiony Christian. - Może kiedy wejdzie pani do środka, wróci do normalnego stanu.

- Z tego, co wiem, zjawił się pan tutaj na długo przede mną, panie Montcalm - wypaliła bez namysłu. - Jeśli ktoś go podniecił, to z pewnością nie ja.

Roześmiał w głos.

- Nigdy się pani nie poddaje, smoczyco? Może ma pani rację, greccy bogowie byli dziwakami. Powiedziałem tak, bo we mnie wywołuje pani podobną reakcję.

Annelise na próżno próbowała zachować spokój.

- Zdaje się, że rzeźbiarz wyolbrzymił proporcje - rzekła, dumna ze swego wyważonego tonu. Oznajmiła to, jakby dyskutowali o walorach artystycznych dzieła.

Montcalm uśmiechnął się jeszcze szerzej niż przedtem.

- Och, najdroższa smoczyco, od razu widać, jak niewinne z pani dziewczę mimo zaawansowanego wieku. Powinienem był się domyślić, że mam do czynienia z podstarzałą dziewczyną.

Annelise nie posiadała się z oburzenia. To niesłychane! Prawdziwy dżentelmen nie pozwoliłby sobie na taką rozmowę z damą.

- Niech pan wreszcie sobie pójdzie!

- Ależ pójdę, bez obaw. Mówiłem już, że przyszedłem pożegnać się z obiektem moich nikczemnych żądz.

- Nie ma potrzeby, by pan się z nią zegnał. Przekażę jej wyrazy pańskiego szczerego żalu.

- Nie miałem na myśli Hetty...

Panna Kempton była silną kobietą, ale tym razem Montcalm przebrał miarę.

- Precz! - zawołała bliska łez. - Nie ma pan prawa ze mnie szydzić. Niech pan zejdzie mi z oczu!

- Och, wybacz, moja słodka.

Christian wziął Annelise w ramiona, a jej nie starczyło siły, aby zaprotestować. Rozszlochała się na dobre, choć poprzysięgła sobie, że się przed nim w ten sposób nie skompromituje. Cóż, ostatnie dni mocno dały jej się we znaki, widać zbyt długo wzbraniała się przed płaczem i w końcu tama puściła. O dziwo, jego bliskość dodała jej otuchy, a przecież to właśnie on stał się zmorą jej spokojnej dotąd egzystencji. Obawiała się, że znów ją pocałuje, a jednocześnie lękała się, że tego nie zrobi. On tymczasem tulił ją mocno, gładził jej włosy i szeptał do ucha czułe słowa.

- Ten dom to nie miejsce dla ciebie, Annelise. - Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Brzmiało w jego ustach dość przyjemnie, o wiele lepiej niż przezwiska, których używał wcześniej. - Wracaj do lady Prentice. Nie jesteś tu bezpieczna.

Nie zadała sobie trudu, by zaprzeczyć, choć przypuszczała, że nie grozi jej nic złego.

- Zawsze mogę sprzedać perły.

Odsunął ją od siebie na wyciągnięcie ramion, aby zajrzeć jej w oczy. Nie widziała go dobrze, bo okulary zaparowały jej od łez i gorąca.

- Wiesz, że nie są prawdziwe.

- To niemożliwe. Są w naszej rodzinie od kilkuset lat. Nikt nie mógłby ich... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Owszem, mógł. Zrobił to ktoś u kresu wytrzymałości. Zapewne przywiodła go do tego desperacja. Kiedy człowiek zatraci się w gniewie i rozpaczy, popełnia głupstwa, których potem żałuje. Nie myśli wtedy o bliskich, którzy wciąż go kochają.

Nadal nie chciała w to uwierzyć. Wyrwała mu się i rzuciła oskarżycielsko:

- Co pan może o tym wiedzieć?

- O gniewie i rozpaczy? - odparł cierpko. -Wiem całkiem sporo. Co do najbliższych, to masz rację: Niewiele zaznałem w życiu miłości, bo wszyscy, którzy mnie kochali, odeszli z tego świata dwadzieścia lat temu.

Chciała zapytać o szczegóły, ale powstrzymała ją gorycz brzmiąca w jego głosie. Pocałował ją mocno w usta i odszedł, jakby bał się zostać choćby chwilę dłużej. Zostawił ją samą, kompletnie bezradną i oszołomioną.

## Rozdział dwunasty

Czcigodna panna Kempton nie miała zwyczaju tęsknić za czymś", czego nie mogła zdobyć. Do czasu, gdy znalazła się w swoim pokoju, zdążyła ochłonąć i opanować nerwy. Wprawdzie kusilo ją, aby trzasnąć drzwiami, ale zdołała się przed tym powstrzymać. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej aksamitny woreczek z perłami. Naszyjnik wyglądał tak samo jak zwykle, jednak tym razem wiedziała, że wpatruje się w imitację. Nie było powodów, żeby nie wierzyć Montcal-mowi; taki ladaco jak on z pewnością zna się na bizuterii.

Kiedy ojcu udało się je podmienić? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Wkładała je tylko raz do roku, w dniu swoich urodzin, ale nigdy nie zauważyła żadnej zmiany. Być może dlatego, że próżność powstrzymywała ją przed częstym spoglądaniem w lustro. Ponieważ nie była zadowolona ze swojego wyglądu, przypatrywanie się własnemu odbiciu wprawiało ją w przygnębienie.

Kiedy skończyła dziewiętnaście lat, do domu zaczęła zagładać bieda. Niemal przymierali głodem, a potem nagle pojawiło się troje nowych służących, w tym dwóch stajennych. Choć domownicy nadal jadal marnie, konie były zadbane i dobrze wykarmione. Ojciec stał się jeszcze bardziej odległy i nieprzystępny niż przed tym. To musiało się stać właśnie wtedy. James Kempton przyglądał się ze spokojem, jak jego dom zwolna popada w ruinę, a córka wątleje w oczach bez nadziei na lepszy los. Nie potrafił jednak znieść myśli, że zmarnieją jego ukochane wierzchowce. Sprzedał rodzinną pamiątkę, aby je ratować. Zapewne zaprzedałby dla nich duszę diabłu, gdyby zaszła taka potrzeba. W ostatecznym rezultacie tak właśnie się stało, czyż nie?

Powinna uznać to za najgorszy z możliwych występków, a nawet nie miała do ojca żalu. Wiedziała, że mimo wszystkich swoich wad kochał ją prawie tak samo jak użalanie się nad sobą i swoim nieszczęściem. Nie potrafiła mu wybaczyć tylko jednego: tego, że umarł i zostawił ją samą.

Odłożyła perły na miejsce obok chustki i bilecika od Christiana. Postanowiła, że jednak ich nie wyrzuci. Z pewnością odszedł na zawsze. Nie będzie musiała znosić jego towarzystwa. Nie będzie też obiecaniej trzeciej lekcji. Wypadałoby paść na kolana i złożyć modlitwę dziękczynną, lecz jakoś nie miała na to ochoty. Otarła z oczu nieproszone łzy, przyglądała włosy, po czym



wyszła na korytarz. Kiedy schodziła na dół, była w pełni opanowana. Potrafiła ukryć cierpienie.

Dom nadal świecił pustkami. Chipple'owie jeszcze nie wstali, a Jamesona odnalazła dopiero w jadalni. Jak zwykle spojrział na nią beznamiętnie, choć, jeśli jej wzrok nie mylił, w jego kaprawych oczach pojawiło się coś na kształt pogardy.

- Gdyby ktoś o mnie pytał, wybieram się na spacer do parku - oznajmiła Annelise.
- Państwo zapewne zabawią jeszcze jakiś czas w łóżkach. Ostatni goście wyszli dopiero nad ranem. - Nie doszukała się w jego tonie niczego obraźliwego, a mimo to poczuła się nieswojo.
- Wrócę za około godzinę.
- Życzy pani sobie, aby towarzyszyła pani pokojówka? A może ma pani do załatwienia jakąś sprawę natury... prywatnej?

Kusiło ją, aby uderzyć go w twarz i zetrzeć z niej ten drwiący uśmiezek. Obawiała się jednak, że mógłby jej oddać, a cios jego ogromnego łapska posłałby ją niechybnie w drugi koniec pokoju. Jakim cudem taki odpychający typ mógł zostać lokajem? Nie po raz pierwszy nad tym się zastanawiała. Przydałoby się zwrócić panu Chipple'owi uwagę, aby nieco staranniej dobierał służących, tyle że po tym, co odkryła rano w jego gabinecie, wołała z nim nie rozmawiać.

- Nie mam żadnej sprawy i nie potrzebuję eskorty - odrzekła lodowatym tonem. - Pragnę jedynie odrobiny samotności.

- Rozumiem, że w ogrodzie nie była pani sama? Wie, że był ze mną Montcalm, pomyślała Annelise. Pewnie widział, jak Christian mnie całuje. Co za szczęście, że to był tylko niewinny pocałunek na pożegnanie. Może nie całkiem niewinny, ale przynajmniej krótki. Nie zamierzała zniżyć się do odpowiedzi na pytanie Jamesona. Nie będzie się przed nikim tłumaczyć, a już na pewno nie przed nim.

- Wracam za godzinę lub dwie - powtórzyła od drzwi.

- Dobrze, proszę pani.

Znow był wzorem uprzejmości, niemniej jego skandaliczne zachowanie jeszcze długo nie dawało jej spokoju. W domu Chipple'ów niewątpliwie czaiło się coś niepokojącego, może nawet złego. Lokaj wyglądał i nierzadko zachowywał się jak ulicznik, gospodarz przechowywał broń i próbował ukryć bezwzględny charakter pod maską poczciwej jowialności. Doszła do wniosku, że mężczyźni to istna plaga, zesłana na ziemię, wyłącznie po to, aby dręczyć niewiasty. Skorzysta ze sposobności, żeby cieszyć się słońcem, zapachem wilgotnej ziemi i świeżej trawy. Och, jak wspaniale byłoby znaleźć się znowu na wsi, pomyślała rozmarzona, z dala od miejskiego zgiełku. Hodowałabym róże, malwy i smocze lilie...

- Panno Kempton!

To rozległo się wołanie Williama. W pierwszej chwili zdecydowała, że uda, iż go nie słyszała, albo zwyczajnie mu ucieknie. Przyspieszyła kroku, lecz wkrótce ją dogonił. Nie było innej rady, zatrzymała się i spojrzała na niego z uprzejmym uśmiechem.

- Panie Dickinson! - zawołała na widok jego

poturbowanej twarzy. - Co się panu stało? Ktoś pana napadł? - Podejrzane, dodała w duchu. Najpierw Montcalm, a teraz on...

- Mała sprzeczka - skłamał nieporadnie. - Nic groźnego.

Miał wymięte ubranie, rozciętą wargę i podbite oko. Z pewnością chodziło o coś więcej niż zwykłą różnicę zdań.

- Muszę wracać do Kent i chciałbym panią prosić o pewną przysługę.

- Wyjeżdża pan? Tak prędko? O ile pamiętam, zamierzał pan zostać w Londynie do końca tygodnia.

- Wzywają mnie pilne obowiązki rodzinne. Czy mogłaby pani przekazać pannie Chipple wiadomość ode mnie?

- Nie powinnam była pozwolić wam na spotkanie. Zrobiłam to tylko dlatego, że byłam rozstrojona i rozkojarzona. Pan Chipple nie wydał jeszcze zgody na to, żeby mógł pan oficjalnie ubiegać się o względy jego córki...

- Może pani być pewna, że nigdy nie zmieni zdania - wpactt. jej w słowo rozgoryczony Will. - Hetty i ja mieliśmy pójść do niego razem i prosić o błogosławieństwo, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu. Niepotrzebnie w ogóle tu przyjechałem. Nie trzeba było się do niej zbliżać. .

- Ależ, Williamie, przecież Henrietta pana kocha. Być może pan Josiah nie jest aż tak nieugięty, jak się panu wydaje. Możliwe, że uległby waszym usilnym perswazjom. Musi pan wiedzieć, że Montcalm postanowił się wycofać. Nie będzie zabiegał o względy Hetty, a tym

samym pozostaje pan na razie jedynym liczącym się kandydatem do jej ręki. Wprawdzie nie może pan zapewnić przyszłej żonie tytułu, ale sądzę, że pan Chipple, jak każdy ojciec, przede wszystkim ma na względzie dobro jedynaczki i nie będzie się upierał.

- Pan Chipple to... - zaczął gwałtownie William, lecz natychmiast się zmięgował. - Pan Chipple wyraził się bardzo jasno. Kolejny raz stanowczo odprawił mnie z kwitkiem.

- Zamierza pan poddać się bez walki? Miałam o panu lepsze zdanie.

- Dla Hetty gotów jestem walczyć na śmierć i życie - stwierdził zapalczywie.

- W takim razie, czemu opuszcza pan Londyn?

- Moim bliskim może grozić poważne niebezpieczeństwo.

Myśl, która przyszła Annelise do głowy, była tak przerażająca, że nie od razu wypowiedziała ją na głos.

- Czy pan Josiah panu groził?

- Gdyby chodziło tylko o mnie... Nie o siebie się boję, panno Kempton.

- Zatem groził pańskiej rodzinie? Chyba nie wziął pan tego poważnie. Nawet ktoś tak bogaty i wpływowy jak pan Chipple nie odważyłby się tknąć szanowanej rodziny z tradycjami.

- Zapewniam panią, że nie miałby przed tym żadnych skrupułów. Nie wolno mi bagatelizować jego pogróżek. Ten człowiek nie rzuca słów na wiatr i jest zdolny do wyrachowanego mordu. Nie

jest taki, za jakiego pragnie uchodzić. To jedynie maska, pod którą ukrywa prawdziwe oblicze okrutnego zwyrodnialca. Zawsze byłem w stosunku do niego nieufny. Moi rodzice także nie utrzymują z nim stosunków. Mimo to, kiedy im wyznałem, że jestem zakochany w Hetty, pozwolili mi spróbować ją zdobyć.

- Myślę, że niepotrzebnie go pan demonizuje - odrzekła Annelise, jakby obawiała się przyjąć do wiadomości niewygodną prawdę. - Pan Josiah ma bardzo dużo pieniędzy i mało ogłady. Poza tym bezkrytycznie ubóstwia córkę.

- Niestety, jest pani w błędzie. Gdybyśmy uciekli i pobrali się bez jego zgody, uprzykrzyłoby życie nie tylko mnie i mojej rodzinie, lecz także Hetty.

- Jak rozumiem, dysponuje pan jednak wystarczającym dochodem, aby utrzymać was oboje, prawda?

- Nie idzie o to, że mógłby ją wydziedziczyć. - Zabrzmiało to nad wyraz złowieszczo.

- Co w takim razie ma pan na myśli?

- Pan Chipple nie toleruje nikogo, kto mu się przeciwstawia - wyjaśnił ponuro Will. - Ma wobec córki określone plany. Jeśli Henrietta sprzeniewierzy się jego woli, gotów ją zrujnować lub nawet pozbawić życia.

Panna Kempton poczuła ciarki na plecach. To nie może być prawda. To tylko wybujała wyobraźnia oszalałego z miłości młodzieńca. Tak czy inaczej, pan Dickinson święcie wierzył w każde swoje słowo i był autentycznie przerażony. Drżał z obawy o los rodziny i ukochanej.

Niewątpliwie

był przekonany, że opryszkowie, którzy go napadli, działali na polecenie pan Chipple'a. Uznała, że nie ma sensu przekonywać go, że się myli. Trudno byłoby przemówić mu do rozsądku.

Sam pomysł, że jej gospodarz mógłby zabić własne dziecko, wydał jej się kompletnie niewiarygodny i niedorzeczny. Nikt zdrowy na umyśle nie zastrasza ani nie morduje bliskich. Miała nadzieję, że William pojmie swój błąd, kiedy wróci na wieś i nieco ochłonie. Przeprowadzanie z ulicznymi złoczyńcami musiała być dla niego wstrząsem.

- Nie będę się z panem sprzeczać, panie Dickinson, ani nie przekażę Hetty pańskiego listu. Proszę zdradzić mi, co w nim jest, a być może zastanowię się, czy powinna to usłyszeć.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej zwitek papieru. Przez ułamek sekundy Annelise wydawało się, że wyciągnie pistolet. Chyba udzieliła jej się jego podejrzliwość. We wszystkim wietrzyła spisek i podstęp. Z drugiej strony, nic podobnego prawdopodobnie nie przyszłoby jej do głowy, gdyby wcześniej nie odkryła, że Chipple trzyma broń w skrytce.

- Śmiało, może pani przeczytać. Ślęczałem nad nim godzinami, ale i tak nie udało mi się wyrazić tego, co chciałem, we właściwy sposób.

Annelise rozłożyła kartkę i przebiegła wzrokiem jej treść.

*Droga panno Chipple*

*Od czasu naszego ostatniego spotkania moje uczucia uległy zmianie. Uzmysłowiłem sobie, że*

*to, co nas łączy, nie ma żadnej przyszłości. Dlatego też postanowiłem posłuchać głosu rozsądku i porzucić młodzięcze marzenia. Jeszcze dziś wracam w rodzinne strony. Zamierzam spędzić życie u boku panny Augusty Davies, która wkrótce zostanie moją żoną. Życzę pani szczęścia i wszelkiej pomyślności. Zapewniam także o swej dozgonnej przyjaźni.*

*Szczerze oddany Will Dickinson*

- Jest pan zaręczony? - zapytała Annelise, nie kryjąc zdziwienia.

- Jeszcze nie, ale oświadczę się natychmiast po przyjeździe do domu. Tylko tak mogę ją ochronić. Panna Davies zawsze darzyła mnie szczególną sympatią. Jestem pewien, że stworzymy zgodne stadło.

- A co będzie z Henriettą? Sądzi pan, że tak łatwo zapomni i znajdzie innego przystojnego młodzieńca, który ją oczaruje?

- Nie! Moja Hetty nie jest taka! Mam nadzieję... Jestem pewien, że po namyśle przyzna mi rację i zrozumie, dlaczego musiałem ją porzucić. Kobiecie nie wolno sprzeciwić się woli rodziców, bez względu na to jak bardzo... bez względu na to, czy pochwała ich wybór, czy nie. Wolę, aby zachowała życie, niż poszła za głosem serca.

Na twarzy Willa malowały się rozpacz i zgroza. Nadal był przekonany, że Chipple jest w stanie wyrządzić krzywdę własnej córce, zakonotowała Annelise. Albo jest szalony, albo zarówno jej, jak i Hetty grozi poważne niebezpieczeństwo. Przypomniała sobie słowa Montcalma oraz swe pierwsze wrażenia tuż po przybyciu do domu Chipple'ów. Od samego początku coś budziło jej niepokój, Choć nie potrafiła sprecyzować, co to takiego.

- Nie wolno pani opuścić Hetty - odezwał się William, jakby czytał w myślach Annelise. - Jestem pewien, że bez trudu znajdzie pani dla niej dobrego męża, kogoś poczciwego, kto będzie ją kochał i chronił.
  - Przed ojcem?
  - Tak, przed ojcem. Proszę mi obiecać, że zostanie pani przy niej aż do dnia ślubu. Prawdę mówiąc, Annelise nosiła się z zamiarem wyjazdu, ale nawet jeśli pan Dickinson nie mylił się co do pana Chipple'a, a Christian zniknął z ich życia, nie bała się stawić czoła choćby i tysiącowi chorobliwie ambitnych nuworyszów.
  - Przekażę jej pańską wiadomość - powiedziała. - Zostanę z nią dopóty, dopóki nie poślubi zacnego i troskliwego dżentelmena.
  - Takiego, który będzie na tyle wpływowy, żeby przeciwstawić się Chipple'owi.
  - Ma pan jeszcze jakieś inne wymagania? - zapytała lżejszym tonem.
- William najwyraźniej nie był w nastroju do żartów.
- Wyjeżdżam jutro, ale będzie lepiej, jeśli Hetty pomyśli, że już mnie nie ma. Darzymy się uczuciem od dawna, ale powiadają, że każda miłość przemija.
- Nieprawda, pomyślała panna Kempton. Praw-



dziwa miłość nie umiera nigdy. Czasem nie była pewna, czy w ogóle istnieje. Dziś w to nie wątpiła. Widziała ją w zbolanych oczach Willa i żywiołowym spojrzeniu Henrietty.

- Niech pan będzie spokojny, Williamie - rzekła, dotykając jego ramienia. - Będę jej strzegła jak oka w głowie.

- Niech pani Bóg wynagrodzi - odparł i ucałował ją w policzek.

156

## **Rozdział trzynasty**

Montcalm nie był w najlepszym nastroju, a świadomość, że jest poirytowany, powiększała złość. Miał niemal całkowitą pewność, że nic nie przeszkodzi w realizacji jego planów. W dodatku po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie mógł narzekać na brak gotówki. Powinien być w pełni usatysfakcjonowany. Niestety, zasmucała go myśl, że będzie musiał zrezygnować z Annelise. Cóż, uwiedzie inne, znacznie ładniejsze smocze, pocieszał się. Szkopuł w tym, że czcigodna panna Kempton fascynowała go, lecz bynajmniej nie ze względu na powierzchowność. Zapewne urzekły go jej prawy charakter i niezłomne zasady, czyli te przymioty, którymi nie mógł się pochwalić. Poza tym była bystra i dowcipna, a jej usta smakowały przepysznie, najlepiej ze wszystkich ust, jakie kiedykolwiek całował. Bardzo chciał zdjąć z niej te okropne okulary, koronkowe czepki, workowate suknie i wszystko inne, co nosiła pod spodem.

Zostawiły tylko perły. Nie były prawdziwe, ale prezentowały się całkiem nieźle, choć naturalnie Annelise zasługiwała na znacznie więcej. Spróbował przemówić sobie do rozumu: Annelise Kempton to przeszłość, czas pomyśleć o lukratywnej przyszłości u boku ślicznej żonki.

Służba w domu Chipple'ów obawiała się swego pana niczym morowej zarazy, co nie znaczy, że nie dało jej się przekupić. Zresztą nie potrzebował wielkiej pomocy. Wystarczy, że dadzą mu znać, kiedy Hetty będzie sama w domu. Nie spodziewał się oczywiście, że nastąpi to już dzisiaj, niemniej zaczynał się niecierpliwić. Im dłużej czekał, tym częściej rozpraszały go niebezpieczne myśli. Nie mógł sobie pozwolić na uleganie pokusom. Dlatego tak spieszno mu było zabrać dziedziczkę do Wynche End.

Majątek był zaniedbany i niezagospodarowany. Ziemia od lat leżała odłogiem, a dom znajdował się w stanie niemal kompletnej ruiny. Drewno butwiało, dach przeciekał, sienniki wyżarły myszy, a wiekowe kotary i dywany wypłowiwały od słońca, tudzież nadmiernego zużycia, słowem obraz nędzy i rozpaczy. Na szczęście mógł liczyć na Browne'ów - parę służących, którzy doglądali posiadłości pod jego nieobecność. Bessie wiedziała już o ich rychłym przyjeździe. Powiadomił ją zawczasu, by zdążyła doprowadzić do ładu choć jedną sypialnię. Nie chciał na wstępie odstraszyć nawykłej do luksusu młodej narzeczonej.

Zakładał, że panna Chipple jest niewinna. Nie miał powodu w to wątpić. Zresztą, nie zależało mu szczególnie na jej dziewictwie. Postanowił jak najszybciej zacząć dzielić z nią łóżko. Nie chciał, aby w ostatniej chwili zmieniła zdanie co do zamążpójścia. Skompromitowanie jej to

jedyny skuteczny sposób na to, żeby nie uciekła sprzed ołtarza. Nie przewidywał z jej strony większych oporów. Potrafił zbałamucić każdą. Poświęcił wiele czasu i energii na to, by poznać kobiety oraz ich potrzeby. Bez trudu czarował te nieśmiałe, zabawiał dumne, zapędzał w kozi róg kłótliwe i wyrywał z apatii znudzone życiem. Wiedział, jak dawać im przyjemność. W zależności od potrzeb i okoliczności bywał czuły lub szorstki. Hetty nie będzie trudna do zdobycia. Jest młoda, rozpieszczona i próżna. Łaknie męskiej uwagi jak powietrza. Nawet jeśli jej się zdaje, że kocha tego czerstwego kmiotka, rychło o nim zapomni.

Spośród kilku zaproszeń, które dostał na wieczór, postanowił wybrać przyjęcie u Lockwoodów. Sir George i jego małżonka, podobnie jak Chipple, zaliczali się do nuworyszów, lecz w przeciwieństwie do ojca Hetty cieszyli się powszechnym poważaniem. Przyjmowano ich praktycznie wszędzie. Pan Lockwood był bowiem szanowanym bankierem, a jego dochody nie budziły żadnych wątpliwości czy podejrzeń.

Christian zbierał się właśnie do wyjścia, gdy raptem rozległo się łomotanie do drzwi. Chwilę potem służący wprowadził Crosby'ego Penning-ona. Skaranie boskie z tym opojem, pomyślał niezadowolony.

- Przeszkodziłem ci w czymś, stary druhu?

zapytał gość. Jego mowa była wyraźnie spowolniona. - Za późno na wycieczki. Lepiej zostań w domu. Rozpijemy butelczynę i rozegramy kilka partyjek w karty. Co ty na to?

- Mam inne plany. Poza tym, jak widzę, uporałeś się już z co najmniej jedną butelczyną za dużo. Ograłbym cię w cuglach. Nie chcę wykorzystywać niesprawnego na umyśle.

- Nonsens. Nawet kiedy leżę pod stołem i tak gram lepiej niż większość naszych durnych znajomków. Choć wyznam, że z tobą nie idzie mi tak gładko jak z innymi. Szerzą się plotki, że niedawno wszedłeś w posiadanie okrągłej sumki. Prawda to? Ponoć spłaciłeś nawet krawca? Niedługo pewno usłyszysz, że pozbyłeś się wszystkich długów! - Z jakiegoś powodu potraktował to jak osobisty afront.

- Owszem. Niebawem wyjeżdżam. Żywot na wsi potrafi dziać cuda, a bywanie w towarzystwie jest na dłuższą metę wyjątkowo nużące. Muszę odzyskać siły. Potrzebuję spokoju, świeżego powietrza, śpiewu ptactwa, zapachu świeżej trawy na łące...

- Czyś ty do reszty zdumiał?! - Crosby nie posiadał się z oburzenia. -1 kto tu za dużo wypił? Na samą myśl o prowincji robi mi się słabo.

- Nie obawiaj się. Nie proszę, żebyś do mnie dołączył - skwitował Montcalm.

- Wołami byś mnie tam nie zaciągnął. Nie pojmuję jednak, skąd ten pomysł. Chyba nikogo nie zabiłeś, co?

- Gdybym się pojedynkował, na pewno byś o tym usłyszał. Wieści szybko się rozchodzą.
- Racja, ale przecież pojedynek to nie jedyny sposób, aby kogoś uśmiercić... Albo zrobiłeś coś, co wymaga natychmiastowej ucieczki, albo powziąłeś jakiś poważny zamiar.
- Po części jedno i drugie.

- W takim razie - rozpromienił się Crosby - tym bardziej musimy to uczcić. Skoro jesteś teraz bogaty, nie pogardzę małym wsparciem. A może potrzebujesz pomocy przy swoim wielkim przedsięwzięciu?

Crosby był opilcem zdolnym do rozmyślnej dokuczliwości, ale, o dziwo, można było na nim polegać. Mógłby się na coś przydać, uznał Christian. Na przykład do tego, żeby zająć Annelise i odciągnąć jej uwagę od podopiecznej. Rzecz jasna, niewiele by u niej wskórał, ale być może zaabsorbowałby ją na tyle, aby na moment spuściła z oka Henriette.

- Dziękuję za propozycję - rzekł przyjaźnie. - Poradzę sobie sam, ale chętnie rozegram z tobą kilka partyjek. Kto wie, jak prędko znów zawitam do miasta?

- Wspaniale - odparł Pennington, usadowiwszy się przy stole. - Powinienem ci pogratulować z okazji rychłego ożenku?

Montcalm uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Ufał „przyjacielowi” mniej więcej tak samo jak wszystkim, czyli wcale. Tak czy owak, postanowił odrobinę go wspomóc i celowo grał nieuważnie. Jakiś czas później przerwał im lokaj, który wszedł do pokoju i pochylił się nad uchem chlebobdawcy.

Christian odprawił Henry'ego, po czym odłożył karty.

- Obawiam się, że musimy się pożegnać, przyjacielu. Zdaje się, że sprawy potoczyły się szybciej, niż się spodziewałem.

- Jesteś pewien, że obejdiesz się bez mojej pomocy? - zapytał Crosby, zgarniając ze stołu wygraną.

- Owszem. Wystarczy, że jak zwykle zachowasz dyskrecję.

- Załatwione. Życzę szczęścia. - Pennington wstał i wyciągnął do niego rękę. - Dzięki, że dałeś mi trochę zarobić. Zaczyna z ciebie dusza.

A więc mnie przejrzał, stwierdził w duchu Montcalm, zauważył, że nie przykładałem się zbyt do gry.

- Może jednak pojedziesz na wieś? - zaproponował lekkim tonem. - Chętnie cię ugoszczę.

- Na wieś? Nigdy w życiu. Nie zrezygnuję tak łatwo z miejskich uciech. Jeszcze raz powodzenia.

- Nawzajem, Crosby.

Natychmiast po wyjściu gościa Christian przebrał się w ciemne ubranie i sięgnął po spakowaną wcześniej walizkę. Może trzeba było popchnąć go w stronę smoczycy?

Stworzyliby dobraną parę. Ona prawilaby mu morały i trzymała z daleka od butelki i rozwiązłych kobiet. On dałby jej dom i dzieci. Nie musiałyby już zdawać się na łaskę obcych.

Pennington miał w miarę przyzwoity dochód. Gdyby nie przepuszczał tak dużo w szuleniach, żyłby całkiem dostatnio. Panna Kempton prowadziłaby gospodarstwo

oszczędnie. Szkoda, że tak późno przyszło mu to do głowy. Gdyby ich ze sobą wyswatał, skorzystaliby na tym wszyscy, łącznie z nim. Nie miałby z jej powodu wyrzutów sumienia. Problem w tym, że wcale tego nie chciał. Crosby był jego najbliższym znajomym, ale prawdę mówiąc, nie do końca wierzył w jego szczerą intencję. Poza tym, nawet gdyby był go pewien, nie oddałby mu Annelise. Skoro sam nie mógł jej mieć, nie dostanie jej także nikt inny. Zresztą, czy ktokolwiek potrafiłby docenić ją tak jak on? Zapewne nie. W każdym razie lepiej nie stwarzać nikomu okazji. Nie ma pośpiechu. Wspomoże ją później. Może za rok, kiedy Hetty będzie miała dziecko? Tak, do tego czasu na pewno zapomni o mentorce żony i będzie mógł znaleźć dla niej męża. Nedorzeczne zauroczenie jej osobą to tylko chwilowe szaleństwo, słabość, która wkrótce minie.

Dom Chipple'ów był pogrążony w ciemnościach. Tylko nad wejściem paliły się lampy. Christian nie zamierzał jednak skorzystać z frontowych drzwi. Poprzednim razem zrobił szczegółowy rekonesans i doskonale wiedział, jak dostać się do środka niezauważonym. Nie przypuszczał, że pójdzie aż tak łatwo. Hetty nie pilnowali dziś ani srogi ojciec, ani groźna smoczyca.

Zamknąwszy za sobą furtkę, którą zostawił dla niego otwartą przekupiony służący, przeszedł przez ogród. Zmierzał wprost do buduaru swej przyszłej małżonki. Niewątpliwie powinien od-



czuć nieco większy zapach, lecz cóż, nie można mieć wszystkiego. Zapewne rychło spodobały mu się uroki życia w małżeństwie i nabierze należytego entuzjazmu.

Annelise nie miała ochoty udzielać się towarzysko, niestety, pan Josiah nalegał, żeby wybrała się z nim na wieczorek muzyczny do lady Prentice. Hetty wymówiła się niedyspozycją i została w domu, choć tak naprawdę nic jej nie dolegało. Rozpaczała po utracie ukochanego, o czym jej ojciec nie miał pojęcia. Na szczęście nie było go w pobliżu, kiedy panna Kempton przekazała podopiecznej wiadomość od Willa. Wiedziała, że młodzi mają się ku sobie, nie sądziła jednak, że Henrietta jest zdolna do tak głębokich uczuć. Gdy przeczytała list, zbladła jak płótno i próbowała z całych sił powstrzymać łzy.

- Gdzie on jest? - zapytała z wysiłkiem. - Czeka na dole?

- Nie, spotkałam go rano w parku. Błagał mnie, abym ci to dała. Wygląda na to, że nie zmieni zdania.

Panna Chipple stała chwilę nieruchomo jak lalka, po czym wybuchnęła płaczem i padła w ramiona opiekunki.

- Nie rozumiem... Przecież przysięgał, że mnie kocha... Mieliśmy pójść razem do ojca, a gdyby odmówił, planowaliśmy uciec. Wtedy nie mógłby już nas powstrzymać. Wystarczyłoby, byśmy spędzili jedną noc poza domem. Dlaczego mi to zrobił? Czemu się rozmyślił?

Annelise przypomniawszy sobie poturbowaną twarz i przerażenie Williama. Nie chciała uwierzyć, że komukolwiek grozi realne niebezpieczeństwo, ale wszystko wskazywało na to,

że powinna. Pomimo starań matki chrzestnej tym razem wylądowała w bardzo złym miejscu. Co gorsza, nie mogła odejść dopóty, dopóki Hetty nie wyjdzie za mąż. Obiecała to panu Dickinsonowi, a nawet gdyby tego nie zrobiła, nie potrafiła w takiej sytuacji opuścić podopiecznej. Otarła jej łzy i poleciła, aby spróbowała się przespać. Potem, acz niechętnie, udała się wraz z panem Chipple'em do domu lady Prentice.

Nieco później panna Kempton siedziała w odległym końcu salonu, próbując nie słuchać zawodzenia kiepskiej sopranistki i przyglądając się obecnym na sali kawalerom. Niestety, w tym sezonie dobrych partii było jak na lekarstwo. Poza tym Hetty z pewnością nieprędko przeboleje stratę Williama. Z drugiej strony, nim się pojawił, chciała przecież wyjść za Montcalma. Może uda się zainteresować ją kimś innym. Raczej nie pójdzie łatwo, rozmyślała Annelise. Montcalm jest wyjątkowy pod każdym względem. Która kobieta potrafiłaby mu się oprzeć? Z pewnością nie młoda, niedoświadczona panienka. Starsza i mądrzejsza dama jak ja to co innego, zadrwiła z samej siebie. Zamiast się cieszyć, że zniknął z horyzontu, tęskniła. Obie potrzebowały czasu. Za kilka dni wszystko będzie po staremu. Czcigodna panna Kempton odzyska spokój ducha, a Hetty znów będzie się

śmiać, tańczyć i flirtować. Zanim to nastąpi, trochę pocierpią.

Davey, sownie opłacony sprzymierzeniec Montcalma, schował do kieszeni monety i poinformował konspiracyjnym szeptem:

- Reszta służby jest na dole. Powinien pan uważać na Jamesona, ale na razie rozmawia z kucharką. Ma pan około godziny. Trzecie drzwi na lewo. Pokój jest dość daleko. Nie będzie słychać krzyków.

- Bez obaw, nie będzie krzyczała. A co z tobą?

- Wynoszę się stąd. Z Chipple'em nie warto zadzierać. Prędzej czy później dowiedziałyby się, że to ja panu pomogłem. Nie chcę skończyć w jakiejś ciemnej alejce z poderżniętym gardłem. W ciemnej alejce albo na dnie Tamizy, pomyślał Christian, ruszając korytarzem. Z sypialni Henrietty nie dobiegał żaden dźwięk, ale na podłodze odbijała się smuga światła. Nie zadał sobie trudu, żeby zapukać. Nacisnął zdecydowanie klamkę i wszedł do środka.

Panna Chipple, cała w różowych jedwabiach, siedziała przed lustrem. Po jej policzkach spływały łzy, ale była jedną z tych nielicznych kobiet, którym płacz przydaje wdzięku. Do diaska, trafił mi się prawdziwy skarb, stwierdził w duchu Montcalm. Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego zdumiona.

- Co tu robisz? - zapytała bez tchu.

Posłał jej wypróbowany uwodzicielski uśmiech, który jak zwykle okazał się niezawodny.

Natychmiast zmiękła i odpowiedziała tym samym.

- Twój ojciec nie zgadza się na nasz ślub - zaczął z przejęciem. - Uznałem, że powinniśmy mu się sprzeciwić i wziąć sprawy w swoje ręce.

Przez chwilę sprawiała wrażenie wystraszonej. Potem zerknęła na trzymaną w dłoni kartkę papieru i zgniótłszy ją ze złością, podniosła rozpromieniony wzrok na nieoczekiwanego gościa.

- Jestem gotowa - oznajmiła z zapalem i ruszyli w drogę.

## Rozdział czternasty

Było bardzo *późno*, kiedy pan Chipple i panna Kempton znaleźli się w domu. Chlebodawca Annelise pożegnał się z wyszukaną uprzejmością, po czym udał się do biblioteki. Podczas przyjęcia zachowywał się jak zwykle nieco hałaśliwie, lecz w zasadzie bez zarzutu. Mimo to Annelise odczuwała w stosunku do niego coraz większą nieufność. Z początku opowieści Williama wydawały jej się wydumane i niedorzeczne, teraz nie była już tego taka pewna. Może gdyby nie natrafiła w skrytce na pistolet, w jej głowie nie zrodziłyby się podejrzenia. Poza tym nie podobał jej się również Jameson, który bardziej przypominał typa spod ciemniej gwiazdy niż lokaja.

Westchnęła ciężko i zaczęła wspinać się po schodach. Powinna zajrzeć do Hetty, ale spostrzegłszy, że w pokoju nie pali się światło, uznała, że jej podopieczna śpi. Zapewne biedaczkę wyczerpało długie szlochanie. Zamknęła za sobą drzwi sypialni i podeszła zdecydowanym krokiem do toaletki. Potem wyjęła z szuflady pomięty liścik od Montcalma. Lekcja trzecia nigdy się nie odbędzie. Im szybciej pozbędzie się pamiątek, tym lepiej. Zbliżyła się do kominka i cisnęła kartkę w płomienie. Chwilę później włożyła rękę do ognia, by ją stamtąd wyciągnąć. Poparzyła sobie palce, ale zdołała uratować swój skarb. Papier był ledwie osmolony.

Ależ ze mnie głupia gęś, pomyślała smętnie, kompletna idiotka. Trudno, może i jest pozbawioną zdrowego rozsądku niepoprawną romantyczką, ale nie zniszczy jedyne go dowodu na to, że pierwszy i zapewne ostatni raz w życiu przeżyła coś na kształt romansu. To nic, że ten łajdak zwyczajnie zabawiał się jej kosztem. Kiedy będzie miała siedemdziesiąt lat, otoczy się kotami, usiądzie wygodnie w fotelu i odczytawszy ponownie stary bilecik, wspomni z rozrzewnieniem szaleństwa młodości.

Choć nie zwykła zaliczać samej siebie do niemądrych kobietek, gdy w grę wchodził Montcalm, zupełnie traciła głowę. Pokrzepiała ją wyłącznie myśl, że nikt nie wie i nie dowie się o jej słabości. Tylko on mógł podejrzewać, że nie jest odporna na jego wdzięki, ale przy tak hulaszczym trybie życia, jaki wiódł, za dziesięć lat pewnie nie będzie go już wśród żywych. Marna pociecha. Z jakichś powodów taka ewentualność bardzo ją zasmuciła. Spała marnie. Nad ranem obudziły ją nerwowa biegania i podniesione głosy służby, dobiegające

z pokojów pana Chipple'a. Nie miała ochoty sprawdzać, co się dzieje. Zresztą, to nie jej sprawa. Nakryła głowę poduszką i ponownie zapadła w sen.

Otworzyła oczy, gdy rozległo się natarczywe pukanie do drzwi. Postanowiła pójść w ślady Hetty i udawać chorobę.

- Źle się czuję, Jane - poinformowała głośno służącą. - Zdrzemnę się jeszcze godzinę. - Lepiej pięć godzin, dodała w myślach, przymykając powieki.

Pokojówka nie dawała za wygraną.

- Panno Kempton! - zawołała płaczącym głosem. - Proszę mnie wpuścić! Stało się coś złego! Niech to diabli! Annelise poderwała się z łóżka i przebiegła przez pokój.

- O co chodzi? - zapytała, sięgając po peniuar.

- Panna Hetty... Nie ma jej.

- Jak to nie ma? A gdzie jest? - Zamarła, zdjeta złym przecuciem.

- Nie wiadomo. Po prostu... zniknęła. Zniosłam jej tacę ze śniadaniem i... zobaczyłam, że... łóżko jest zasłane, brakuje też niektórych ubrań.

- Gdzie jest pan Chipple? Został już poinformowany?

- Nie... To znaczy... Wyjechał w nocy i ma wrócić dopiero za tydzień. Wezwano go pilnie w interesach. Powiedział, że zostawia córkę pod pani opieką.

- Boże Przenajświętszy! - wykrzyknęła panna Kempton i opadła na krzesło. - Zabrała coś oprócz ubrań?

- Tak, biżuterię.

Ach, tak. Gdyby uciekła z Williamem, klejnoty by się jej nie przydały. Z drugiej strony, takiej sroczce trudno rozstać się ze świecidełkami. Pozostawała też inna możliwość. Mógł ją porwać ktoś, komu zależało na tym, żeby spieniężyć drogie błyskotki.

- Czy... - zaczęła z niejakim trudem - coś wskazuje na to, że próbowała się bronić? Znalazłaś jakieś ślady walki?

- Nie, skądże. Sądzi pani, że została uprowadzona? To niemożliwe. Usłyszelibyśmy...

- Wszczęliście poszukiwania?

- Nie. Pan Jameson wyjechał razem z panem. Służbą kieruje teraz pani Buxton. Kazała mi przyjść z tym do pani. Nie wiemy, co robić. Chyba trzeba powiadomić pana Chipple'a?

- Nie, lepiej żeby dowiedział się o wszystkim po fakcie, gdy jego córka wróci bezpiecznie do domu. Panienska Hetty zapewne poszła odwiedzić jakąś chorą przyjaciółkę. Postąpiła nierozważnie, musiała być bardzo wzburzona. Jestem przekonana, że niedługo wróci albo powiadomi nas, co się stało.

Jane nie dała temu wiary, ale nie śmiała zaproponować.

- Co mamy robić do tego czasu?

Annelise miała szczerą ochotę pobiec do biblioteki po pistolet i przestrzelić Montcalmowi serce za jego haniebny postępek. Zaczepnęła głęboko tchu.

- Możemy tylko czekać. Bądź spokojna, niebawem dostaniemy jakąś wiadomość.



- Nie było dziś żadnych posłańców - poinformowała sceptycznie służąca. - To znaczy z samego rana przynieśli kwiaty.

- Kwiaty? Ktoś przysłał panience kwiaty?

- Nie panience Hetty, tylko pani.

- Mnie? - Psiakrew, zaklęła w duchu panna Kempton. - Gdzie one są?

- Z tego wszystkiego zapomniałam o nich. Zaraz je przyniosę.

- Nie trzeba. Ubiorę się i sama po nie pójde.

- Są bardzo ładne, żółte róże, niebieskie irysy i smocze lilie.

Kilka minut później Annelise zbiegła po schodach i odnalazła na stoliku bukiet. Był przepiękny. Zauważyła i otworzyła załączony bilecik.

*Przykro mi, że sprawiłem Ci kłopot, smoczy-co, ale musiałem zadbać o swoje interesy. Ukradłem kurę znoszącą złote jajka. Żałuję, że nie było nam dane odbyć lekcji trzeciej. Będę o tym śnił co noc.*

*Bądź zdrowa.*

*Christian*

- Psi syn, łajdak i kanalia! Oby szczeł w męczarniach!

- Panno Kempton! - przeraziła się Jane. Nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby nagle przemówiła do niej jedna z marmurowych figur.

Tylko bez paniki, pomyślała Annelise, zgniatając liścik. Nie wolno ci stracić głowy, przestrzegła się w duchu.

- Czy pan Chipple wziął powóz? - zapytała gorączkowo. - A jeśli tak, czy znajdzie się jakiś inny pojazd, którego mogłabym użyć?

- Niestety, mamy tylko jeden, ale są konie.
  - Nie jeżdżę konno. Kto jeszcze wie o zniknięciu panny Henrietty?
  - Nikt, powiedziałam tylko pani.
  - Niech tak pozostanie. Wiem, gdzie jest panna Hetty. Odnajdę ją i za kilka dni sprowadzę z powrotem do Londynu. Powiesz wszystkim, że pojechałyśmy na wieś, aby złożyć wizytę mojej siostrze. Dasz radę przekonać pana Chipple'a, prawda?
  - Boję się go - wyznała nerwowo pokojówka.
  - Tym bardziej powinniśmy go uspokoić. Jestem odpowiedzialna za jego córkę. Dopilnuję, żeby wróciła bezpiecznie do domu. Przywołaj mi dorożkę, tymczasem pójdę spakować kilka drobiazgów. Nie będzie mnie kilka dni.
  - Jest pani pewna?
  - Tak, moja droga. Zrób to, o co proszę, i nie martw się. Obiecuję, że wszystko dobrze się skończy.
- Rzecz jasna, Annelise wcale nie była tego pewna. Wróciła do sypialni i włożyła do walizki niezbędne rzeczy. W ostatniej chwili wsunęła także do kieszeni woreczek z perłami.
- Pamiętaj, co ci powiedziałam, Jane - rzekła na pożegnanie i ukrywszy głowę pod kapturem szarej peleryny, wsiadła do dorożki.
- Nigdy wcześniej nie podróżowała samotnie. Co gorsza, nie wiedziała, dokąd właściwie jedzie.

- Chcę odwiedzić w gospodzie przyjaciela -zwróciła się do woźnicy, próbując nie okazać zdenerwowania - ale nie pamiętam nazwy.

- Obawiam się, że nie mogę pani pomóc.

- Zdaje się, że to „Albion” albo „Albemarle”. Wie pan, jak do nich trafić?

- Wiem. Dokąd najpierw?

- Do tej, która jest bliżej.

Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zatrzymał się Will Dickinson. Nie miała też pewności, czy go jeszcze zastanie. Gdy spotkała go w parku, wspominał, że wyjeżdża dziś rano. Po, jak jej się zdawało, nieskończenie długiej jeździe dorożkarz zatrzymał pojazd. Nie zamierzał jednak zejść z kozła i otworzyć jej drzwi.

- Proszę tu na mnie poczekać - oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu Annelise i ruszyła przed siebie.

- Chwileczkę! - zawołał za nią. - Skąd mogę mieć pewność, że pani wróci? Gdzie moja zapłata?

Wybiegła z domu w takim pośpiechu, że nie pomyślała o najważniejszym. Bez pieniędzy niczego nie zdziała. Miała się za rozsądną i samodzielną, a postąpiła jak bezmyślna dzierlatka, skarciła się w duchu Annelise.

- Dostanie pan zapłatę, kiedy odnajdę znajomego - oznajmiła i nie czekając na odpowiedź, wmaszerowała do gospody „Albion”.

- Bardzo przepraszam - zwróciła się do właściciela - szukam pewnego dżentelmena, pana Williama Dickinsona. To mój kuzyn. Zdaje się, że zatrzymał się w pańskim zajeździe.

Mężczyzna zawahał się. Nie był pewien, jak potraktować nieznajomą. Nie wyglądała na ulicznicę, niemniej żadna przyzwoita kobieta nie przy-szłaby sama do gospody.

- Stoi tuż za panią - rzekł po namyśle. Poczwała tak wielką ulgę, że omal nie rozplakała się z radości.

- Witaj, drogi kuzynie! - zawołała na cały głos i podbiegłszy do Williama, chwyciła go pod ramię. - Jest tu jakieś dogodne miejsce, w którym moglibyśmy porozmawiać na osobności?

- Panna Kempton? Skąd się pani tutaj wzięła? Coś się stało Hetty? Możemy pójść do mojego pokoju, ale nie wypada, żeby...

- Nieważne, prowadź. Nie, czekaj, potrzebuję pieniędzy.

Dickinson spojrział na nią jak na osobę niespełna rozumu, ale na szczęście wykazał zdrowy rozsądek i sięgnął do sakiewki.

- Ile pani trzeba?

- Najlepiej będzie, jeśli sam wyjdiesz na ulicę i zapłacisz dorożkarzowi. Kiedy opuszczałam dom, byłam tak przejęta...

- Proszę nie trzymać mnie w niepewności, panno Kempton! Musi mi pani natychmiast powiedzieć, co się wydarzyło.

- Najpierw odpraw woźnicę.

Kiedy William zniknął za drzwiami, Annelise przeżyła najbardziej upokarzające dwie minuty w całym swoim życiu. Co najmniej pięćdziesiąt par oczu wlepiło w nią zaciekawione spojrzenia.

- Ciekawe, kto tu komu płaci? - usłyszeli za

plecami, gdy wchodzili po schodach. William zatrzymał się i obrócił na pięcie, gotów bronić czci swojego gościa.

- Zignoruj ich - powstrzymała go panna Kempton. - Mamy teraz większe zmartwienia. - Nie dbając o konwenanse, usiadła na niezasałanym łóżku i oświadczyła bez owijania w bawełnę:

-Christian Montcalm uprowadził Hetty. Najprawdopodobniej wczoraj wieczorem.

- Porwał ją? - powtórzył z niedowierzaniem Will i zbladł jak płótno.

- Sądzę, że mamił ją dotąd, aż zgodziła się pójść z nim po dobroci. Potrafi być przekonujący. Poza tym Hetty była zrozpaczona. Twój list złamał jej serce. Z pewnością nie myślała jasno.

- Ten łotr zwyczajnie wykorzystał jej słabość! I nie obchodzi mnie, ile nocy spędzą razem.

Kiedy ich odnajdziemy, zatłukę go jak psa, a Hetty zabiorę ze sobą. Nikt się nie dowie o ich nieszczęsnej ucieczce. Pobierzemy się, więc jej reputacja nie ucierpi. Nie będę dłużej zważał na pogrożki pana Chipple'a, kiedy w grę wchodzi honor jego córki.

- Radzę jednak nie zabijać Montcalma. Gdybyś to zrobił, ściągnąłbyś na siebie podejrzenia. -

Poza tym, dodała w duchu, prędzej sam pożegnałbyś się ze światem. Szanse na to, by Dickinson pokonał w pojedynku Christiana, były raczej mizerne. - Powinniśmy raczej odzyskać pannę, a jego przekonać do milczenia, najlepiej groźbą lub przekupstwem. Potem ty i Henrietta uciekniecie do Szkocji, żeby się pobrać, zanim pan Josiah wróci ze swoich wojaży i zdoła was powstrzymać.

- Jest pani pewna, że nie pojechała z ojcem?

- Owszem - odparła Annelise, przypomniawszy sobie o pogniecionym liściku, który spoczywał na dnie jej kieszeni. - Wiemy, z kim jest, musimy tylko ustalić, dokąd pojechali.
  - Z pewnością wywiózł ją z Londynu. W jego sytuacji postąpiłbym tak samo. Może ma jakąś wiejską posiadłość?
  - Tak, ma! - zawołała uradowana. - W Devonshire. Majątek nazywa się Wynche End.
  - To ogromne hrabstwo - orzekł z powątpiewaniem Will.
- Annelise zerwała się na nogi.
- Mieszka tam moja siostra. Jeśli chcesz się poddać, sama poszukam Hetty. - Zamierzała wyjść, ale William chwycił ją za ramiona i posadził z powrotem.
  - Nie poddam się. Myślę tylko, że zanim wyruszymy, powinniśmy wyznaczyć sobie cel podróży.
  - To gdzieś na wybrzeżu. Gdybym nie była taka zdenerwowana, przypomniałabym sobie wszystko wcześniej. Jedźmy, zastanowimy się po drodze.
  - Dobrze. Poślę po konie.
  - Nie! - przeraziła się Annelise. - Nie jeżdżę konno. Potrzebny nam powóz.
  - Może lepiej pojedę sam. Wierzchem będzie znacznie szybciej.
  - Williamie, jeśli chcemy uratować honor Hetty, musimy dopilnować, aby w podróży towarzyszyła jej inna szanowana kobieta.
  - W takim razie nie tracimy więcej czasu.
  - Jestem gotowa - odparła rażno Annelise,

choć właśnie uzmysłowiła sobie, że jej walizka odjechała w dorożce. Został jej jedynie naszyjnik z fałszywych pereł. Jakoś sobie poradzi. Jak zwykle. Podniosła się i podała ramię nowemu sprzymierzeńcowi.

178

## Rozdział piętnasty

Christian Richard Benedict de Crecy Montcalm nigdy nie skrzywdził kobiety, chyba że któraś wyraźnie sobie tego zażyczyła. Coś podobnego nie przeszłoby mu nawet przez myśl. Aż do dziś. Nie pojmował, jak to się stało, w każdym razie w tej oto chwili był bliski zamordowania Hetty Chipple. Nieznośna pannica doprowadziła go do kresu wytrzymałości w ciągu zaledwie kilku godzin. Miał tak serdecznie dość szlochów, nieustannych utyskiwań i ciągłej paplaniny, że gotów był ją udusić, byle tylko zamknęła wreszcie usta. Mógłby ją zwyczajnie zakneblować, ale zdążyła już raz użyć na nim zaskakująco mocnej pięstki, a nie był w nastroju do zapasów z niewiastą. Co innego, gdyby rzecz miała zakończyć się w pościeli. Sęk w tym, że Henrietta nie wzbudzała w nim ani odrobiny pożądania. Za niektóre rozkosze przy-



chodzi płacić nazbyt wygórowaną cenę. Nie inaczej było w tym właśnie przypadku. Nawet niebotycznie wysoki posag nie jest wart życia w mękach.

Od samego początku wszystko szło nie tak, jak by sobie życzył. Podczas ucieczki liczy się przede wszystkim czas, dlatego też podróżowali szybkim, acz pozbawionym wygod powozem. Rozpieszczona Hetty nie nawykła do dyskomfortu. W dodatku nie miała najmniejszych oporów przed tym, żeby głośno wyrażać niezadowolenie. A to droga była nierówna, a to siedzenia okazały się za twarde i tak w nieskończoność. Początkowy entuzjazm Hetty wyparował, a w jego miejsce pojawiły się wyrzuty i nieustające narzekania. Ku jego zdumieniu i niedowierzaniu, nade wszystko martwiło ją to, że wyjechała w pośpiechu i nie zdążyła pożegnać się z opiekunką.

Nie wydaje ci się, że próbowałaby cię zatrzymać? - zapytał Christian, rozmyślając o liściku, który dołączył do kwiatów. Jego treść była naturalnie stanowczo zbyt wyzywająca, lecz cóż, nie potrafił powstrzymać nieobyczajnych instynktów, zwłaszcza gdy w grę wchodziła czcigodna panna Kempton.

- Och, to oczywiste, że nie powiedziałabym jej prawdy - tłumaczyła Hetty. - Wmówiłabym jej, że uciekam z Willem. - Wzmianka o dawnym ukochanym raptem wyszała z niej ostatnie soki. Umilkła gwałtownie, a jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki i podejrzanie wilgotne.

Chwała Bogu, pomyślał z ulgą. Wszystko, byle choć na chwilę przestała narzekać. Zapomniał, że sam również nie powinien się odzywać.

- Zatem panna Kempton aprobejuje Williama?

- Tak, mówi, że każdy będzie lepszy niż ty.

- Hm... prawdopodobnie ma rację.

Głupia geś nareszcie umilkła na dłużej, pomyślał z ulgą Christian. Zapewne rozpacza po utraconej miłości, zamiast zdobyć się na refleksję nad tym, że przystając na jego plan, popełniła fatalną pomyłkę. Jakiś czas później umościła się na siedzisku i zasnęła. Jej policzki lśniły od łez. Jest irytująca i żalosna, stwierdził Christian, ale wyjątkowo ładna. Raptem zaświtała mu myśl, że panna Chipple budzi w nim - o zgrozo - wyłącznie ojcowskie uczucia. Przy niej poczuł się stary i bardzo doświadczony.

Gdy na nią spoglądał, pragnął co najwyżej się nią zaopiekować, a nie nastawać na jej cnotę. Była od niego piętnaście lat młodsza - w sam raz nadawała się na żonę. Większość dziewcząt zaręczała się w młodym wieku, zazwyczaj podczas pierwszego sezonu. Mężczyźni zwlekali z ożenkiem co najmniej do trzydziestego roku życia. Zatem pod tym względem pasowałiby do siebie idealnie. Mimo to zamiast marzyć o tym, żeby ją pocałować, miał ochotę wymierzyć jej klapsa.

Rzecz jasna, z panną Kempton chciałby zrobić i jedno, i drugie, ale to zupełnie inna kwestia. Jego nieprzyzwoite myśli z pewnością wprawiłyby ją w osłupienie. Tyle że Annelise niełatwo było wyprowadzić z równowagi. Czasem bywała zakłopotana, lecz nigdy wstrząśnięta. Nawet kiedy ją

całował, wydawała się jedynie zdziwiona. Szkoda, że musiał z niej zrezygnować.

Przymknął powieki i zapadł w sen. Zbudziły go hałaśliwe skargi. Hetty wyraźnie żałowała pochopnej decyzji. Spojrzała na niego oskarżycielskim wzrokiem i zażądała postoju.

- Wymieniliśmy konie, kiedy spałaś, Nie chciałem cię budzić.

- Musimy na chwilę stanąć.

- Nie, moja droga. Musimy uciekać jak najdalej od twojego papy. Chyba nie chcesz, żeby nas dogonił?

Zbladła jak płótno i zacisnęła nerwowo wargi. Christian odnotował to z niejakim zdumieniem. Najwyraźniej panicznie boi się ojca. W jej ogromnych błękitnych oczach dostrzegł niekłamane przerażenie. Może jednak wyświadcza jej przysługę. Nawet taki niecnota jak on nie będzie tak bezwzględny jak ojciec tyran. Dopiero teraz uzmysłowił sobie z żalem, że naraził smoczycę na gniew Chipple'a. Zmartwiło go to, lecz nie zamierzał się wycofać. Nie mógł sobie pozwolić na sentymenty. Nie w swoim beznadziejnym położeniu. Zresztą Chipple nie śmiałby wyrządzić krzywdy komuś takiemu jak czcigodna panna Kempton. Miał dość rozumu, żeby nie popełniać głupstw. Co do ewentualnych słownych zniewag, Annelise bez trudu je odeprze. Jest w tym mistrzynią; przekonał się o tym na własnej skórze.

- Czemu się uśmiechasz? - zapytała gniewnie Henrietta.

Czy będę wysłuchiwał tego piskliwego zrządzenia już do końca życia? - zadał sobie w duchu pytanie Christian.

- Na myśl o naszym szczęśliwym pożyciu.
- Nici ze szczęśliwego pożycia, jeśli zaraz nie znajdziesz mi wygodki!
- Dobrze już, dobrze - ustąpił z ociąganiem i zatrzymał konie. Potrzebował chwili wytchnienia od jej drażniącego głosu.
- Powinieneś się ogolić - stwierdziła, kiedy pomagał jej wsiąść z powrotem do powozu.
- Nie podobam ci się? Mówiłaś przecież, że jestem przystojny.
- Owszem, jesteś. Nawet wtedy, gdy wyglądasz jak ostatni szubrawiec. Dlatego cię wybrałam. Nie zamierzał się z nią sprzeczać, choć była idiotką, jeśli sądziła, że to ona wybrała jego, a nie na odwrót.

Tuż po zachodzie słońca dotarli do Wynche End. Służba powitała ich na podwórzu. Pani Browne spisała się znakomicie. Dom lśnił czystością, a w kominkach palił się ogień. Christian poczuł nagle błogosławiony spokój. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo tęsknił za tym miejscem.

- Nie przeniosłeś mnie przez próg - poskarżyła się Hetty.
- Posłał jej uroczy uśmiech. Ćwiczył się w tej sztuce przez lata, czarując ludzi, którymi pogardzał.
- Jeszcze się nie pobraliśmy - oświadczył rzeczowo.
- Wydęła usteczka, jakby znów zamierzała się rozpłakać. Jest taka przewidywalna. Można w niej

czytać jak w otwartej księdze. Ubolewała nad tym, że zgodziła się z nim pojechać. Może nawet sądziła w swej naiwności, że dopóki nie wezmą ślubu, będzie mogła się rozmyślić i wrócić do Londynu. Jakże się myliła! Spędziła z nim całą noc, a zatem małżeństwo to dla niej jedyny ratunek.

- Na pewno jesteś zmęczona - powiedział uprzejmie. - Pani Browne zaprowadzi cię na górę do naszych pokoiów.

- Naszych? - powtórzyła podejrzliwie.

- Nie chcesz więc dzielić sypialni i łoża z mężem? - Drwił z niej w najlepsze, a ona przyjęła jego słowa ze śmiertelną powagą. Smoczyca w jednej chwili obmyśliłaby ciętą ripostę.

- Jeszcze nie jesteś moim mężem! - odrzekła z oburzeniem i spojrzała wyniośle na gospodynię. - Jestem gotowa. Proszę wskazać mi drogę.

Christian poczuł niewysłowioną ulgę, kiedy w końcu Hetty zniknęła mu z oczu. Odetchnął głęboko i udał się do biblioteki. Potrzebował chwili spokoju, aby zebrać myśli przed ponowną konfrontacją z panną Chipple. Rozsądek podpowiadał mu, że powinien jak najszybciej pozbyć ją dziewictwa. Dzięki temu zyska pewność, że narzeczona nie ucieknie sprzed ołtarza. Po namyśle uznał, że zrobi to kiedy indziej. Jej towarzystwo tak mu obrzydło, że nie potrafił zmusić się do spędzenia choćby chwili dłużej w jej obecności. Był wyczerpany i głodny.

Ponadto dręczyła go niezrozumiała melancholia, której natury wolał nie zgłębiać. Hetty i kwestia jej cnoty mogą poczekać. Zrzucił buty i wsparł nogi na krześle. Potem z ukontentowaniem wypił łyk porto. Bessie poinformowała go właśnie, że umieściła pannę Chipple w jedynej nadającej się do zamieszkania sypialni. Na razie postanowił zadowolić się

drzemką w fotelu. Na szczęście mebel okazał się całkiem wygodny, a wino nie pochodziło z przeklętej Francji, lecz z Portugalii.

Od kilku godzin lało jak z cebra, a konie poruszały się po błocie z największym trudem. Annelise przemarzała do szpiku kości. Wynajęty powóz był niewygodny i nie zapewniał ochrony przed deszczem i chłodem. Jakby tego było mało, podczas postoju przemokło jej ubranie. Pocieszała się myślą, że sprzyja im szczęście. Kiedy przed wyjazdem z Londynu dotarli do kwatery Christiana, służący, który sprzątał pokoje, okazał się bardzo rozmowny. Dowiedzieli się, że pan Montcalm wynajął powóz i odjechał do swej posiadłości w Hydesfield. Czekala ich daleka i długa podróż, ale nie wahali się ani chwili. William zatrwożył się tylko raz po tym, jak zapytała, czy ma pistolet.

- Naturalnie, że nie! Za kogo mnie pani uważa? Czy wyglądam na przydrożnego rabusia?

- Nie możemy stanąć przed nim nieuzbrojeni - odparła stanowczo. - Montcalm nie odda jej po dobroci. Za bardzo zależy mu na posagu.

- A co będzie, jeśli ona zechce z nim zostać? - zapytał ponuro.

- Nonsens. Henrietta chce spędzić życie z tobą. Jeśli zgodziła się z nim jechać, to tylko dlatego, że złamałeś jej serce. Sądziła, że na zawsze ją opuścisz.

- Nie miałem innego wyboru! Chipple groził mojej rodzinie i samej Hetty!  
- Nie to jest teraz najważniejsze. Powinniśmy myśleć przede wszystkim o ratunku dla Hetty. Kiedy będzie już po wszystkim, sama rozmówię się z jej ojcem. Musimy zdobyć broń.  
Will spojrzał na nią jak na obłąkaną.

- Nie umiem strzelać.

- Nie szkodzi. Ja umiem.

Annelise uznała, że najprościej i najszybciej będzie „pożyczyć” pistolet pana Chipple'a. Zawrócili więc do jego domu. Tym razem nikt nie strzegł biblioteki. Annelise weszła do środka niezauważona i przez następnych kilka minut próbowała na wszelkie sposoby otworzyć skrytkę. Już miała zrezygnować, kiedy nagle zauważyła na półce opasy tom zatytułowany „Mitologia grecka”. Sięgnęła po niego intuicyjnie i raptem drzwiczki ustąpiły. Nie tracąc więcej czasu, zabrała łup oraz odpowiedni zapas prochu. Jeden wystrzał może nie wystarczyć do zgładzenia takiej kanalii jak Montcalm. Potem wypadła na korytarz i zostawiwszy otwarte drzwi, popędziła z powrotem na ulicę. Will wpatrywał się w jej zdobycz niczym w jadowitego węża.

O zmierzchu zerwała się burza. Christian zyskał nad nimi cały dzień przewagi. Niełatwo będzie naprawić szkody, które ten parszywiec wyrządził jej niemądrej podopiecznej. Mimo to panna Kempton wciąż miała nadzieję, że uda jej się zapobiec kompletnej katastrofie. Zamierzała udać się z młodymi wprost do Gretna Green. Jeśli będzie im towarzyszyła jako przyzwoitka, wszystko powinno zakończyć się pomyślnie.

Zapadła w niespokojną drzemkę, lecz nie dane jej było wypocząć. Budziła się co chwila, gdy powóz podskakiwał na wybojach. William Dickinson tymczasem chrapał w najlepsze. Nie przeszkadzały mu ani niewygody, ani usiana koleinami droga. Annelise przeklinała w duchu cały męski ród, w szczególności zaś dosięgniętych strzałą Amora młodzieńców, którzy potrafią smacznie spać, choć ich ukochanym grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie zorientowała się, kiedy nastał świt. Przez zamglone okna nie sposób było cokolwiek zobaczyć. Sprawdziła, czy pistolet jest naładowany. Musiała mieć pewność, że wypali, kiedy przyjdzie pora. Naturalnie nie zamierzała zabić Montcalma. Pragnęła jedynie, aby cierpiał prawdziwe katusze. Jeśli żywiła do niego jakiegokolwiek uczucia, ulotniły się, gdy dowiedziała się o jego haniebnym występku. W ich miejsce pojawił się gniew. Doszła do wniosku, że przestrzeli mu stopę. Tylko go okaleczy, ale za to bardzo boleśnie. Będzie wił się z bólu, podczas gdy ona odjedzie w siną dal z dwojgiem zakochanych bez pamięci gołąbeczków. Z wyczerpania zaczyna mącić mi się w głowie, pomyślała. Christian zasłużył na surową karę, ale nie zdołałaby go skrzywdzić, nawet gdyby istotnie próbowała. Niewątpliwie wolałaby, żeby zniknął. Sądziła naiwnie, że łatwiej byłoby jej o nim zapomnieć. Czyżby próbowała oszukać samą siebie? Prze-



cięż raz już odszedł z jej życia, a kiedy się pożegnał, była zrozpaczona i zawiedziona. Zdaje się, że słabość umysłu, tudzież snucie niezdrowych fantazji to częste przypadłości wśród starych panien - efekt samotniczej egzystencji oraz szkodliwego zamiłowania do literatury, doszła do wniosku Annelise.

Hydesfield okazało się mroczne i ponure. Potem było jeszcze gorzej. Gdy zapytawszy o drogę, ruszyli do Wynche End, Annelise miała wrażenie, że znalazła się w posępnej scenerii jednej z gotyckich powieści, które tak uwielbiała. Jakiś czas później rozległ się głośny trzask, po czym powóz przechylił się niebezpiecznie na prawo i ugrzązł w rozmokłej ziemi.

- Psiakrew, koło się oberwało! - wrzasnął z kozła woźnica. - Widać już dom! Jest niedaleko, ale mogę...

Annelise chwyciła pistolet i w okamgnieniu wyskoczyła na zewnątrz. Wylądowała twarzą w błocie. Tylko dzięki opatrności nie postrzeliła samej siebie. Była mokra i brudna, ale nic sobie z tego nie robiła. Bez namysłu puściła się biegiem w stronę majaczących w oddali zabudowań. Spadł jej kaptur i zgubiła but. Przemoczone włosy opadały jej na ramiona w pozlepianych strąkach. W końcu dopadła drzwi i stanęła w sieni. Dostrzegłszy wątyły płomyk świecy, pokuśtykała w jego stronę.

W kominku tlił się ogień, a na stoliku stała opróżniona butelka wina. Montcalm spał w fotelu z nogami wspartymi na krześle. Miał na policzkach kilkudniowy zarost, wyglądał odrobinę niechlujnie i jak zwykle... cudownie, niczym upadły anioł. Zatrzymała się tuż przed nim i wymierzyła broń prosto w jego pierś.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu - mruknął, otworzywszy swoje niespotykane piękne, zielone oczy. - Nie strzela się do mężczyzny, w którym jest się zakochaną. To nierozsądne.

## Rozdział szesnasty

Christianowi przyszło do głowy, czy Annelise w odwecie za drwinę pociągnie za spust.

Uważaj, przestrzegł się w duchu, kiedyś przebierzesz miarękę i sprowokujesz kogoś na tyle, że skończysz z kulą w głowie.

- Odłóż to i usiądź, moja słodka - rzekł, nie ruszając się z miejsca. - Trzęsiesz się jak osika.

Nie pomyślaś o tym, że pistolet może wypalić przez przypadek? Jeśli naprawdę pragniesz mnie zamordować, śmiało, strzelaj, ale jeśli nie podjęłaś jeszcze ostatecznej decyzji, lepiej żeby nie doszło do tragedii przez pomyłkę. Dręczyłyby cię potem ogromne wyrzuty sumienia.

- Och, zapewniam, że prędko bym się z nich wyleczyła - odparła Annelise. Wprawdzie położyła pistolet na stole, lecz zadbała o to, by nadal znajdował się w zasięgu ręki.

Wyglądała jak zmokła kura. Włosy opadały jej w nieładzie wzdłuż ramion, miała zaparowane okulary i uwalane błotem ubranie. Drżała z zimna i ze złości. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby spróbował ją teraz pocałować? - zadał sobie w duchu pytanie Christian.

Najprawdopodobniej zastrzeliłaby go jak psa.

- Usiądź, Annelise - poprosił łagodnie. - Zawołalbym po służącą, żeby przyniosła ci coś do okrycia, ale obawiam się, że wszyscy śpią. Która godzina?

- Tuż po świcie.

- Musiałem zasnąć.

- Gdzie Hetty? - zapytała nieprzyjaźnie, nadal tkwiąc obok krzesła.

- Na górze, w łóżku. Czyżbyś sądziła, że ją uśmierciłem i wrzuciłem do Tamizy? Gdyby się nad tym zastanowić, to całkiem niezły pomysł.

Ktoś trzasnął drzwiami i przebiegł przez korytarz. No tak, pomyślał z rezygnacją Christian, smoczy ca nie przyjechała sama. Ukochany Chip-ple'ówny wpadł do pokoju jak burza i spostrzegłszy Montcalma, rzucił się ku niemu z mordem w oczach. Na szczęście Annelise uznała za stosowne stanąć mu na drodze.

- Zaczekaj, Will! - zawołała, kładąc mu rękę na ramieniu.

Gdyby go nie powstrzymała, niechybnie próbowałby skoczyć Christianowi do gardła. Bez trudu by sobie z nim poradził. Przez lata ćwiczył się w sztuce walki wręcz.

- Zabiję go! - wrzeszczał William Dickinson. - Zatłukę łajdaka na śmierć! - Usiłował się wyrwać,

ale ponieważ nie wypadało szarpać się z kobietą, dał za wygraną. Biedny młokos, pomyślał Montcalm. Nie przestaje myśleć o dobrych manierach. - Co zrobiłeś mojej Hetty, podlec? - Przez ponad dobę wysłuchiwałem nieustającej paplaniny, utyskiwań, szlochów, prostodusznych wywodów, tudzież oskarżeń pod swoim adresem. Zapewne ucieszy cię wieść, że jej nie tknąłem. Gdybym się do niej zbliżył, niechybnie bym ją udusił. Zabierz ją sobie, drogi chłopcze. Będę ci za to dozgonnie wdzięczny. Wolę przeżyć resztę życia jak nędzarz, niż spędzić choćby jeden dzień z urzekającą panną Chipple.

William wpatrywał się w niego z mieszaniną niedowierzania i niechęci.

- Gdzie ona jest?

- Na piętrze. Smacznie śpi, jeśli się nie mylę. Idź do niej, jestem przekonany, że przyjmie cię z otwartymi ramionami. Przy schodach w lewo, czwarte drzwi na prawo. Biegnij. Grzeczny chłopiec. Nie obawiaj się, panna Kempton jest ze mną bezpieczna.

Annelise parsknęła nieelegancko, lecz jej młody towarzysz nie wahał się długo i wkrótce bez mrugnięcia okiem zostawił ją na pastwę Montcalma.

- Usiądziesz wreszcie? - spytał znużonym głosem. - Jeśli tego nie zrobisz, będę musiał wstać, a nie mam na to ochoty.

- Dość się nasiedziałam w powozie.

- Ach, tak? Czyżby twój szanowny zadek zanadto się poobijał? Nie martw się, moje fotele są miękkie i wygodne.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego ze zgorzeniem. Cóż za kompletny brak taktu! Jak śmiał wymówić na głos to słowo. W towarzystwie nie rozmawia się o... Zajął najbliższy fotel, gdy przechylił głowę i zatrzymał wzrok na wspomnianej wcześniej części jej anatomii.

- Skompromitowałeś to biedne dziewczę - rzuciła oskarżycielsko - a teraz ją odtrącasz?

Zdajesz sobie sprawę z tego, jaka to podłość?

- Chcesz, żebym się z nią ożenił? Zrobię to, jeśli każesz - wszystko byle tylko cię uszczęśliwić.

Uprzedzam jednak, to małżeństwo nie potrwa długo. Albo uduszę ją gołymi rękoma, albo rozbiję jej na głowie świecznik. Zresztą, skoro pragnęłaś, żebym ją poślubił, po co zabrałaś w tę wyprawę świętego Jerzego?

- Nie pleć głupstw. Smok i święty Jerzy byli śmiertelnymi wrogami. Jeśli ktoś miałby tu odgrywać jego rolę, to z pewnością nie Will, lecz...

Posłał jej szeroki uśmiech.

- Zamierzałaś zasugerować, że to ja bardziej do niej pasuję? Być może będzie to dla ciebie zaskoczeniem, ale wierz mi, daleko mi do świętości.

Nie drżała już tak jak przedtem, ale niewątpliwie powinna pozbyć się tego mokrego ubrania, pomyślał Christian. Naturalnie nie uda mu się jej do tego nakłonić... przynajmniej nie dziś.

Tak czy inaczej nie porzucał nadziei. Może jednak to nieudane przedsięwzięcie nie okaże się całkowitym fiaskiem. Jak dobrze pójdzie, poswawoli nieco z czcigodną panną Kempton. Gra warta świeczki, nie miał co do tego wątpliwości. Jeśli nie będzie

rozrzutny, pieniądze, które wymógł na Chipple'u szantażem, zapewnią mu na jakiś czas przyzwoity byt. Szkopuł w tym, że nie cechował się szczególną oszczędnością.

A co do Chipple'a, ten stary szubrawiec z pewnością nie odpuści mu win. Będzie próbował się na nim zemścić aż do skutku. Zerknął na Annelise i uśmiechnął się bezwiednie. Była wyczerpana, a mimo to nie skarżyła się, nie narzekała i niczego się nie domagała. Może z wyjątkiem Hetty i jego głowy na srebrnej tacy. O dziwo, zupełnie nie dbała o własne potrzeby.

- Henrietta wyjdzie za Williama - oświadczyła stonowczo. - *Jeśli* się okaże, że jest w ciąży...

- Nie słuchasz tego, co do ciebie mówię, wiedzmo? Powiedziałem przecież, że jej nie tknąłem. Jest równie niewinna jak w dniu narodzin. Chyba że ktoś inny dobrał się do niej wcześniej. Ja w każdym razie zachowałem się jak prawdziwy dżentelmen.

- Dżentelmen, który porywa panny na wydaniu? Też coś!

- Wypraszam sobie. Po pierwsze, panna Hetty Chipple to jedyna panna, którą kiedykolwiek porwałem. Po drugie, poszła ze mną po dobroci, zatem *de facto* nie było to uprowadzenie. Nie musiałem długo jej namawiać. Zwyczajnie wstała sprzed toaletki i powiedziała: „Tak, zgadzam się”.

- Sprzed toaletki? - obruszyła się. - Byłeś w jej sypialni?

- Moja słodka, byłem w niezliczonej liczbie damskich sypialni. Poza tym tylko stałem w drzwiach. Zapytałem, czy chce ze mną uciec, a ona się zgodziła. Ot i cała opowieść. Jak tu dotarliście w tę ulewę? - zmienił temat. - Wierzchem, jak sądzę?

- Nie. - Wzdrygnęła się. - Nie jeżdżę konno.

- A zatem wynajęliście powóz? Gdzie wasz woźnica?

- Nie wiem. Kiedy złamało się koło, przybiegłam tu na piechotę.

Wstał i spojrzał na nią z góry. Nie ruszyła się, za to łypnęła na niego rozeźlonym wzrokiem.

Lubił, kiedy się złościła, przydawało jej to uroku i nie była przy tym męcząca tak jak

Chipple'ówna, lecz zabawna.

- Dopilnuję, aby naprawiono wasz powóz. Spodziewam się, że będziesz chciała jak najszybciej zabrać księżniczkę z rąk okrutnego ogra.

Zdumiony spostrzegł, że Annelise powoli zasypia. Kobiety nigdy przy nim nie zasypiały.

- Życie to nie bajka - wymamrotała, ułożywszy głowę na oparciu. - Nie jestem smokiem,

Hetty nie jest uwięzioną księżniczką, a ty bardziej przypominasz trolla niż ogra.

Roześmiał się w głos.

- Trolle są szpetne, moja słodka. Może i jestem samolubnym i powierzchownym łajdakiem bez sumienia, ale z pewnością nikt nie nazwałby mnie brzydkim. Niektórzy wręcz mają mnie za wielce urodziwego.

- Znajdź lepiej woźnicę. Im szybciej stąd wyjedziemy, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że cię zamordują. Pamiętaj, że mam pistolet i nie zawaham się go użyć.



- Doprawdy? A umiesz chociaż strzelać?

- Owszem. Ojciec mnie nauczył.

- Ach, tak. Ojciec... - Zamierzał sprowokować ją do dalszej utarczki, ale przymknęła powieki i natychmiast zapadła w sen.

Przyjrzał jej się w zamyśleniu, po czym okrył ją szczelnie swoim płaszczem. Wolałby ogrzać ją własnym ciałem, lecz cóż, będzie musiał z tym poczekać. Wyszedł do sieni i uchylił drzwi.

Przewrócony powóz wciąż tkwił w miejscu. Myśl

o wyjściu na taką ulewę nie napawała go entuzjazmem. Postanowił wezwać na pomoc Browne'ów. Zaczynał być głodny. Jak się okazuje, porywanie dziewczeczek i walki ze smokami znacznie pobudzają apetyt.

Odnalazł służących w kuchni. Harry i Bessie służyli niegdyś u jego dziadka. Zawsze byli dla niego dobrzy i życzliwi, dlatego kiedy dorósł

i przejął spadek, poprosił ich, aby przenieśli się wraz z nim do Wynche End. Poszli za nim jak w ogień, choć uprzedzał ich o tym, że nie będzie im się przelewało. Na szczęście zawsze starczało mu na utrzymanie, niemniej wciąż ubolewał nad tym, że nie stać go na to, żeby nająć kogoś do pomocy i odciążyć Bessie.

- Mam nadzieję, że goście nie zostaną długo - odezwała się gospodyni, patrząc na niego zatroskanym wzrokiem. - Może uda mi się przygotować jeszcze jedną sypialnię, ale na nic więcej nie może pan liczyć. Chyba że oddamy własny siennik...

- Wykluczone - odparł, sięgając po plaster szynki, który właśnie smażyła. Jak zwykle klepnęła go po dłoni i przepędziła od pieca. - Nie pozbawię was łóżka z powodu dwójki intruzów. Zresztą, nie ma powodu do obaw. Niebawem wyjadą i zabiorą ze sobą pannę Chipple.
- Chwała Bogu - odparła z wyraźną ulgą Bessie. Nie miała najmniejszych oporów przed udzielaniem rad. - Ta dziewczyna zupełnie się dla pana nie nadaje. W ciągu roku doprowadziłaby pana do szaleństwa.
- Podejrzewam, że wystarczyłoby jej zaledwie kilka dni, ale posag ma nie do pogardzenia. Wzruszyła pulchnymi ramionami.
- Cóż, widocznie nie było panu pisane się wzbogacić. Będę się za pana modlić.
- Wolałbym nie. - Z jakichś powodów wprawiało go to w zakłopotanie. - Nie jestem tego wart. Posłała mu matczyne uśmiech. Powinno go to zirytować, ponieważ nie lubił okazywania uczuć, a jednak wydawało mu się to zupełnie naturalne. Co więcej, uwielbiał ją za to, że okazuje mu tyle troski.
- Ależ jest pan tego wart - stwierdziła z głębokim przekonaniem. - Tylko jeszcze pan o tym nie wie. To na ile osób przygotować śniadanie? - zapytała rzeczowo.
- Mamy dwoje dodatkowych gości i ich woźnicę, ale pewnie nie zostaną na posiłek.
- Tak czy owak, jedzenia nam nie zabraknie.
- Sądzę, że wyjadą, jak tylko naprawimy powóz, a i ja chyba wrócę do miasta. Nie odezwała się, choć wyczuł, że ów pomysł nie przypadł jej do serca.

- Pójdę się przebrać. Aha, nie budźcie damy, która śpi w bibliotece. Powinna nieco odpocząć przed podróżą.

Uśmiechnął się na wspomnienie rozmowy o kondycji jej zadka.

- Damy? - powtórzyła podejrzliwe Bessie. Zbyt dobrze go znała.

- Och, bądź spokojna, to nikt ważny - rzucił beztrąsko.

Wszedł na schody i ruszył w stronę swojej sypialni, którą zwykł nazywać Mnisią Celą. Była ciemna i urządzona z gotyckim przepychem, zaś wąskie posłanie przypominało pryczę pokutnika. Hetty spała w sąsiednim skrzydle. Zastanawiał się, czy w towarzystwie Willa jest równie zrzędliva jak przy innych. A może biedaczysko jest odporny na jej utyskiwania?

Wiedziony ciekawością, podszedł do jej pokoju i zatrzymał się pod drzwiami. Po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Sądząc z odgłosów, które docierały do jego uszu, panna Chipple jednak nie wyjedzie z tego domu jako dziewica. Ciekawe, jak tego dokonała? Nie miał wątpliwości, że rzecz odbywa się z inicjatywy jego niezdolnej branki. William jest zbyt porządny, aby wykorzystać niewinną pannę, zwłaszcza tę jedyną, w której kocha się na zabój. Prędzej oddałby za nią życie, niż pomyślał o tym, żeby pozbawić ją cnoty.

Przez chwilę kusiło go, by ich podejrzeć i zobaczyć, jak to jest robić to z kimś, kogo się naprawdę kocha. Byłoby to dla niego zupełnie nowe doświadczenie. Uznał jednak, że nie wypada. Hetty uwiodła ukochanego i tym samym przypieczętowała swój los. Z pewnością o to właśnie jej chodziło. Wyjadą, pobiorą się i będą żyli długo i szczęśliwie.

Jego pokój został wprawdzie przewietrzony i wysprzątniany, ale na łóżku nie było siennika. Zapewne zjadły go myszy. Christian umył się pospiesznie i włożył czyste ubranie. Z

rozmyśłem wybrał ciemny strój, w którym prezentował się szczególnie korzystnie. Pragnął, aby Annelise takim go zapamiętała, a potem, gdy wyjedzie, usychała z tęsknoty.

- Powóz nigdzie nie pojedzie - oznajmił Harry Browne, gdy spotkali się na korytarzu. - Jest stary i wysłużony. Niełatwo będzie go naprawić. Jeremy pomógł woźnicy odprowadzić konie do miasta.

- Cóż za pech - odparł Montcalm. - Na szczęście jest jeszcze pojazd, który wynająłem w Londynie. Dobrze, że nie zdążyłem go zwrócić. Obawiam się jednak, że pomieści zaledwie dwie osoby, a potrzebujemy miejsca dla trojga.

- Zamierzał pan odesłać wszystkich razem? Christian uśmiechnął się do własnych myśli.

- Najpierw odeślę pannę Hetty i jej narzeczonego. Panna Kempton zostanie z nami, dopóki nie znajdziemy dla niej transportu. Poproś żonę, aby podała śniadanie. Tymczasem obudzę gości i przekażę im niepomyślne wieści. Mam nadzieję, że nie będą protestować. Przyzwoitka panny Chipple zostanie kilka dni na wsi. Naprawa nie potrwa dłużej niż tydzień, dwa.

- Mamy przecież konie - podsunął Harry. - Młody panicz mógłby jechać wierzchem... - Spoj-

rzał na swego pana i nagle dodał: - Zapomniałem, że wszystkie okulały, a pociągowe nie nadają się pod siodło.

- W rzeczy samej. Najlepiej będzie, jeśli zaprowadzisz te kulawe do oddzielnego boksu na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy wściubiać nos tam, gdzie nie trzeba.

- Wedle życzenia, jaśnie panie. Wszystkiego dopilnuję.

Christian skinął głową i nucąc pod nosem, ruszył do biblioteki. Smoczyca jeszcze się nie obudziła. Pistolet nadal leżał u jej boku. Zabrał go i przyjrzał mu się z bliska. Ciekawe, skąd go wzięła? Z pewnością nie należał do jej zmarłego ojca. Prawdopodobnie do Chipple'a. Stary wpadnie w furję, kiedy cała sprawa się wyda, stwierdził w duchu, chowając broń pod poduszkę leżącą na kanapie. Nie dość, że jego córka uciekła z domu, to jeszcze zostanie żoną prowincjusza bez tytułu. Co więcej, w tym samym czasie uciekła też opiekunka, która nie zdołała jej upilnować. Annelise niewątpliwie już się domyślała, że Chipple nie jest dobrodusznym nuworyszem, lecz groźnym niegodziwcem. Tym lepiej, że zatrzyma ją na jakiś czas w Wynche End, rozmyślał Christian. W przeciwnym razie niechybnie uznałaby, że jest winna ojcu Hetty wyjaśnienie, i stawiałaby się przed jego oblicze.

Kiedy z nią skończy za kilka dni lub tygodni, raczej nie będzie jej pilno do tego, aby spojrzeć Chipple'owi w oczy. Naturalnie nie chciał jej skrzywdzić. Po prostu jej pragnął i postanowił, że nie spocznie, póki i ona go nie zapragnie. Zresztą był przekonany, że ich romans w niczym jej nie zaszkodzi. Wręcz przeciwnie. Stała przed widmem staropanieństwa. Czekало ją długie samotne życie, a on mógł jej pokazać rozkosze, których istnienia nawet nie podejrzewała. Podaruje jej coś, co będzie mogła z rozrzewnieniem wspominać na starość.

Może nawet wyjdzie za jakiegoś wdowca, który przymknie oko na to, że dostał mu się nieco „wybrakowany towar”. Wychowa mężowi dzieci, może nawet urodzi własne, a podczas wypełniania obowiązków małżeńskich będzie wyobrażała sobie, że jest z nim, Christianem. Nie, ten pomysł zdecydowanie nie przypadł mu do gustu. Nie chciał, żeby ktokolwiek miał prawo jej dotykać. Pragnął, by do końca swoich dni marzyła wyłącznie o nim. Łajdak z niego, lecz dawno pozbył się złudzeń na swój temat. Tak czy owak, zamierzał zadbać o to, aby nie zaszła w ciążę. Nagle wyobraził sobie Annelise z zaokrąglonym brzuchem i jakichś niedorzecznych powodów uznał, że wyglądałaby urzekająco.

Dorzucił drewna do dogasającego kominka, po czym usiadł naprzeciw śpiącej i długo jej się przyglądał. Musi postępować bardzo ostrożnie. Jeśli nie będzie dyskretny, spłoszy ją, a wtedy gotowa wracać do Londynu na piechotę w jednym bucie. Nie pozwoli, aby się domyśliła, jakie ma wobec niej plany.

## **Rozdział siedemnasty**

Annelise obudziła się cała obolała, po trosze z powodu męczącej jazdy powozem, po trosze dlatego, że zasnęła w fotelu. W dodatku w obecności Montcalma, uzmysłowiła sobie ze zgrozą. Nareszcie było jej cudownie ciepło. Spojrzawszy na koc, którym ją okrył, stwierdziła, że tanie koc, lecz jego płaszcz.

Rozejrzała się po pokoju. Była sama. W kominku wciąż palił się ogień. Ktoś musiał podtrzymać płomień. Pistolet naturalnie zniknął. Zresztą to bez znaczenia, i tak by go nie użyła. Miała ku temu zarówno sposobność, jak i dobry powód, a mimo to nie pociągnęła za spust. Có do jednego Montcalm miał rację: nie wybaczyłaby sobie, gdyby niechcący go postrzeliła. We wszystkim innym się mylił. „Nie strzela się do mężczyzny, w którym jest się zakochaną”. Kompletny nonsens. Co on sobie wyobraża?! Przy najbliższej okazji powie mu, co o tym sądzi. Chociaż może lepiej nie poruszać tego tematu. Na szczęście za kilka godzin już jej tu nie będzie.

Wstała i odłożywszy płaszcz, rozprostowała zdętwiałe członki. Oddałaby wszystko za gorącą kąpiel, ale będzie musiała z tym poczekać, aż dotrą do domu Williama. Oby tylko Dickinsonowie okazali się zwolennikami częstego mycia.

Biblioteka Christiana od razu przypadła jej do serca, choć meble i dywany były w wyjątkowo złym stanie, podobnie jak reszta posiadłości. Przyptyw gotówki z pewnością przywróciłby dom do dawnej świetności. Gdyby nie chodziło o życie młodej, niewinnej panny, Annelise czułaby się winna, że pokrzyżowała Montcalmowi szyki.

Przypomniała sobie o swej podopiecznej. Musi się upewnić, czy jest bezpieczna i czy podczas wyprawy z Londynu nie doznała żadnego uszczerbku. Jak to było? Przy schodach w lewo, czwarte drzwi na prawo. Odnajdzie je bez trudu. Will pewnie trzyma ją za rękę i pociesza. Trzeba ich na razie rozłączyć. Reputacja Henrietty dość już ucierpiała.

Panna Kempton wymyśliła już całkiem wiarygodną historyjkę na użytek pana Chipple'a. Zamierzała mu wmówić, że pod jego nieobecność córkę dopadła tak wielka nostalgia, że biedaczka przestała jeść i spać. Wtedy ona i pan Dickinson postanowili zabrać ją z wizytą do rodzinnego Kent. Pan Josiah naturalnie będzie wściekły, i to nie tylko na nieposłuszną córkę, lecz także i na nią. Nie była



pewna, co dalej pocznie. Prawdopodobnie napisze do matki chrzestnej z prośbą o pomoc i gościnę.

- Nie wchodziłbym tam na twoim miejscu - usłyszała raptem za plecami, gdy przemierzała korytarz.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Christiana. Miał na sobie świeże ubranie i jak zwykle wyglądał oszałamiająco, podczas gdy ona czuła się jak ubłocona i wymięta topielica.

- Nie bądź śmieszny - odparła poirytowana.

- Chcę zyskać pewność, że nic jej nie jest i że jest w dobrym nastroju.

Christian podszedł do niej sprężystym krokiem.

- Spodziewam się, że jest w doskonałym nastroju - oznajmił z przekonaniem - Nie przyszło ci do głowy, że może potrzebować odrobiny prywatności?

Miała szczerą ochotę rzucić mu w twarz jakieś soczyste przekleństwo. Powstrzymała się i zdecydowanym ruchem sięgnęła do klamki. Zajrzała do środka, podskoczyła jak oparzona i natychmiast zatrzasnęła z powrotem drzwi.

- A nie mówiłem? - wytknął jej Montcalm.

- Ostrzegałem cię.

Zapukał i odczekawszy chwilę, przepuścił Annelise do środka. Nie chciała wchodzić, ale nie miała innego wyjścia. To jej obowiązek. Na szczęście Hetty i Will siedzieli teraz ramię w ramię z pierzyną podciągniętą pod brody.

- To wszystko twoja wina! - zwróciła się z furią do Christiana. - Gdybyś jej nie nachodził i nie napastował, nie uznałaby za konieczne poddać się umizgom Willa.

- Nikogo nie napastowałem. Nie mam takiego zwyczaju. Nie tknąłem waszej niewinnej księżniczki małym palcem. Prawda, Hetty? Nie sądzę, by to William ją uwiódł. Było raczej na odwrót, nieprawdaż?

Młodzieniec zarumienił się jak wiśnia, lecz Henrietta nie sprawiała wrażenia szczególnie zakłopotanej. Uniosła wyzywająco brodę i oznajmiła wyniośle:

- Nie pozwolilibym ci się do mnie zbliżyć. Kocham Williama. Poza tym jesteś dla mnie za stary.

- Daję słowo, zraniłaś mnie do głębi. - Christian roześmiał się szczerze ubawiony. - Masz słuszość, przy tobie rzeczywiście czuję się jak stuletni mędrzec. Najwyższa pora, żebyście opuścili to gniazdo grzechu i wrócili do cywilizacji. Radzę wam jak najszybciej się pobrać. Nie chcecie chyba zanadto zwlekać? Byłoby to ze wszech miar niewskazane. Chipple to mściwy człowiek. Nie znosi, gdy ktoś sprzeciwia się jego woli. Ponadto wasze niemoralne prowadzenie się może się okazać brzemienne w skutki.

- Wiem już, co powinniśmy zrobić - odezwała się wciąż oszołomiona panna Kempton. - Mój szwagier jest wikarym. Jego parafia znajduje się nieopodal Wynche End. Pojedziemy tam i sprawdzimy, czy można obejść prawo i dać im ślub bez zgody ojca Henrietty. Jeśli okaże się to niemożliwe, udamy się do Szkocji. Tam wezmą ślub bez

najmniejszych przeszkód. Chipple nie będzie mógł nic na to poradzić.

- Zamierza pani naruszyć prawo, panno Kempton? - odparł z drwiną Montcalm. - Dalibóg, jestem pełen uznania i podziwu. Pomyślała pani o wszystkim. Mam tylko nadzieję, że nie myli się pani co do Chipple'a. Tak czy owak, cieszy mnie, że jego gniew nie spadnie na mnie.

- Tylko dopóki nie poinformuję go o tym, czego się pan dopuścił.

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- Naprawdę chce mi to pani zrobić, moja droga? Jakież to niesprawiedliwie i nieuprzejme.

Przecież nie stało się nic złego, a Romeo i Julia będą żyli razem długo i szczęśliwie.

Powinniście okazać mi wdzięczność. Gdybym nie interweniował, nie przyjechalibyście tu za mną. Hetty prawdopodobnie zaręczyłaby się z jakim starym bufonem z tytułem, a William poślubiłby urodziwą sąsiadkę. A tak doczekaliśmy się szczęśliwego zakończenia. Ja zyskałem sporo gotówki, a mimo to nie będę musiał męczyć się z panną Chipple, młodzi kochankowie połączyli się na wieki, a panna Kempton... hm... cóż, co do pani nie jestem pewien, jakie jest pani szczęśliwe zakończenie. Wystarczy, że wyrwała się pani ze szponów Chipple^.

- O jakiej gotówce pan mówi? - zapytała podejrzliwie.

- Ojciec Hetty okazał się wyjątkowo hojny. Zapłacił mi pięćdziesiąt tysięcy funtów za to, żebym zostawił pannę w spokoju.

- A pan i tak ją uprowadził? Niesłychane! - Była wyraźnie zgorziona.

- Och, nie patrz tak na mnie, smoczyco. Trudno oczekiwać lojalności od kogoś podatnego na przekupstwo, czyż nie? Zresztą, ostatecznie dotrzymam słowa i zostawię w spokoju przyszłą

panią... jakkolwiek się będzie nazywać.

- Panią Dickinson - wtrąciła z dumą Hetty.

- Ślicznie - skomentował Christian. - W każdym razie ładniej niż Chipple. Omówmy może kwestię waszego wyjazdu. Jest stosunkowo wcześnie i przestało padać. Myślę, że uda się wyprawić was w drogę w ciągu najbliższych kilku godzin.

- Bogu niech będą dzięki - powiedziała z westchnieniem ulgi Annelise, zignorowawszy nagłe ukłucie żalu. Tłumaczyła sobie, że to tylko niechęć do kolejnej męczącej podróży. Tak naprawdę cieszyła się, że więcej nie zobaczy Montcalma.

- Niemniej - ciągnął gospodarz - pojawił się pewien kłopot.

- Czy zanim to przedyskutujemy, nie moglibyśmy się najpierw ubrać? - zapytał nieśmiało William.

- Nie! - zawołała rozeźlona Annelise. - Trzeba było zawczasu pomyśleć o konsekwencjach. Oszczędź mi tych urażonych spojrzeń, moja panno. Powinnaś się wstydzić!

- Nie mam czego się wstydzić! - wrzasnęła Hetty. - Rozumiałaby to pani, gdyby nie była nieczułą starą panną!

Annelise zdążyła już przywyknąć do tego mało pochlebnego epitetu, żałowała tylko, że tym razem

usłyszał go również Christian, który, co gorsza, sprawiał wrażenie ubawionego.

- Miarkuj się, Hetty - rzekł z przyganą - Co prawda, oparłem się pokusie, aby przełożyć cię przez kolano i sprać ci tyłek, ale mogę zmienić zdanie.

- Nie waży Się pan podnieść na nią ręki! : - wybuchnął William, gotów zerwać się na równe nogi, jak go Pan Bóg stworzył. Na szczęście w porę się zmytygował.

- Opanuj się, młokosie. Nie kuś losu, bo złoję ci skórę i nie licz na to, że panna Kempton weźmie cię w obronę.

- Jeśli komuś należałoby tu złoić skórę, to tylko panu, panie Montcalm - skwitowała chłodno Annelise. - Jest pan nikczemnikiem. Człowiekiem pozbawionym honoru i elementarnych zasad.

- W rzeczy samej - odparł, posławszy jej uwodzicielski uśmiech, który zawsze burzył jej spokój i pozbawiał ją zdolności jasnego myślenia. - Zaiste wielka to szkoda, że nie znałem pani wcześniej. Gdyby stanęła pani na mojej drodze w dzieciństwie, kto wie, być może dzięki pani moralom wyszedłbym na ludzi. Obawiam się, że teraz jest już dla mnie za późno.

- Nie okazuje pan skruchy ani nawet nie żałuje swych występków.

- Owszem, żałuję i to bardzo. Nie pojmuję, jak mogłem choćby przez chwilę pomyśleć, że będę w stanie znosić do śmierci nieustanne trajkotanie Hetty. Ani jej śliczna buzia, ani okazały posąg nie są warte życia w mękach. Opanuj się, Williamie.

Nie próbuj wyskoczyć z łóżka, aby rzucić mi się do gardła. Nie chcesz chyba zawstydzić panny Kempton i stracić w jej oczach jeszcze więcej niż do tej pory? Pomyśl lepiej o tym, jak

wywieźć stąd narzeczoną, nim rozpęta się kolejna burza. W czasie ulewy drogi bywają nieprzejezdne, a jak sądzę, raczej nie macie ochoty utknąć tu na dobre?

- Naturalnie, że nie! - odparła za Willa Annelise. - Wyjedziemy, jak tylko powóz będzie gotowy do drogi.

- W tym cały kłopot. Pojazd, który wynajęliście, ma uszkodzoną oś i oberwane koło. Nie wiadomo, czy w ogóle da się je naprawić, a jeśli nawet, zajęłoby to kilka tygodni. Nie jestem przygotowany na to, aby tak długo podejmować gości.

- Cóż, poszukamy innego pojazdu.

- W Hydesfield to niemożliwe.

- W takim razie będziemy zmuszeni skorzystać z pańskiego powozu - panna Kempton nie dawała za wygraną. - Jestem przekonana, że zamierzał pan to zaproponować, prawda, panie Montcalm? W końcu znaleźliśmy się tu wszyscy za pańską sprawą.

- Nie inaczej - zgodził się bez mrugnięcia okiem - ale to wciąż nie rozwiązuje problemu.

- Jakiego znowu problemu?

- Powóz nie jest mój. Wynająłem go, podobnie jak wy. Za odpowiednią opłatą woźnica z pewnością zgodzi się z wami pojechać, sęk w tym, że może zabrać tylko dwie osoby. Więcej zwyczajnie nie pomieści.

Annelise poczuła nagłe mrowienie na karku, ale postanowiła nie popadać w panikę.

- Will mógłby usiąść na koźle - spróbowała niepewnie.

- Niestety, nie ma miejsca - wyjaśnił uprzejmie Christian.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak wyekspediować Williama konno. Nie będzie to dla niego wygodna podróż, ale to konieczność.

- W związku z moim podupadłym budżetem dysponuję tylko dwoma wierzchowcami - poinformował spokojnie Montcalm. - Jeden niedawno okulał, a drugi to klacz za mała, aby ponieść pana Dickinsona. Mogłaby jej ewentualnie dosiąść panna Kempton.

Cóż za kompromitacja, pomyślała ze zgrozą Annelise, za moment się rozplacę, a jeśli nie, to spoliczkuję tego zdrajcę. Nie zdołałabym wsiąść na konia nawet po to, aby przed nim uciec, a on, szelma, doskonale o tym wie. Oby szczęśliwie!

- Nie rozumiem, o co tyle zachodu - odezwała się piskliwie Hetty. - Will i ja wyruszamy sami, a gdy dotrzemy na plebanię, przyślemy powóz z powrotem. Panna Kempton dołączy do nas później. Nic się nie stanie, jeśli zostanie tu kilka dni.

- Jest niezamężna... - zaczął William.

- Też mi coś. Przecież każdy wie, że to stara panna. Skoro Christian potrafił oprzeć się mnie, Annelise tym bardziej będzie z nim bezpieczna.

Panna Kempton zastanawiała się, jak położyć kres tej żalostnej rozmowie. Montcalm tymczasem przysłuchiwał się wszystkiemu z niemalym rozbawieniem.

- Naturalnie, że będzie bezpieczna - odparł nietaktownie Dickinson. - Z pewnością nie należy do kobiet, na których widok mężczyzna łatwo uległby pokusie. Pozostaje wszakże kwestia jej reputacji.

- Gdyby była młodą panną na wydaniu, jej reputacja już teraz byłaby zrujnowana. W końcu spędziła z tobą całą noc w powozie. Na szczęście ludzie nie widzą niczego niestosownego w tym, że stateczna i dobrze wychowana kobieta w zaawansowanym wieku przebywa w towarzystwie mężczyzny. Gdyby przyzwoitki potrzebowały własnych przyzwoitek, zabrakłoby starych panien, które mogłyby pełnić tę funkcję.

- Dalibóg, uroczo to ujęłaś, Hetty - skomentował z uśmiechem Christian.

W tym momencie cierpliwość panny Kempton się wyczerpała.

- Na litość boską, nie róbcie ze mnie zgrzybiałej staruszki! - wykrzyknęła zirytowana. - Nie skończyłam jeszcze trzydziestu lat. Z pewnością tu nie zostanę. Nie ma mowy.

- Ależ, droga Annelise - przekonywała Hetty - nikomu nawet nie przejdzie przez myśl, że interesuje się panią ktoś taki jak Christian. Słynie z tego, że jest miłośnikiem piękna. Pani reputacja nie ucierpi ani na jotę. Ja to co innego. Muszę jak najszybciej stąd wyjechać i znaleźć się pod opieką szanowanych ludzi. Przecież nie ma pani własnego domu i ciągle gości pani u innych. To nie



potrwa długo, gdy dotrzemy do pani siostry, natychmiast po panią pošlemy.

- Nie chcę o tym słyszeć!

- Nie ma pani wyboru, panno Kempton - wtrącił znużonym tonem Montcalm. - Chodzi o zaledwie kilka dni. Daję pani uroczyste słowo honoru, że nie uczynię niczego, co mogłoby zaszkodzić pani nieposzlakowanej opinii.

- Już zrobił pan wiele, aby jej zaszkodzić - odrzekła, choć wiedziała, że jest na straconej pozycji.

- Hetty ma rację - dodał usłuznie William. - Nikt nie pošądzi takiego bawidamka jak Montcalm o to, że nastaje na pani cnotę.

Christian sprawiał wrażenie znudzonego.

- Zdecydujcie sami - rzekł, podchodząc do drzwi. - W każdym razie zapewniam, że panna Kempton nie ma powodów do obaw. Nic jej z mojej strony nie grozi. Pozwólcie, że was opuszczę, mam sporo pracy. Jak widzicie, to miejsce jest haniebnie zaniedbane, dlatego chciałbym tu co nieco naprawić, zanim wrócę do Londynu. Rozmawiałem już z woźnicą, powóz będzie czekał za godzinę, pani Brown<sup>^</sup>przygotuje wam jedzenie na drogę. Dajcie mi tylko znać, czy ktoś zostaje na kolacji.

- Jeśli zostanę, zjem w swoim pokoju - oznajmiła Annelise, nim zdążyła ugryźć się w język. Nie powinna dopuszczać do siebie myśli, że spędzi kolejny dzień w domu tego bezecnika. A może nie ma o co kruszyć kopii? Wygląda na to, że Christian istotnie przestał zwracać na nią uwagę. Odkąd pojawiła się w Wynche End, zajmowało go wyłącznie jedno: jak najszybciej pozbyć się Hetty.

Smoczyca zeszła na dalszy plan. Najwyraźniej flirtował z nią wcześniej tylko po to, aby odwrócić jej uwagę od podopiecznej. Uznał, że jednak nie chce panny Chipple za żonę, więc jej towarzysza również przestała się liczyć. Kiedy Henrietta i William dowodzili, że jest stara i odpychająca, nawet nie próbował zaprzeczać. Nie wstawił się za nią. Od początku zwyczajnie się nią bawił i w końcu zabawa mu zbrzydła. Powinna odczuwać ulgę, ale jej głupie serce przepęłniał smutek.

- Jak pani sobie życzy - odrzekł zdawkowo. - Gospodyni zadba o pani wygodę. To duży dom, a ja będę bardzo zajęty. Mam sporo do zrobienia. Pewnie w ogóle nie będziemy się widywać. Chętnie uraczyłaby go jakąś ciętą ripostą, lecz wszystko wskazywało na to, że mówił szczerze. Gdyby podała jego słowa w wątpliwość, wyszłaby na zadufaną histeryczkę z wybujałą wyobraźnią. Nie ma sensu dłużej się łudzić, Montcalm zupełnie o nią nie dba.

- Znakomicie - odezwała się z niemałym trudem. Obawiała się, że jeśli powie coś więcej, zaleje się łzami. - Z pewnością niepotrzebnie robię zamieszanie. Zostanę, dopóki nie znajdzie się dla mnie transport, choć wyznam - zwróciła się do Henrietty i Williama - że wolałabym, abyście podróżowali w eskorcie przyzwoitki.

- Dajmy pokój konwenansom - skwitował Christian. - Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Poproszę panią Browne, żeby przygotowała dla pani pokój. Byle znajdował się jak najdalej od pańskiego,

zamierzała zażądać, ale na szczęście wyszedł. Zabrzmiałoby to jak kompletny absurd, zwłaszcza że jednogłośnie ustalono, iż żaden szanujący się mężczyzna nie skusiłby się na jej wątpliwe wdzięki. Kiedy zwróciła się do dwójki winowajców, w jej oczach nie było ani śladu łez.

- Williamie, owiń się czymś, zbierz swoje rzeczy i wyjdź. Zaczekasz na Hetty na dole. Dopóki stąd nie wyjedzie, nadal jestem za nią odpowiedzialna i mam obowiązek ustalić z nią pewne sprawy.

Henrietta nie sprawiała wrażenia szczególnie uszczęśliwionej perspektywą kolejnego kazania, ale Will nie zamierzał zadzierać z panną Kempton. Okrył się narzutą i podniósłszy się z łóżka, zgarnął z krzesła ubranie.

- Za chwilę wrócę i... - zaczął, ale Annelise przerwała mu stanowczym tonem:

Dopilnujesz przygotowań do podróży, a dopóki się nie pobierzecie, możesz trzymać narzeczoną wyłącznie za rękę. Rozumiemy się?

- Tak, panno Kempton - wymamrotał jak skarcony uczeń.

- Idź już - odparła i obrzuciła surowym spojrzeniem samowolną podopieczną.

## **Rozdział osiemnasty**

Montcalm nie kłamał, kiedy mówił, że ma coś do zrobienia. Dopiero po powrocie do domu uzmysłowił sobie z niejakim zdumieniem, jak bardzo kocha to podupadające miejsce.

Przywiązanie do Wynche End było niezrozumiałe i ze wszech miar niedorzeczne. Być może zapałał doń taki wielkim sentymentem dlatego, że ów odziedziczony majątek był jedyną pamiątką po matce.

Dziadek zarzucał mu pogardliwie, że jest do niej zbyt podobny, ale Christian zawsze czerpał z tego pociechę. Kiedy patrzył na swoje odbicie, widział oczy, wysokie kości policzkowe i usta matki. Ludzie nieśluszenie posądzali go o próżność. Prawda była taka, że spoglądał często w lustro tylko po to, aby przypomnieć sobie swoją piękną ukochaną matkę.

Nie rozumiał, dlaczego ojciec wyjechał z Anglii, aby zamieszkać w ojczyźnie żony, lecz pojął to w jednej chwili, gdy poznał dziadka. Połączyło ich w zasadzie tylko jedno: zapiekła nienawiść do Francuzów i wszystkiego, co francuskie. Po stracie rodziny Montcalm zapragnął wymazać z pamięci wszystko, co dotyczyło znenawidzonego kraju, który pozbawił go najbliższych. Wicehrabia zaś bezwiednie mu w tym pomógł. Kazał spalić jego dawne stroje i zastąpić je typowo angielskimi fasonami. Ponadto pasem wybił mu z głowy obcy akcent. Jestem żaloszny, stwierdził z niesmakiem. Dlaczego znów rozmyślam o tych przykrych wydarzeniach? Czeka ją go przecież upojne chwile z panną Kempton. Musi tylko wyprawić w drogę młodych kochanków. Annelise z pewnością będzie się opierać, ale znał kobiety nie od dziś. Potrafił bezbłędnie odnaleźć ich słabe punkty i rysy na ich pancierzach. Naturalnie smoćczyca była zupełnie niepodobna do innych i właśnie to czyniło ją interesującą. Poza tym nie miała w sobie niczego zajmującego. Tak sobie przynajmniej wmawiał. Fascynowała go wyłącznie dlatego, że była niespotykane wysoką i hardą starą panną. Szkoda, że nie ma w pobliżu Crosby'ego. Mogliby pójść o zakład, że zaciągnie ją do łóżka jeszcze dziś wieczorem. Gdyby się przy tym uparł, bez wątpienia dopiąłby swego. Nie chciał jednak niczego przyspieszać. Łowy to bardzo przyjemna część całego rytuału. Zamierzał przyczaić się i zaatakować zwierzynę znenawidzoną, gdy poczuje się bezpieczna i najmniej będzie się tego spodziewała. Podniecała go sama myśl o tym, co zaplanował. Jak na prawie trzydziestolatkę Annelise wykazywała zdumiewającą niewinność. Kiedy udawał wobec niej obojętność, uwierzyła, zapewne z powodu swoich kompleksów i zbyt małej wiary w siebie. Nieszczęśliwa miłość dotykała wyłącznie sentymentalnych głupców, a jego

smoczyca była mądra i pragmatyczna. Nie zakocha się w nim i nie będzie wzdychać i rozpaczać po jego stracie jak pensjonarka. Dzięki niemu przeżyje coś niezwykłego. Da jej przyjemność, o jakiej nigdy jej się nie śniło, i nauczy ją wielu nowych rzeczy. Podejrzewał, że czcigodna panna Kempton będzie niezwykle pojętą uczennicą. Nie mógł się doczekać, kiedy **zaczną** kolejną lekcję.

Tymczasem postanowił przygotować starannie miejsce, w którym odbędą się „nauki”. Nie chciał, żeby była to ta sama sypialnia, w której straciła cnotę Hetty, ale możliwości było niewiele. Po namyśle postanowił umieścić swego wyjątkowego gościa w dawnym pokoju ciotecznej babki. Przemierzywszy długi korytarz, udał się do kuchni, żeby porozmawiać z Bessie. Dzwonki dla służby nie działały, poza tym Browne'owie byli przede wszystkim jego przyjaciółmi i wolał komunikować się z nimi osobiście. Oczywiście gospodyni znała go jak zły szeląg, a zatem istniało duże ryzyko, że przejrzy jego plany względem panny Kempton i nie omieszka wyrazić oburzenia.

Nie miał nic przeciwko temu. Wiedziała nie od dziś, że jest skończonym łotrem, a mimo to kocha-

ła go jak matka kocha wyrodnego syna i dbała o niego jak nikt inny na świecie. Rzecz jasna kazania i morały Annelise niezmiernie go bawiły. Gotów był pozwolić jej na wszystko. Będzie mogła wyzywać go od najgorszych, najlepiej wśród miłosnych uniesień.

Doszedł do wniosku, że powinien przestać nieustannie o niej myśleć, w przeciwnym razie niebawem nie będzie w stanie skupić się na niczym innym. Był rozochocony jak uczeń przed pierwszą randką. Odkrył ze zdumieniem, że po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiecha się do samego siebie.

Hetty zniosła strofowanie i morały opiekunki nadspodziewanie dobrze. Bez wątpienia wciąż była nieco oszołomiona wydarzeniami ubiegłej nocy. Wstyd się przyznać, lecz Annelise zwyczajnie jej zazdrościła. Naturalnie nie chodziło o Willa, lecz

o to, że jej podopieczna przeżyła coś, czego ona sama nigdy nie doświadczy. Nie trzeba dodawać, że panna Chipple była zachwycona i rozanielona.

Panna Kempton pomogła jej się umyć i ubrać, ignorując przy tym krwawą plamę na prześcieradle. Oddałyby wiele za miednicę z gorącą wodą. Jej ubranie było w opłakanym stanie. Cała lepiła się od zaschniętego brudu. Może potem, gdy młodzi wyjadą, pomyśli o własnej toalecie.

Kiedy zeszły na parter, po Montcalmie nie było nawet śladu. William wyglądał na wyczerpanego

i był bardzo zadowolony z siebie, zaś jego ukochana nieustannie ziewała. Na szczęście są zbyt

zmęczeni, by próbować grzeszyć po drodze, uznała Annelise. Christian nie przesadzał, twierdząc, że powóz pomieści tylko dwie osoby. Po zapakowaniu prowiantu i koców dwójka pasażerów ledwie zdołała się wcisnąć do ciasnego wnętrza. Annelise musiała więc przyjąć do wiadomości, że utknęła na jakiś czas w Wynche End. Co do obaw o własną cnotę, mogła jedynie snuć w tej kwestii pobożne życzenia.

- Na pewno nie ma pani nic przeciwko temu, że panią opuszczamy? - zapytał William, jak zwykle dżentelmen w każdym calu.

Henrietta nie wykazywała podobnych skrupułów. Niewdzięczna pannica umościła się wygodnie na siedzeniu, przysłuchując się obojętnie rozmowie.

- Skądże - wycedziła przez zaciśnięte zęby Annelise. - Nie jestem przecież młodą panną na wydaniu.

- W rzeczy samej - zgodził się nietaktownie Dickinson. - Nie ma powodu do obaw o pani reputację. Trudno sobie wyobrazić, aby Montcalm próbował czynić pani nieprzyzwoite awanse. To niedorzeczne.

- Istotnie, dość absurdalny pomysł - zgodziła się ponuro.

- Siostra z pewnością zapewni pani transport, jak tylko do niej dotrzemy. Nie radziłbym pani wracać do pana Chipple'a. To gwałtowny i nieobliczalny człowiek. Z radością przyjmiemy panią w Kent, kiedy zjedziemy do domu.

Hetty zrobiła tak niezadowoloną minę, że Annelise niemal się roześmiała.



- Dziękuję, Williamie, ale wrócę do Londynu i zatrzymam się u matki chrzestnej, lady Prentice. Przypuszczam, że nie będzie problemu z odzyskaniem moich rzeczy z domu pana Chipple'a.

- Nie byłabym tego taka pewna - wtrąciła Hetty. - Ojciec jest bardzo mściwy. Wszystkie najcenniejsze rzeczy zabrałam ze sobą.

- Nie miałaś wielkiego bagażu.

- Bizuteria nie zajmuje dużo miejsca. Jeśli pojawią się jakieś problemy, sprzedamy ją. To cenne klejnoty. Dostaniemy za nie sporą sumę.

- Nie ma mowy! - oburzył się Will. - Nie będziemy utrzymywać się z twoich pieniędzy.

- Owszem, zwłaszcza jeśli nie będzie innego wyjścia - odparła rezolutnie Hetty.

Woźnica smagnął konie batem i powóz odjechał, zanim zdążyli się należycie pożegnać. Annelise patrzyła za nimi, rozmyślając o podrobionych perłach, które miały zapewnić jej ratunek. Posmutniała i otarłszy z twarzy zaschnięte błoto, wróciła do domu. Powinna wyjść na drogę i spróbować odnaleźć zgubiony but, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Zostanie w Wynche End zaledwie kilka dni, a Christian dał wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie zabiegał o jej towarzystwo. Najwyraźniej przestała go bawić. Stała się dla niego ciężarem, więc będzie próbował jak najszybciej się od niej uwolnić.

W progu czekała na nią zatroskana służąca - tęgawa kobieta o miłej powierzchowności.

- Nazywam się Bessie Browne - przedstawiła się z ukłonem. Zważywszy na opłakany stan panny Kempton był to miły, lecz dość absurdalny gest. - Jestem gospodynią. Jeśli pani sobie życzy, zaprowadzę panią do jej sypialni.

- Tak, bardzo chętnie.
  - Pan Montcalm wyszedł. Trudno orzec, kiedy wróci, w każdym razie powiedział, że pewnie nieczęsto będzie się pani na niego natykać. - W głosie Bessie pobrzmiwało niejake powątpiewanie.
  - Ach, tak... - odparła Annelise. Próbowwała przekonać samą siebie, że poczuła ulgę, a nie rozczarowanie.
  - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - kontynuowała pani Browne- przyniosę pani posiłek do pokoju. Jadalnia jest odrobinę... Cóż, nie nadaje się do użytku... ale mogę poprosić męża, żeby spróbował naprawić dach...
  - Nie trzeba. Zjem u siebie. - Najlepiej natychmiast, dodała w myślach. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miała cokolwiek w ustach. Na szczęście gospodyni, zacna kobieta, zadbała o wszystko.
  - Pomyślałam, że jest pani głodna, i pozwoliłam sobie przygotować zimne przekąski. Powinny wystarczyć do kolacji. Gdyby potrzebowała pani czegoś jeszcze, proszę dać mi znać. Obawiam się, że będzie pani musiała mnie znaleźć, jako że nie działają dzwonki dla służby. Poza tym jest nas tylko troje, ja, mój mąż i stajenny Jeremy. Nie będzie pani miała wielkich wygód, ale postaram się, żeby niczego pani nie brakowało.
  - Jestem pewna, że będę zadowolona.
- Ku ogromnej radości Annelise, w pokoju czeka-

ła na nią balia wypełniona gorącą wodą. Miała ochotę uściskać zapobiegliwą Bessie.

- Domyślam się, że nie zabrała pani ze sobą żadnego odzienia na zmianę. Przejrzałam szafy i znalazłam kilka przydatnych rzeczy, które należały niegdyś do ciotecznej babki pana Christiana. Była dość wysoka, podobnie jak pani. Stroje są wprawdzie nieco staromodne, ale powinny pasować. .

- Pani Browne, jest pani nieoceniona. Pulchna twarz gospodyni rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

- To dla nas ogromna radość, że możemy panią gościć. Nieczęsto miewamy towarzystwo. -

Zawiesiła na moment głos. - Może pani być pewna, że żaden z domowników w niczym pani nie uchybi - dodała wymownie. - Będzie pani traktowana z najwyższym szacunkiem.

Jeśli ktoś w tym domu może zapanować nad niepoprawnym Christianem, to tylko niezawodna Bessie, pomyślała panna Kempton.

- Nie sądzę, bym miała powody się martwić - odparła ze spokojem.

- Oby - rzekła z powątpiewaniem służąca. - Kolację podaję zazwyczaj o ósmej. Zajrzę do pani wcześniej i zabiorę do prania ubłocone ubranie.

- Dziękuję, będę pani bardzo wdzięczna. Prawdę mówiąc, Annelise chętnie pozbyłaby się workowatej brązowej sukni na dobre, ale nie mogła przecież opuścić Wynche End w cudzej garderobie. Gdy za gospodynią zamknęły się drzwi, zrzuciła but i zabrała się do jedzenia. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo dokuczał jej głód. Pochłonęła wszystko łącznie z kieliszkiem słodkiego czerwonego wina, które, o dziwo, nie okazało się francuskie. Słyszała, że przodkowie Montcalma wywodzili się po części z Francji, sądziła więc, że w

dobrze trunków Christian skłania się ku tamtejszym produktom. Jako Angielka z krwi i kości, z zasady nie znosiła Francuzów, szczególnie mając w pamięci niedawną rewolucję. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że ich winnice wytwarzały przednie trunki. Zaraz po posiłku zdjęła zabrudzone ubranie, zaśmiecając przy tym wysłużony dywan. Nie chciała przysparzać pracy obciążonej licznymi obowiązkami pani Browne, ale nie miała czym zamieść drobin zaschniętego błota. Podeszła do balii z parującą kąpielą. W ostatniej chwili ściągnęła bieliznę i weszła do wody zupełnie naga. W bardziej zatłoczonych domach, w których nieustannie kręciły się pokojówki, zazwyczaj wołała kąpać się w koszuli. Tutaj nie musiała się obawiać, że ktoś ją podejrzy. Woda roztaczała orzeźwiającą różaną woń. Z lubością zamoczyła w niej głowę. Było jej tak błogo, że przez chwilę w ogóle nie miała ochoty wynurzać się na powierzchnię. Sięgnęła po mydło i wyszorowała się skrupulatnie od stóp do głów, spłukała mydliny, używając dzbanka. Kiedy wychodziła z balii, nadepnęła na okulary, które nieopatrznie zostawiła na podłodze. Poczowała ostre ukłucie bólu. Wykrzywiła twarz i z trudem utrzymując równowagę, owinęła się ręcznikiem. Z jej mokrych włosów spływały strugi

wody, a ze skaleczonej stopy sączyła się krew. Dobre samopoczucie Annelise ulotniło się momentalnie. Zajęła najbliższe krzesło i klnąc pod nosem, przycisnęła do rany drugi ręcznik.

- Diabli nadali! - wymamrotała podenerwowana. Co ona pocnie bez nieodłącznych okularów i z rozciętą nogą? Na szczęście rana okazała się płytka. Opatrzyła ją strzępem bawełny oddartym ze spodu koszuli. Uff, odetchnęła z ulgą. Jeden kryzys zażegnany. Pokuśtykała do łóżka, na którym leżało ubranie przygotowane przez Bessie. Bielizna była cudowna, wykonana z najdelikatniejszego jedwabiu i najlepszej koronki. Nigdy wcześniej takiej nie nosiła. Włożyła biały negliż i położyła się na pościeli. Wiedziała, że powinna spleść włosy w warkocz, w przeciwnym razie poskręcają się w niesforne loki. Nie miała czym ich rozczesać, lecz brakowało jej energii na to, aby wstać i udać się na poszukiwanie grzebienia lub szczotki. W końcu dała za wygraną. Uznała, że to bez znaczenia. Przecież nikt z wyjątkiem gospodyni nie będzie jej oglądał. Złożyła głowę na poduszce, spojrzała w górę i omal nie krzyknęła. Zdaje się, że nie tylko Josiah Chipple jest miłośnikiem mitologii, przemknęło jej przez myśl. Sufit zdobił uroczy fresk w stylu włoskich mistrzów. Malowidło przedstawiało scenę miłosną rozgrywającą się w czeluściach Hadesu pomiędzy porwaną do krainy umarłych Persefoną a Plutonom. Obydwa bóstwa wykazywały niepokojąco duże podobieństwo do Montcalma i Annelise. Bogini była znacznie smuklejsza i wyższa niż ideał kobiety obowiązujący obecnie w sztuce. Bohaterowie obrazu musieli być wzorowani na dawnych mieszkańcach tej komnaty, ciotecznej babce Christiana i jej mężu.

Nawet bez okularów widziała dokładnie każdy detal. Mogłaby poprosić o inny pokój, ale biorąc pod uwagę opłakaną kondycję Wynche End, przygotowanie kolejnego lokum zapewne okazałoby się niemożliwe. Była niemal pewna, że nie uda jej się zasnąć ze świadomością, że spogląda na nią z góry rozochocony bóg podziemi.

Naturalnie tak naprawdę Pluton nie spoglądał na nią, lecz na kobietę, którą trzymał w ramionach. Wpatrywał się w nią z niewysłowioną tęsknotą, mimo że była jego branką. Pragnął, aby Persefona oddała mu się dobrowolnie, jej uległość najwyraźniej była dla niego kwestią najwyższej wagi. Jeśli nie będzie mogła zasnąć, poproszę kogoś, by pomógł mi przeciągnąć łóżko w drugi koniec izby, postanowiła Annelise. Skoro potrafiła się oprzeć Montcalmowi z krwi i kości, tym bardziej nie pozwoli na to, żeby zakłócił jej spokój stuletni obraz.

## **Rozdział dziewiętnasty**

Obudziła się, gdy gospodyni przyniosła tacę z kolacją. Bessie była doprawdy cudowna. Zmieniła jej opatrunek na nodze i nakazała mężowi i Jeremy'emu uprzątnąć balię po kąpieli. Annelise poczuła się jak w domu, choć prawdę mówiąc, nigdy nie zaznała matczynej troski. Zadowolona i nakarmiona do syta, znów zapadła w błogi sen: Nie na długo. Ocknęła się w środku nocy, niedługo przed wybiciem trzeciej nad ranem. Usłyszała z oddali bicie zegara - przynajmniej jedna rzecz w tym domu działała jak należy. Przewracała się jakiś czas na pościeli, nachodziły ją dziwaczne i niedorzeczne myśli. Wyobrażenia podsuwała jej niestworzone obrazy: Hetty i Williama jako ofiar wypadku na drodze, Chipple'a jako bezwzględnego mordercę i Montcalma w roli wcielonego diabła. To wszystko przez ten przeklęty fresk, pomyślała zdesperowana.

O czwartej dała za wygraną. Zapaliła świecę i postanowiła poszukać czegoś do czytania. Na szczęście pamiętała drogę do biblioteki. Weźmie kilka książek i wróci do pokoju. Z takim zamiarem wyszła na korytarz. Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć, gdzie znajduje się sypialnia Christiana. Stopa prawie jej nie dokuczała, gdy szła, lekko utykając, po dębowej podłodze. Poruszała się powoli z obawy, żeby nie wpaść na jakiś sprzęt. Kiedy dotarła na miejsce, w kominku nadal tlił się ogień. Podeszła do półek z książkami i uniosła świecę, by odczytać tytuły.

- Powieści są po drugiej stronie - usłyszała znienacka znajomy głos.

Wystraszyła się i upuściła świecznik na podłogę. Pokój pogrążył się w ciemnościach. Annelise zamarła w oczekiwaniu na niespodziewany atak. Wydawało jej się, że Montcalm czai się za jej plecami i za moment rzuci się na nią niczym rozjuszona bestia. Naturalnie nie zrobił niczego podobnego. Wyłonił się z cienia i stanąwszy przed nią, zapalił knot od paleniska. Nawet na nią nie spojrział. Odwrócił się i zajął zapalaniem świec w kandelabrze. Po chwili całą bibliotekę zalało światło. Widziała Montcalma aż za nadto wyraźnie. Miał na sobie tylko bryczesy i do połowy rozpiętą koszulę. Włosy wydawały się znacznie dłuższe niż zwykle. Sprawiał wrażenie wymiętego i z lekka poirytowanego, jakby coś wyrwało go raptownie ze snu.

- Czemu zawdzięczam tę nocną wizytę? - zapytał uprzejmie.



- To chyba oczywiste - odparła podenerwowana. - Szukam czegoś do czytania.
- W takim razie dobrze trafiłaś, smoczyco. Niestety, przy okazji mnie pani obudziła i teraz będę miał kłopoty z zaśnięciem. Nie ma innej rady, będzie musiała pani zapewnić mi jakąś rozrywkę. - Z wdziękiem usiadł w fotelu i posłał jej powłóczyście spojrzenie.
- Podskoczyła, nie posiadając się z oburzenia.
- Niedoczekanie!
- Ależ, droga panno Kempton, niepotrzebnie jest pani taka podejrzliwa. Miałem na myśli rozmowę. Zdaje się, że pani również nie może zasnąć. Proszę zatem usiąść i powiedzieć, co pani sądzi o mojej chylącej się ku upadkowi gotyckiej posiadłości.
- Miała ochotę wziąć nogi za pas i uciekać gdzie pieprz rośnie. Z drugiej strony, była niemal pewna, że nie próbowałby jej zatrzymać. Przecież nie jest nią już zainteresowany. Zawahała się. Westchnął, jakby uważał jej zachowanie za wyjątkowo dokuczliwe.
- Panno Kempton, kląłem się na własny honor, że będę postępował bez zarzutu. Nie wykorzystalbym przecież bezbronnej młodej panny pod własnym dachem.
- Owszem, to do pana bardzo podobne, panie Montcalm - odparła, podchodząc do krzesła. - Ponieważ nie jestem bezbronną młodą panną, nie wątpię, że mnie pan oszczędzi.
- Uśmiechnął się. Najwyraźniej uznał, że jest wyjątkowo zabawna. Nawet nie próbował zaprzeczyć. Nieczułe bydlę.
- Może pani być spokojna. Nic pani z mojej strony nie grozi. Skoro już to ustaliliśmy, możemy się odprężyć. Czemu pani utyka? - zainteresował się nagle.

- Skaleczyłam się. Zmarszczył brwi.
- Czyżby coś leżało na podłodze? Dziwne, to niepodobne do pani Browne.
- Nadepnęłam na okulary - wyjaśniła, siadając na krześle.
- Ach, tak... Właśnie się zastanawiałem, co się z nimi stało. - Powodowała nim czysta ciekawość. Nie zadał sobie nawet trudu, aby komplementować jej wygląd, choć wiedziała, że bez szkieł jej oczy prezentują się szczególnie korzystnie. - Jak to się dzieje, że nie wpada pani na sprzęty? Sądziłem, że słabo widzisz.
- Tylko z daleka - zełgała jak z nut.
- Łajdak z pewnością zastanawia się, czy obejrzała dokładnie fresk nad łóżkiem. Uda, że nie zwróciła nań najmniejszej uwagi. Nie da mu tej satysfakcji i nie przyzna, że malowidło zburzyło jej spokój. Zresztą, może odrobinę się przecenila. Może Montcalm nie przywiązuje wagi do tego, gdzie sypia jego gość.
- Szkoda - skwitował z powątpiewaniem. Jak się domyślił, że skłamała? - Może partyjkę pikiety?
- Nie ma mowy. Nie zamierzam grać z panem w karty. Nie powinien pan leżeć o tej porze w łóżku?
- I owszem, ale tak się składa, że moje łóżko jest zajęte. - Nie zważając na jej protesty, potaso-

wał talię. - A może położyłbym się obok pani? Raczej nie, mam rację? Tak myślałem.

- Śpię w pańskim łóżku?!

- Nie inaczej. - Uśmiechnął się szeroko. - Dokładnie tam, gdzie pani miejsce. Zanim odesłałem Hetty i jej lubego, mówiłem wam, że nie starczy łóżek dla wszystkich, nieprawdaż? Reszta posłań była stara i zmurszała, w najlepszym razie zjedzona przez myszy. Kazałem Harry'emu wynieść je na podwórze i spalić.

- Nie mogę spać w pańskim łóżku! To... to... nieprzyzwoite!

- Nonsens. Gdybym i ja tam spał, to co innego.

- A sypialnia, w której Hetty i William... yyy... to znaczy...

- Hetty i William co? Nie przejdzie to pani przez gardło? Co kobieta i mężczyzna mogą robić razem w pościeli, hę?

- Niech pan przestanie mnie dręczyć i tak nie zagram w karty.

- Zagra pani. Szantaż zawsze skutkuje. Siennik młodych kochanków poszedł do podpałki razem z innymi, skoro aż tak to panią interesuje. Śpi pani na najlepszym. Bessie naprawdę zrobiła, co mogła.

- Dobre i to. Ulżyło mi.

- Chce pani powiedzieć, że woli moje łóżko niż to, w którym spała Henrietta? Czuję się zaszczycony!

- Proszę rozdawać.

- Ostrzegam, że mam szczęście w kartach i z pewnością wygram.

- Nie dbam o to. Nie gramy przecież o pieniądze. Nie mam ani pensa.

- Prawda, ale nie ma sensu grać bez zakładu. To strata czasu. Możemy zagrać o coś innego. Proszę zaproponować o co.
- Nie wahała się ani sekundy.
- Jeśli wygram, pošle pan jednego ze swoich ludzi do miasta, aby sprowadził dla mnie powóz. Nawet jeśli będzie musiał przemierzyć w tym celu całe hrabstwo, do Bath i z powrotem.
- Zgoda, choć szkoda mi będzie nadwyręzać kulawego konia. Zastanówmy się, co ja dostanę w zamian za wygraną... - Zawiesił głos i obrzucił ją pożądliwym wzrokiem.
- Niech pan nawet o tym nie myśli.
- Jakże mógłbym nie myśleć? Nie mam na to wpływu. A skoro już o tym mowa, intryguje mnie pani strój. Jest zdumiewająco przezroczystry i bardzo mi się podoba.
- Kiedyś nosiła to pańska świętej pamięci cioteczna babka.
- Zupełnie mi to nie przeszkadza. Do twarzy pani w tym negliżu. Kiedy na panią patrzę, chodzą mi po głowie nieprzystojne myśli. - Rozdał karty z wprawą wytrawnego gracza. Koronkowe mankiety zasłaniały mu przy tym niemal całe palce. Łatwo mu będzie oszukiwać, doszła do wniosku Annelise.
- Proszę podwinąć rękawy - zażądała. - Wolałabym widzieć wyraźnie pańskie ręce. Wyciągnął ramiona przed siebie i pozwolił, aby dokładnie im się przyjrzała. Miał wypielęgnowane

dłonie dżentelmena, niehawykłe do ciężkiej pracy, stworzone do tego, aby dotykać kobiet.

- Całkiem zgrabne, prawda? - orzekł z dumą. - Ponoć dłonie i oczy to moje największe atuty.

Tak powiadają, ale zapewniam, że inne części anatomii również zasługują na uznanie.

- Niech pan daruje sobie przechwałki! Przyjmuje pan zakład czy nie?

- Naturalnie, że przyjmuję, mój aniele. Jeśli wygram, chcę całusa. Ni mniej, ni więcej.

- Nie.

- Ależ tak. Przyzna pani, że moje warunki są dość rozsądne. Mógłbym poprosić o znacznie więcej, a zadowolę się jednym buziakiem.

Stanowczo zbyt dobrze się bawił. Miała przemożną ochotę zetrzeć mu z twarzy odrobinę zadowolenia.

- Sądziłam, że nie interesują pana moje wdzięki. Jasno dał pan temu wyraz.

- Coś podobnego... Skąd ten nedorzeczny pomysł?

- Nedorzeczny? Przypominam, że uprowadził pan moją podopieczną.

- Dalibóg, cóż za prowincjonalne myślenie. Potrafię uwodzić dwie lub trzy kobiety naraz. To dla mnie błahostka.

- Zarzekał się pan, że mnie nie tknie.

- I nie tknę. Chyba że wygram partię. Wpatrywała się w niego w niemym osłupieniu.

Tłumaczyła sobie, że Christian zwyczajnie się z niej naigrywa. Nie może liczyć na inne rozrywki, więc postanowił zabawić się jej kosztem. Istniała szansa, że jednak to ona wyjdzie z tej rozgrywki zwycięsko, i dzięki temu szybciej wyrwie się z tego miejsca. Doszedłszy do

wniosku, że gra jest warta świeczki, postanowiła zaryzykować. I wcale nie chodziło o to, że chciała, aby znów ją pocałował.

- Niech będzie - powiedziała po chwili milczenia. - Proszę rozdać od nowa, ale tym razem podwinąć rękawy.

- Sądzi pani, że będę próbował oszukiwać?

- Nie sądzę, wiem to na pewno. Roześmiał się ubawiony.

- Ech, smoczyco, gdyby była pani mężczyzną, musiałbym panią zabić za takie słowa.

- Na szczęście nie jestem mężczyzną, ale i tak panu nie ufam.

- Słusznie.

Kiedy podwinął mankiety, uznała, że nie był to najlepszy pomysł. Rzadko widywała męskie ramiona powyżej nadgarstka, a jego były wyjątkowo atrakcyjne. Z trudem oderwała od nich wzrok. Pierwsze rozdanie wygrała w cuglach, w drugim poszło znacznie gorzej.

- Jeszcze jedna partia? - zasugerował. - Zwycięzca wygra dwa do jednego.

Czemu w ogóle na to przystała? Czyżby padło jej na rozum? Ojciec nauczył ją grać w karty równie biegle, jak przeklinać, ale zdecydowanie przeceniła swoje możliwości. Zapomniała, że ma do czynienia z mistrzem. Im szybciej się od niego uwolni, tym lepiej.

- Dobrze - zgodziła się, żeby mieć to wreszcie za sobą.

W desperacji przyszło jej do głowy, że mogłaby spróbować zagrać nieczysto. Zgroza. Zresztą i tak nie potrafiła oszukiwać, a nawet gdyby, Christian od razu by się zorientował. Nie spuszczał z niej oka. Obserwował każde jej posunięcie z praktyką wirtuoza. Urodzony szuler, pomyślała. Pragnie wygrać dla samej wygranej, nie zależy mu na tym, żeby ją pocałować. Wybrał taką stawkę wyłącznie po to, żeby wprowadzić ją w zakłopotanie. Nieraz była w życiu skonfundowana, przeżyła wtedy, przeżyje i teraz.

- Do trzech wygranych? - zaproponowała rozpaczliwie po kolejnym przegranym rozdaniu.

- Nie sądzę. Pora, bym odebrał nagrodę.

Nie zamierzała się wykręcać ani prosić, żeby jej darował. Miała swoją godność. Podniosła się i zrobiła krok w jego stronę. Czuła się jak francuska arystokratka, która idzie na ścieżce. Omal nie powiedziała tego na głos. Coś ją przed tym powstrzymało, zapewne instynkt albo dawno temu zasłyszana plotka.

Christian wstał z krzesła i zbliżył się do Annelise dwornymi zwinnymi krokami.

- Nie odgrywaj cierpiętnicy, smoczyco. Nie będzie bolało.

Położyła mu dłoń na karku i zamknąwszy oczy, nadstawiła policzek.

- Nic z tego, moja słodka. - Roześmiał się. - Tak łatwo się pani nie wywinie. - Z tymi słowami porwał ją w ramiona i przycisnął usta do jej warg.

Chwyliła go za ramiona, aby złapać równowagę i pozwoliła się całować, próbując pozostać niewzruszoną. Uniósł głowę i spojrzał na nią z góry. Cóż było robić, musiała zajrzeć w jego roześmiane oczy.

- Cóż to, smoczyco? Zaliczyłaś już przecież lekcję drugą. Mogłabyś spisać się lepiej. Tym razem rozchyliła wargi i pozwoliła, aby objął jej twarz dłońmi. Nie spieszył się. Przedłużał pieszczotę w nieskończoność, doprowadzając ją do kresu wytrzymałości. Przepęłniła ją nieznana tęsknota. Kiedy się od niej odsunął, na jego twarzy pojawił się pełen zadowolenia uśmiešek. Miała ochotę wymierzyć Montcalmowi policzek. Zamiast tego wyrwała mu się i odskoczyła na bezpieczną odległość.

- Umawialiśmy się na jeden pocałunek - rzekła z wyrzutem.

- Doprawdy? - odparł z miną niewiniątka. -W takim razie powinienem jeden zwrócić. Nim pojęła, co się święci, zamknął ją w ciasnym uścisku i znów pocałował. Kompletnie ją tym zaskoczył. Nie miała szansy się bronić. To już nie był niewinny flirt, lecz nieokiełznany poryw zmysłów. Chwilę później poczuła na piersi jego dłoń. Natychmiast stwardniały jej sutki, a ciałem wstrząsnęła fala gwałtownych doznań. Przeszył ją dreszcz, a potem zrobiło jej się bardzo gorąco i nie wiedzieć czemu zachciało jej się płakać. W końcu uzmysłowiła sobie ze zgrozą, że pragnie zerwać z siebie cienki negliż, aby Christian mógł swobodnie dotykać jej nagiej skóry. Gdy po jakimś czasie znów na nią spojrzał, nie mógł złapać tchu, a w jego pociemniałych oczach tliło się zakłopotanie.



- Hm... wypadło groźniej, niż sądziłem...

Nie rozplączę się przy nim, pomyślała zdesperowana. Nie dam mu tej satysfakcji. Zresztą o cóż tu ronić łzy? To tylko jeden pocałunek, a właściwie trzy pocałunki. Nic więcej. Odepchnęła go od siebie, dając wyraz niepohamowanej złości.

- Ty łajdaku bez serca! - wrzasnęła. - Obyś szczeł!

W miejsce zmieszania w jego źrenicach znów pojawiła się nieodłączna drwina.

- Cóż za niewybredne słownictwo, droga smoczyco - rzekł, potrząsając głową. - Nie ma sensu tak się pieklić - dodał lekceważąco. - To nic nie znaczy. To tylko kilka niewinnych pocałunków.

Czara goryczy się przelała. Annelise nie panowała już nad rozbuchanymi emocjami. Poczucie odtrącenia okazało się zbyt dojmujące. Gdyby miała na sobie buty, zapewne kopnęłaby Christiana. Ponieważ była boso, uderzyła go z całej siły w twarz. Tak mocno, że aż zabolą ją ręka. Od razu przestało mu być do śmiechu, lecz, niestety, jej nie przyniosło ulgi. Nie była z siebie dumna. Nie sądziła, że jest zdolna do tak gwałtownych czynów. Przez moment zastanawiała się, czy Montcalm spróbuje wziąć na niej odwet.

- Zdaje się, że sam sobie na to zasłużyłem - odezwał się po chwili milczenia. - Tak czy owak, lepiej, żeby nie weszło ci to w nawyk. Znam takich, którzy oddaliby z nawiązką.

Próbowała zdobyć się na jakąś kąśliwą uwagę - coś w stylu „taki dżentelmen jak ty nigdy nie

podniósłby rękę na kobietę" - ale głos uwiązał jej w gardle. Wiedziała, że jeśli zostanie choćby sekundę dłużej, zacznie szlochać jak rozhisteryzowana pensjonarka. Dopiero gdy dobiegła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi, uprzytomniła sobie, że nie zabrała książek. Jej wzrok powędrował bezwiednie ku łóżku. Jego łóżku. Zabrała poduszkę i owinąwszy się kołdrą, położyła się na podłodze przy kominku. Jak najdalej od irytującego malowidła. Wpatrywała się w ogień całą wieczność, zanim wreszcie udało jej się zasnąć.

Do diaska, pomyślał skonfundowany Montcalm, spoglądając za Annelise. Do stu tysięcy diabłów! Nie przypuszczał, że smoczyce płaczą. Dobrze, że wzięła nogi za pas, bo gdyby została, zapragnąłby ją pocieszyć i niechybnie by ją pocałował, a wtedy nie powstrzymałaby go żadna ziemską siłą. Miała na niego zadziwiająco przemożny wpływ. Sam jej widok niezwykle go pobudzał. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem zwykły pocałunek wzniecił w nim tak gwałtowną reakcję. Szkopuł w tym, że to wcale nie był ^  
zwyčajny pocałunek, a uczucia, które mu towarzyszyły, okazały się, jak na jego gust, nad wyraz skomplikowane. Z czcigodną panną Kempton nic nie jest proste. Usiłował ją zaskoczyć, a zyskał jedynie tyle, że zadziwił i wprowadził w zakłopotanie samego siebie. Powinien jak najprędzej ją odprawić. Jest nie-

bezpieczna, a niepotrzebnego ryzyka należy za wszelką cenę unikać. Chciał się rozerwać, ale po namyśle uznał, że sprawy zaszły zdecydowanie za daleko. Smoczyca nie miała pojęcia, jak uroczo wygląda w zwiewnym, koronkowym dezabilu. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jedwabny negliż tak niewiele zasłania. Zachwyciły go także jej lśniące, gęste włosy. To zbrodnia, że zazwyczaj nosi je związane w ciasny kok. Choć żywił pewien sentyment do jej szpetnych okularów, cieszył się, że nie zasłaniają już wielkich szarych oczu. Mógł bez przeszkód obserwować emocje, które się w nich malowały, mimo że tak skrzętnie próbowała je ukryć.

Tak, nie ulega wątpliwości, że jest o wiele niebezpieczniejsza, niż sądził. W ostatecznym rezultacie to ona wygrała. Rankiem pośle Jeremy'ego po powóz, który wywiezie ją z Wynche End. Kiedy się jej pozbędzie, będzie mógł skoncentrować wysiłki na odnawianiu podupadłej posiadłości. Nadal dysponował sporą częścią sumy, którą dostał od Chipple'a. Przy odrobinie wysiłku z pewnością zdoła przywrócić rezydencji dawną świetność. Kto wie, może nawet gospodarstwo zacznie przynosić niewielki dochód. Ziemia, choć od lat nieuprawiana, była bardzo żyzna, a stajnie i zagrody pozostawały w dobrym stanie jeszcze od czasów poprzednich właścicieli.

Nie obawiał się zemsty Chipple'a. Przypuszczał, że w najbliższym czasie stary będzie zbyt zajęty ściganiem córki i próbami wyrwania jej z ramion ukochanego. Zdecydował, że uwolni się od panny

Kempton. Nie pozwoli, by siała w jego duszy dalszy zamęt.

Pan Chipple był bardzo niezadowolony. Stracił cały załadunek. Kiedy na pokładzie podniósł się krwawy bunt, nie było sensu ratować czegokolwiek w imię przyszłych profitów. Zamiast tego postanowił zatopić resztę ładunku i pozbyć się kłopotu. Lepsze to niż użeranie się z bandą niekarnych niewolników. Zazwyczaj nie sprawiali najmniejszych kłopotów. Byli zbyt nieruchawi i wycieńczeni częstym biciem, lecz kiedy wreszcie wszczęli rewoltę, nikt nie-był w stanie ich powstrzymać.

Zginęła połowa załogi, łącznie z kapitanem, niezawodnym zwyrodnialcem i okrutnikiem, który służył mu wiernie od dwudziestu lat. Trudno go będzie zastąpić. Ze zrozumiałych względów pan Josiah wracał do domu w minorowym nastroju. Nawet nie przypuszczał, że czekają tam na niego o wiele gorsze nowiny.

Nazajutrz po powrocie był już gotowy do działania i żądny krwi. Zamierzał srodze ukarać wszystkich winnych, także Henriette, która sprzeniewierzyła się jego woli i zawiodła pokładane w niej nadzieje. Równie dobrze mogła przestać istnieć. Nie będzie z niej żadnego pożytku. Tak jak niegdyś z jej matki. Uczynił ją swoją żoną, zaoferował życie w dostatku, a ona nie potrafiła zapewnić mu więcej potomstwa. Ale nic to. Nie jest jeszcze za późno, aby spełniły się jego marzenia. Wciąż jest mężczyzną w sile wieku. Może się ponownie ożenić.

Naturalnie z jakąś wdową z tytułem, na tyle młodą, żeby mogła dać mu syna.  
Najpierw jednak dowie się, dokąd Montcalm zabrał Hetty, i gdzie się podziała ta  
pyszałkowata paskuda, panna Kempton. Dopuściła się wobec niego zdrady, a Josiah Chipple  
nie puszczał płazem niełojalności. Zemsta będzie słodka...

240

## Rozdział dwudziesty

Ponura aura idealnie pasowała do posępnego nastroju panny Kempton. Irytowało ją, że nadal nie może włożyć własnego ubrania. Wciąż była skazana na odzienie ciotecznej babki Montcalma. Miała do wyboru zielony strój do konnej jazdy i suknię z nieprzyzwoicie głębokim dekoltem. Rzecz jasna zdecydowała się na mniejsze zło.

Stopy, odziane jedynie w pończochy, ślizgały się na drewnianej podłodze. Na szczęście skaleczenie prawie się zagoiło i już jej nie dokuczało. Związawszy włosy w ciasny węzeł, usiadła przy kominku. Zamierzała tkwić w miejscu dopóty, dopóki nie będzie zmuszona się ruszyć. Obiecała sobie, że nie spojrzy w twarz Christianowi, o ile nie zajdzie ku temu absolutna konieczność.

Pani Browne ujrzała jej pochmurne oblicze i zostawiwszy tacę ze śniadaniem, natychmiast

wycofała się na korytarz. Annelise ledwie skubnęła jedzenie. Z pewnością istnieje jakiś sposób na to, aby się stąd wydostać, pomyślała niewesoło. I to jak najszybciej. Okazała się znacznie bardziej podatna na wdzięki Christiana, niżby sobie życzyła.

Usłyszała z oddali tętent kopyt i podeszła do okna. Dostrzegła Montcalma, znikającego na grzbiecie cudownie ozdrowiałego konia, który, jak widać, nie kulał. A więc to wszystko łągarstwo, haniebny podstęp. Mogła jechać z Williamem i Hetty. Tego było już za wiele. Przebrała się miarka. Ucieknie z tego przeklętego domu, choćby miała przemierzyć bez butów całe hrabstwo. Gotowa była zrobić wszystko, byle tylko nie oglądać więcej tego kłamliwego niegodziwca.

Bez trudu odnalazła kuchnię i wpadła do niej z impetem rozjuszonego byka. Harry siedział za stołem, popijając herbatę, a jego żona wyrabiała ciasto na chleb. Pan Browne w lot pojął, że jego obecność jest niepożądana, i niezwłocznie się oddalił.

- Pani mąż to bardzo mądry człowiek - stwierdziła Annelise, zajmując jego miejsce.

Bessie skwitowała jej słowa wybuchem serdecznego śmiechu.

- Pani spojrzenie wystraszyłoby na śmierć samego Belzebuba. Choć, jak sądzę, to nie mojego Harry'ego ma pani chętkę zamordować.

- Istotnie. Może mi pani zdradzić, dokąd pojechał pan Montcalm i skąd wziął konia?

- Powiedział pani, że nie ma koni? - zdumiała się gospodyni. - Cóż, nie powinno mnie to dziwić.

Zrobi wszystko, byle tylko dopiąć swego. Nie może pani pozwolić, żeby panią nękał.

- Och, nie mam takiego zamiaru. Potrzebna mi para butów. Odejdę stąd na piechotę i będę maszerować dopóty, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto zechce mi pomóc.

Służąca zerknęła na nią z urazą.

- Pomogę pani - odezwała się ostrożnie. - Sądziłam, że... to znaczy... pan Montcalm dał mi do zrozumienia, że przebywa pani w Wynche End z własnej woli.

- Pan Montcalm to bezwstydnny kłamca.

- W rzeczy samej - potwierdziła pocieszająco Bessie. - Przyda się ktoś, kto da mu porządną nauczkę.

- Za późno dla niego na nauki.

- W stajni została jeszcze jedna klacz. Harry może ją dla pani osiodłać...

- Nie jeżdżę konno. Spacer dobrze mi robi.

- Najbliższa wioska leży trzy mile stąd. Zbiera się na burzę, a drogi są rozmokłe.

Porozmawiam z panem Christianem. Dopilnuję, żeby zapewnił pani wygodny transport.

- Niech idzie do diabła!

- Istotnie, czasem sam wierzy, że piekło to dla niego jedyne miejsce. Biedak wiele w życiu przeszedł, to i nie dziwota, że jest, jaki jest. Choć to naturalnie żadne usprawiedliwienie jego haniebnych postępów.

O nie, pomyślała panna Kempton. Za nic w świecie nie zapytam o szczegóły. Nic mnie nie obchodzi jego ciężki los. Zaraz potem westchnęła i spytała:



- Spotkało go coś złego?
- Cała jego rodzina zginęła z ręki żądnych krwi Francuzów. Matka, ojciec, bracia i siostry. Zamordowano ich z zimną krwią, kiedy panicz Christian bawił w Anglii w odwiedzinach u dziadka. Potem obwinał się o to, że go z nimi nie było, choć gdyby został w domu, nie zdołałby im pomóc. Spłonąłby tak jak pozostali. Cóż, poczucie winy rządzi się własną logiką.
- Zabito ich w czasach rewolucji? Przecież Montcalm nie jest Francuzem.
- Owszem, w jego żyłach płynie francuska krew. Po matce. Naturalnie nigdy by się do tego nie przyznał. Wyrzekł się wszystkiego, co wiązało się z dawną ojczyzną, tamtejszego jedzenia, strojów, a nawet mowy. Przyczyniły się do tego częste ciągi od dziadka. Stary wicehrabia traktował osieroconego wnuka wyjątkowo podle. W końcu panicz zaczął udawać przed samym sobą nie tylko, że nie rozumie języka, lecz także, iż nie miał rodziny.
- Czy to jednak wystarczające wytłumaczenie dla jego kłamstw? Że wolno mu niecznie wykorzystywać innych do własnych celów?
- Oczywiście, że nie - odrzekła z powagą Bessie. - Chcę tylko powiedzieć, że w głębi duszy to zacny, lecz głęboko nieszczęśliwy człowiek. Gdyby taki nie był, ja i Harry już dawno zostawilibyśmy go samemu sobie. Oboje wierzymy, że jest wiele wart. Potrzebuje tylko kogoś, kto uratuje go przed nim samym.
- Cóż, z pewnością nie będę to ja - odparła gniewnie Annelise. - Zresztą wątpię, aby sobie tego życzył.
- Naturalnie, że nie - odrzekła odrobinę za szybko gospodyni. - Nawet nie przyszło mi to do głowy. Uznałam tylko, że nie powinna pani oceniać go zbyt surowo.

- Dobrze, nie będę go oceniać. Pragnę jedynie wyzwolić się od jego uciążliwego towarzystwa, ale aby wprowadzić ten plan w życie, będę potrzebowała swojego odzienia i jakichś butów.
- Postaram się zapewnić pani niezbędne rzeczy i porządny pojazd, ale proszę mi coś obiecać.
- Co takiego?
- Że zostanie pani do jutra. W komóдке jest para butów do jazdy, pewnie będą na panią za duże, ale lepszy rydz niż nic.

Panna Kempton przywołała na twarz szeroki uśmiech.

- Wspaniale.
- Zaczeka pani z wyjazdem do rana? - upewniła się pani Browne.
- Naturalnie - odpowiedziała bez mrugnięcia okiem Annelise. - Wyjdę tylko na mały spacer. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Bessie spojrzała na nią z powątpiewaniem i westchnęła. Cóż jeszcze mogła powiedzieć? Nie było sposobu na to, aby ją zatrzymać.

Pora spojrzeć prawdzie w oczy, doszła do wniosku Annelise. Jeśli nie chce zostać w Wynche End zdana na łaskę Montcalma i własnych romantycznych mrzonek, musi jak najszybciej opuścić to

miejsce. Nie szkodzi, że nie siedziała w siodle od pięciu lat. Była urodzoną amazonką, bez trudu przypomni sobie, w czym rzecz. Ze słów Bessie wynikało, że w stajni jest sprawna klacz. Wystarczy ją osiodłać, dosiąść i odjechać. Proste, a jednocześnie niebywale skomplikowane. W każdym razie ukrywanie się w pokoju nie rozwiąże jej problemów. Montcalm zapewne jeszcze nie wrócił, a nawet jeśli się na niego natknie, w pobliżu będą jacyś ludzie. Nie odważy się próbować swoich sztuczek przy świadkach. Pomaszerowała zdecydowanym krokiem ku wyjściu. Gdyby to był jej dom, pozbyłaby się wszystkich wystrzępionych zasłon, wytartych dywanów i zniszczonych mebli. Z pomocą służących wyszorowałaby okna i wyczyściła pokój po pokoju wraz z najciemniejszymi zakamarkami. Na koniec kazałaby wnieść do środka jak najwięcej kwiatów, których w ogrodzie rośnie w bród. Co jej się roi? Przecież nie ma z tym miejscem nic wspólnego. Kiedy podeszła do stajni, odnotowała z zadowoleniem, że budynek jest w zaskakująco dobrym stanie. Nie dostrzegła wybitych okien ani dziur w dachu. Jej ojciec także bardziej troszczył się o ulubione wierzchowce niż o siebie i bliskich. Nie miała mu tego za złe. Ludzie potrafią zadbać o swoje potrzeby, zwierzęta potrzebują należytej opieki. Boksy okazały się puste. Wciągnęła w nozdrza zapach, za którym tęskniła od tak dawna, zapach siana i koni. Ta woń przypominała jej szczęśliwe czasy dzieciństwa. Przez chwilę miała ochotę odwrócić się i uciec od bolesnych wspomnień. Tęskniła za ojcem, niedbałymi czułościami i niepoprawnym optymizmem w obliczu największych życiowych katastrof. Nigdy się nie dowiedziała, czy jego śmierć była przypadkowa. Wytrawny jeździec nie

popęłniłby tak prostego błędu. Poza tym, gdyby naprawdę chciał się zabić, nie narażałby na szwank konia. Użyłby pistoletu i zginął jak dżentelmen. Z drugiej strony, było coś, co mogło go przed tym powstrzymać. Nie chciałby, aby jego ciało znalazła ukochana córka. Ku Ogromnemu poirytowaniu pozostałych córek, Eugonii i Diany, baron zawsze darzył szczególnym uczuciem właśnie Annelise. Ona jedna go rozumiała i potrafiła kochać bezwarunkowo, na przekór rozlicznym wadom i słabostkom. Dla sióstr nieobliczalny rodzic stanowił jedynie źródło wiecznego utrapienia, w najlepszym razie zakłopotania. Czasem cieszyła się, że zginął w ten a nie inny sposób. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, była szalona jazda na ulubionym rumaku, Bartlebym. Kiedy go odnaleźli, miał na ustach uśmiech, a jego martwe oczy spoglądały w niebo. Nie pozwoliła zastrzelić Bartleby'ego. To nie wina konia, że właściciel spadł z niego podczas niebezpiecznego skoku. Niestety, ojciec nie zostawił jej ani pensa, a majątek przeszedł w ręce dalekiego kuzyna z Ameryki. Cały inwentarz trzeba było sprzedać, żeby spłacić długi zmarłego barona. Musiała się rozstać nawet z ukochaną klaczą. Pocięszała się

myślą, że Gertie trafiła w dobre ręce, do kogoś, kto będzie o nią dbał.

Wyprostowała ramiona, próbując odpędzić gorzkie myśli. Nie wolno jej się teraz roztkliwiać. Nie pozostaje jej nic innego, jak zdobyć się na odwagę i znów siąść w siodle. Nie ma innego sposobu, aby się stąd wydostać.

Raptem zza rogu wyłonił się Montcalm. Zdaje się, że wybrałam zły moment, pomyślała Annelise, lecz nie zamierzała przed nim uciekać. Nie sprawiał wrażenia szczególnie uszczęśliwionego jej widokiem. Tym lepiej, stwierdziła z satysfakcją.

- Co tu, do diaska, robisz? I cóż to za dziwaczny przydziewek?

- Dzień dobry. Mnie również miło pana widzieć, panie Montcalm - odparła zgryźliwie. - To strój do konnej jazdy, odrobinę staroświecki, ale wciąż zdatny do użytku. Po twojej ciotecznej babce, jak sądzę. A w stajni zazwyczaj ogląda się konie.

- Ponoć się ich boisz.

- Nie boję się.

- Zatem zwyczajnie ich nie lubisz?

- Przeciwnie, uwielbiam konie. - Postanowiła, że nie powie ani słowa więcej, niż będzie konieczne. To jedyna zemsta, na jaką było ją w tej chwili stać.

- Uwielbiasz konie, nie boisz się ich, ale nie umiesz jeździć?

- Umiem, nie jeżdżę z wyboru.

Spojrzał na nią w milczeniu. Miał rozwiane włosy i zarumienione policzki. Będzie kiedyś

wspaniałym mężem jakiejś bogatej dziedziczki, pomyślała ponuro. Jak mogło przyjść jej kiedykolwiek do głowy, że interesuje się kimś takim jak ona? Zdaje się, że i on uprzytomnił sobie, jakie to niedorzeczne.

- A teraz raptem zmieniłaś zdanie?

Chętnie zapytałaby go o to samo. Zdołała się jednak powstrzymać.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy znajdzie się dla mnie odpowiedni wierzchowiec. Im szybciej wyjadę z Wynche End, tym lepiej dla nas obojga.

- Nie zaprzeczę - odparł chłodno, a ona nie dała po sobie poznać, jak bardzo ją to zabolalo.

-Zamierzam zaprosić kilka osób - ciągnął Christian - a twoja obecność byłaby dość trudna do wytłumaczenia.

- W rzeczy samej.

Czyżby upatrzył już sobie kolejną spadkobierczynię fortuny? Powinna się była domyślić.

Kiedy w pobliżu nie było żadnej innej kobiety, zabawiał się jej kosztem dla czystej rozrywki.

Natomiast gdy znalazł się nowy obiekt, mało powabna, podstarzała panna Kempton natychmiast odeszła w zapomnienie. Montcalm bacznie jej się przyglądał, ale była pewna, że jej twarz nie zdradza żadnych emocji.

- Sąsiedzi mają dwie warte uwagi córki - poinformował uprzejmym tonem. - Obie są bardzo ładne, a ich rodzice skłaniają się ku temu, żeby przymknąć oko na moją mało chwalebna reputację. Nie spodobałoby im się, że mam na utrzymaniu kochankę.

- Kochankę?! Och, na litość boską, nie bądź śmieszny. Wystarczy, że na mnie spojrzą! Nikt w to nie uwierzy.

- Mylisz się. Ludzie lubują się w obmawianiu bliźnich i rozsiewaniu nieprzyzwoitych plotek. Poza tym zbyt nisko cenisz swoje... - Przerwał mu jakiś hałas. - Co, u licha? - zdziwił się, gdy za jego plecami rozległo się rżenie znarowionego konia.

- Coś się stało naszej kasztance - poinformował stajenny, który wypadł właśnie zza drzwi. - Nie mogę jej udobruchać.

- Niemożliwe, to najłagodniejsza klacz pod słońcem. Może zjadła coś, co jej zaszkodziło?

- Nie, jaśnie panie. Podniosła raban, kiedy usłyszała państwa głosy.

Panna Kempton poczuła na plecach ciarki. Nie dowierzała własnym uszom. To nieprawdopodobne, a jednak nie mogła się mylić. Rozpoznałaby ją wszędzie.

Niewiarygodnym zrządzeniem losu jej ukochana Gertie znalazła nowy dom w Wynche End.

- Wybacz, ale muszę się tym zająć - rzekł Montcalm.

Annelise przemknęła obok niego w głąb stajni. Jeremy na próżno próbował ją zatrzymać.

- Proszę tam nie wchodzić, panienko. To niebezpieczne.

Zignorowała go i wbiegła wprost do boksu. Nie pomyliła się. Kasztanka miała jasną plamkę między oczami i białe skarpety nad przednimi kopytami.

- Nie mogę w to uwierzyć... - szepnęła, zbliżając się do dawnej pupilki. - Moja kochana dziewczynka...

Nie zważała na głośne protesty stajennego i Christiana. Na jej widok klacz natychmiast się uspokoiła. Panna Kempton przytuliła policzek do łba zwierzęcia i rozplakała się ze wzruszenia. Nie zważała na to, że nie jest sama. Liczyło się tylko to, że odnalazła jedyną istotę na świecie, która darzyła ją szczerym uczuciem. Tkwiły tak przez jakiś czas, aż w końcu Gertie uniosła głowę i spojrzała na mężczyznę.

- Zupełnie nie poznaję naszej Gertrudy - odezwał się Jeremy. - Nie pojmuję, co w nią wstąpiło. Nie powinna pani była do niej wchodzić. Mogła zrobić pani krzywdę. Widać coś ją okropnie zdenerwowało.

- Pannie Kempton nic nie jest - uspokoił go Christian. - To twój koń, prawda? Annelise odsunęła się od klaczy i otarła ukradkiem łzy. Żałowała, że nie ma okularów.

- Owszem, kiedyś był mój - odparła. - Dawno temu. Po śmierci ojca musiałam sprzedać cały inwentarz.

- Zatem twój ojciec to lord McArthur.

- Zgadza się.

- Szalony McArthur... Hm... w niczym go nie przypominasz.

Annelise spojrzała ze złością na Montcalma.

- Mylisz się! Jestem do niego bardzo podobna! - zawołała rozgniewana. - Nie obchodzi mnie, co o nim ludzie mówili. Mój ojciec był zacnym człowiekiem.



- Zaczynam człowiekiem, który pił na umór i przepuszczał majątek w szulerniach - zakpił Christian. - Troskliwym ojcem, który zostawił córkę bez pieniędzy i dachu nad głową.

- Niech cię piekło pochłonie! - wykrzyknęła Annelise.

Rzuciła się na Montcalma z uniesionymi rękami. Nie zdążyła go uderzyć. Chwycił ją za nadgarstki i przygarnął do piersi, żeby mogła swobodnie się wypłakać. Z początku się broniła. Nie chciała od niego pociechy\* ale jego bliskość przyniosła ukojenie. Przestała się wyrywać i zatkała, wtulając twarz w jego koszulę. Christian gładził ją po włosach i szeptał słowa otuchy. Potem nagle pojawiła się pani Browne i wyrwała ją z jego objęć. Przez chwilę wydawało się, że Montcalm się opiera i nie chce puścić Annelise, lecz w końcu ustąpił i oddał ją w ręce gospodyni. Bessie otoczyła ramieniem Annelise i poprowadziła ją do kuchni, którą wypełniał krzepiący zapach wyjętych z pieca ciasteczek. Poczciwa gospodyni posadziła ją przy stole, napoiła gorącą herbatą i nakarmiła imbirowymi ciasteczkami.

Po pewnym czasie Annelise zdobyła się na łzawy uśmiech.

- Już lepiej, moja droga? - napytała troskliwie pani Browne.

- Zrobiłam z siebie pośmiewisko...

- Nonsens. Niepotrzebnie się pani tym gnębi. Czasem trzeba dać upust wezbranym emocjom. Nie sposób całe życie pozostać niewzruszonym. Bywają chwile, gdy pozostaje jedynie załamać ręce i zapłakać. Potem człowiek ociera łzy i dalej zмага się z przeciwnościami losu.

- Tak, ma pani słuszność. - Panna Kempton doszła już do siebie. Dość powiedzieć, że nabrała ochoty na dodatkową porcję ciasteczek.

- Proszę się nie troskać. Rozmówię się z panem Christianem. Ktoś musi przemówić mu wreszcie do rozumu. Niepodobna igrać w ten sposób z bliźnimi! Nie wiem, w czym pani uchybił, ale może pani być spokojna, zmyję mu głowę, że popamięta.

- Tym razem to nie on zawinił. To moja klacz Gertie.

- Klacz? Sądziłam, że nie jeździ pani konno?

Annelise nie kwapiła się do zwierzeń. Następnym razem ugryzie się w język, nim powie za dużo.

- Kiedyś jeździłam - wyjaśniła zwięźle. - Zanim zginął mój ojciec.

- Ach, tak, pojmuję - odrzekła z namysłem Bessie. - Myślę, że powinna pani wrócić do domu. Dobrze to pani zrobi.

- Bez wątpienia. Tyle że... ja już nie mam domu.

- Wszystko będzie dobrze. Zawsze jakoś się układa.

- Skoro pani tak twierdzi... - Annelise posłała gospodyni życzliwy uśmiech, choć nie podzielała jej optymizmu.

Annelise przyglądała się w zadumie spływającym po szybie strugom deszczu. Jak wszystko

w tym starym domu, okna wymagały gruntownej naprawy. Wiatr świstał ze wszystkich stron, niczym zbłąkany duch, który domaga się, aby wpuścić go do środka. Chętnie porozmawiałaby z duchami swojej przeszłości. Chciałaby jeszcze raz ujrzeć ojca, powiedzieć mu, że go kocha... Znow miała na sobie nieefektywną brązową suknię i praktyczną bawełnianą bieliznę. Został jej także jeden, za to wypolerowany na błysk but. Zupełnie jak w bajce o Kopciuszku, pomyślała smętnie. Z tą różnicą, że w moim przypadku nie będzie oświadczyn zakochanego królewiczka ani szczęśliwego zakończenia. Może to i lepiej, stwierdziła. Na szczęście płaczliwy nastrój sprzed kilku godzin pozostał jedynie odległym wspomnieniem. Była na tyle rozsądna, by nie marnować sił na pielęgnowanie wygórowanych ambicji. Nie ma sensu mierzyć zbyt wysoko. Szczególnie teraz, kiedy jej pozycja stała się dość niepewna. Ponieważ nie dysponowała najmniejszym nawet dochodem, nie mogła liczyć na to, że pochodzenie oraz tytuł przed nazwiskiem zapewnią jej dożywotnio wysoki status społeczny oraz określone przywileje. Pozostawała jej już tylko dobra reputacja, a i to ostatnio poważnie nadszarpnięta. Powinna była przewidzieć, że Montcalm doprowadzi ją do zguby. Dostrzegła niebezpieczeństwo w chwili, gdy jej wzrok po raz pierwszy spoczął na jego urodziwej twarzy. Wierząc naiwnie w potęgę własnego charakteru, postanowiła jednak zignorować zagrożenie. Najbardziej dręczyła ją świadomość, że tak naprawdę nie wyrządził jej żadnej krzywdy ani nawet nie przywiódł jej do grzechu. Zdołał jedynie zachwiać jej nieugiętą siłą woli. Do tej pory sądziła, że zna samą siebie, i wie, czego chce od życia. Wystarczyło, że poznała smak jego ust, i

wszystko się zmieniło. Zrozumiała, że niczego o sobie nie wie.

Podniosła się i sięgnęła do woreczka z podrobionymi perłami. Były równie nieprawdziwe jak nieprawdziwe okazało się jej przekonanie o własnej niezłomności. Włożywszy bezwartościowy naszyjnik, wróciła do okna i wyjrzała na pogrążone w ciemnościach podwórze. Musi jak najszybciej stąd wyjechać, obmyślić plan na przyszłość... Nie miała na to ani siły, ani ochoty. Serce ścisnęło jej się z żalu na myśl o kolejnym rozstaniu z Gertie.

Przecież dopiero co ją odnalazła. Świadomość, że już' nigdy nie zobaczy Montcalma, była jednak

o wiele boleśniesz. Tłumaczyła sobie, że to jedyne rozsądne rozwiązanie, że tak będzie dla niej lepiej, lecz na niewiele się to zdało.

Nie usłyszała, kiedy wszedł do pokoju. Zakradł się po cichu jak złodziej. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby zapukać. Po prostu nacisnął klamkę i wkroczył do środka jak do własnej sypialni. Cóż, istotnie był u siebie, ale to jeszcze nie znaczy, że mógł traktować ją jak swoją własność.

- Pani Browne twierdzi, że nie tknęłaś kolacji - oznajmił oschle.

W wątłym świetle świecy nie widziała dobrze jego twarzy. Tym lepiej.

- Nie byłam głodna - odparła obojętnie.

- Widzę, że znów włożyłaś ten paskudny habit.

Wyznam, że wolałem cię w dezabilu babki. Strój do konnej jazdy też był niczego sobie.

Puściła zaczepkę mimo uszu.

- Chcę jak najszybciej wyjechać - poinformowała stanowczo.

Nie zamknął za sobą drzwi zapewne po to, aby poczuła się bezpieczniej. Korytarz był dobrze oświetlony, dzięki temu kontur jego sylwetki rysował się dość wyraźnie. Krążył po pokoju, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca.

- Jeszcze nie odesłali po ciebie powozu - rzekł, przystanąwszy przy łóżku.

- Oboje wiemy, że gdybyś tylko chciał, znalazłbyś dla mnie środek transportu. Skłamałeś, prawda? Mogłam od razu wyjechać. W każdym razie nie było to niemożliwe.

- Wszystko jest możliwe, jeśli ma się dostatecznie dużo pieniędzy. Tak się składa, że ostatnio nie narzekam na brak gotówki. Nię przeczę, mogłem pozwolić ci wyjechać, ale zorganizowanie dodatkowego pojazdu nastręczyłoby trudności, poza tym musiałbym przez kolejny dzień znosić obecność rozpieszczonej smarkuli. Przyznaję, twoja reputacja okazała się mniej ważna niż mój spokój ducha. Cóż, zawsze dbałem wyłącznie o siebie.

W innych okolicznościach zapewne by zaoponowała. Znużenie i rezygnacja odebrały jej resztki energii.

- Chcę wyjechać - powtórzyła apatycznie. Montcalm zmarszczył brwi.

- Możesz wziąć Gertrudę i jechać do domu siostry w eskorcie Harry'ego. Jeśli chcesz, zatrzymaj ją na jakiś czas. Od kiedy cię zobaczyła, jest wyjątkowo ożywiona.

- Chyba nie mówisz poważnie? Gdzie miałabym ją trzymać? I jak zdołałabym ją wykarmić? Poza tym mówiłam już, że nie jeżdżę konno.

- Dawniej jeździłaś, prawda? Kiedy przestałaś? W dniu, w którym zabił się twój ojciec? Nie zdziwiło jej, że się domyślił. Jakżeby inaczej? W końcu to diabeł wcielony. Wie o niej wszystko, także i to, że mimo protestów nie potrafi mu się oprzeć, że czuje się przy nim zupełnie bezbronna. Niczego nie pragnęła tak'bardzo jak tego, aby znów wziął ją w ramiona, całował i dotykał jak nikt przedtem. Gotowa była zapłacić za to każdą cenę. Nie liczyła się jej zrujnowana reputacja. Nie dbała też o to, że zostanie sama, bez nadziei na jakąkolwiek przyszłość. I tak go pragnęła.

- Tak, w dniu, w którym zginął mój ojciec -powtórzyła jak echo.

Nadal był nieswój. Gdyby go nie znała, pomyślałaby, że jest podenerwowany, ale przecież Christian Montcalm nigdy nie ulegał emocjom, a już na pewno nie z jej powodu.

- Postanowiłem zdobyć się na wielkoduszność - oświadczył ni stąd, ni zowąd.

Tym razem jego słowa wyrwały ją z chwilowego otępienia. Jeżeli rzeczywiście zamierzał postąpić szlachetnie, miał wszelkie powody do zdenerwowania - byłoby to dla niego całkiem nowe, nieznane doświadczenie.

- Doprawdy?

Nie patrzył na nią. Wciąż przemierzał niespokojnie pokój.

- Tak, pozwolę ci odejść.

- A zamierzałeś zatrzymać mnie siłą?

- Skądże znowu, od początku miałaś wyjechać. Zmieniłem tylko zdanie co do tego, w jakim stanie opuścisz Wynche End. Uznałem, że będzie lepiej, jeśli pozostaniesz dziewicą. Kilka skradzionych pocałunków nic nie znaczy. Poza tym nikt nie będzie podejrzewał takiej groźnej i dumnej smo-czycy o rozpustne swawole.

- O rozpustne swawole? Och, z pewnością nie. Czegoś tu jednak nie pojmuję. Przecież przysięgałeś Willowi Dickinsonowi, że mnie nie tkniesz, prawda? Mnie zresztą obiecywałeś to samo.

- Kłamałem - wyznał bez żenady. - Często łżę, kiedy tak mi wygodniej. Sądziłem, że znasz mnie już na tyle, żeby zwietrzyć podstęp.

Annelise w jednej chwili się ożywiła. Podniosła się z krzesła i postawiła bosc stopy na podłodze.

- Cóż to znowu za brednie? Nic nie rozumiem.

Spostrzegła poniewczasie, że podczas tego niezgrabnego wstępu Christian zbliżył się do niej niepostrzeżenie jak drapieżnik, który zakrada się, aby upolować bezbronną zwierzynę;

- Miałem szczerzy zamiar zniszczyć doszczętnie twoją reputację, droga smoczyco - zaczął aksamitnym szeptem. - Tak, pragnąłem cię skompromitować. Rozkosznie i do cna. Nie

skończyłoby się na lekcji trzeciej. Uczyłbym cię wszystkiego, co sam umiem, dopóki nie stałaś się prawdziwą znawczynią sztuki miłosnej. Nie pozostałoby w tobie ani odrobiny roztropności i nieznośnej rezerwy. - W jego zniewalającym głosie słychać było wyraźną nutkę żalu.

- Czemu chciałeś mi to zrobić? - zapytała wzburzona. - Dla zabawy? A może z powodu zakładu albo z czystej podłości? Dlaczego umyśliłeś sobie złamać mi życie? Co ja ci takiego uczyniłam? Nie wierzę, że jesteś aż tak okrutny.

Uśmiechnął się melancholijnie.

- Ależ z ciebie niemądra smoczyca... Podłość czy okrucieństwo nie mają z tym nic wspólnego. Pragnąłem cię, a kiedy czegoś pragnę, zawsze po to sięgam i nie zważam na konsekwencje. Taki już jestem. - Zabrzmiało to, jakby nie mówił o sobie, lecz o kimś zupełnie innym. W rzeczy samej wydawało się, że stoi przed nią inny mężczyzna. To już nie był ten sam Christian Montcalm, który perfidnie planował ją uwieść.

- Ciesz się, że pojąłeś swój błąd - skwitowała oziębło. Z rozmysłem broniła się rezerwą, za którą tak uporczywie ją ganił. - Kiedy będę mogła wyjechać?

- Harry sprowadzi rano powóz, a Bessie obiecała znaleźć we wsi jakąś dziewczynę, która dotrzyma ci w drodze towarzystwa. Wyrwiesz się wreszcie z moich występnych szponów. To przecież najważniejsze, czyż nie?

- Tak, nie ujęłabym tego lepiej.

Nie ruszył się, choć rozmowa dobiegła końca. Tkwił w miejscu, jakby nie wiedział, co począć.

- Powinnaś coś zjeść. Poproszę panią Browne, żeby przyniosła kolejną tacę.



- Nie trzeba. Nie mam apetytu.
- Mam to gdzieś, do pioruna! - zirytował się. -Nie możesz się głodzić!
- Mogę robić, co mi się żywnie podoba! Zabierz swoją przeklętą kolację do diabła! Nikt nie będzie mnie do niczego zmuszał, a zwłaszcza ty!

O dziwo, udało jej się go zaskoczyć. W kącikach jego ust pojawił się nieznaczny uśmiech.

- Dalibóg, smoczyco, jestem zgorszony. Kto to słyszał, żeby dama wyrażała się w tak nieprzystojny sposób? Gdzie się tego nauczyłaś? w\* stajni?

- Owszem.

- Zawsze zachwycały mnie nieprzystępne dziewice z niewyparzonym językiem. Trudno się takim oprzeć.

- Ale mnie się oparłeś. Widać moje wdzięki nie zdołały cię omamić.

Annelise pojęła swój błąd ponieważ, gdy uzmysłowiła sobie, że z jej słów przebija gorycz. Na próżno łudziła się, że Christian tego nie zauważył. Wpatrywał się w nią przez chwilę z głową przechyloną na bok, a potem się uśmiechnął, tym razem nie tylko ustami, lecz także swoimi pięknymi nieprzeniknionymi oczami.

- Może jednak zdołały - powiedział, wyciągając ku niej rękę.

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

Wzdrygnęła się odruchowo, jakby posądzała go o złe zamiary. Niepotrzebnie się obawiała. Christian sięgnął tylko do naszyjnika. Wydawało mu się, że zna kobiety. Spędzał z nimi mnóstwo czasu, wiedział, jak dawać przyjemność nawet tym, które nie były świadome swoich pragnień. Czcigodna panna Kempton wciąż pozostawała dla niego zagadką; rozkoszną, nieprzystępną i tajemniczą niewiadomą. Była jak niecierpliwie wyczekiwany prezent, który wystarczy rozpakować, warstwa po warstwie, aby odkryć jego upragnioną, cudowną zawartość. Cóż z tego, skoro nakazał sobie trzymać się od niej z daleka. W gruncie rzeczy jest tylko jedną z wielu kobiet. W dodatku nie najpiękniejszą, nie najbogatszą i nie najbardziej doświadczoną. Nie żywił wątpliwości, że w ten czy inny sposób namówiłby ją w końcu do grzechu.

W takim razie dlaczego nie potrafił sobie wytłu-

maczyć, czemu jest w niej taki zadurzony, rzekłby nawet rozkochany? Nie, to nie najtrafniejsze słowo. Rozkochany sugeruje miłość, a przecież jego uczucia dla Annelise nie mają nic wspólnego z miłością. Idzie wyłącznie o zwykłą żądzę. Tak mu się przynajmniej zdawało. Z drugiej strony, gdyby w grę nie wchodziły bardziej skomplikowane emocje, zapewne nie pozwoliłby jej odejść, zanim nie zaciągnąłby jej do łóżka. To nie leżało w jego naturze.

A zatem dlaczego postanowił zostawić ją w spokoju? Czemu obudziły się w nim raptem szlachetne instynkty? Czy dlatego, że płakała w jego ramionach? Że opuścili ją najbliżsi i została na świecie zupełnie sama? A może to z powodu jej ojca? Przeklętego pijaka i utracjusza, który ograbił ją z pereł, dachu nad głową, a nawet z ukochanego konia? Przez tego bezdusznego opoja odmawiała sobie konnej jazdy, choć niegdyś sprawiała jej ogromną przyjemność. Nie miała braci, więc ów nikczemnik był prawdopodobnie jedynym mężczyzną, którego w życiu kochała. W zamian dostała jedynie nieczułość i zdradę. Nic dziwnego, że zionie ogniem i próbuje wszystkich od siebie odepchnąć.

On zaznał bezgranicznej miłości, miał pogodne i beztroskie dzieciństwo. Dorastał w sielankowej atmosferze i poczuciu bezpieczeństwa. Rodzice kochali nie tylko jego i rodzeństwo, lecz także siebie nawzajem. Potem jego bliscy odeszli i zastąpił ich okrutny dziadek, jednak Christian do tej pory pokrzepiał się wspomnieniem dawnych szczęśliwych czasów.

- Po co je nosisz? - zapytał, spoglądając na fałszywe perły, które obracał w palcach.
- Żeby nie zapomnieć.
- Nie zapomnieć? O czym?
- O ojcu - odpowiedziała Annelise.

Christian zauważył, że zadrżały jej przy tym wargi. Były zachwycające. Miał ochotę je pocałować, aby powstrzymać owo drżenie, ale tego nie zrobił.

- Przecież nie są prawdziwe.
- Kochałam go ponad życie, a on odebrał mi wszystko, także prawdziwy naszyjnik, jedyną cenną pamiątkę po matce. Zabił się po pijanemu, nie bacząc na to, co się stanie ani z tego córką, ani z koniem, z którego spadł na własne życzenie. Nie dbał o nic i o nikogo. Liczyły się dla niego tylko osobiste zachcianki. Ta marna imitacja pereł ma mi przypominać o tym, że mężczyźni to złodzieje i wiarołomcy, którzy prędzej czy później dopuszczają się zdrady nawet wobec tych, którzy nie widzą poza nimi świata.

Christian bez namysłu rozerwał naszyjnik i przyciągnął do siebie Annelise. Mógłby pocałować ją w czoło, pocieszyć i wyjść. Mógłby, rzecz w tym, że wcale nie chciał odejść.

Oboje powiedli wzrokiem po rozsypanych na podłodze sztucznych perłach.

- Nawet nie były dobrze podrobione - zauważyła bezbarwnym tonem. - Gdybym przyjrzała im się lepiej, zauważyłabym, że są źle nanizane. Cóż, nie miałam powodu posądzać ojca o kradzież. Sądziłam, że mnie kocha.
- Nie wyobrażam sobie, aby mógł cię nie

kochać. - Odsuń się, podpowiadał mu instykt. Uciekaj od niej jak najdalej. Przywiedzie cię do zguby, jeśli natychmiast nie umkniesz. - Po prostu nie potrafił oprzeć się pokusie, ale nie wszyscy mężczyźni to opilecy i utrapieńcy.

- Nie dbam o to.

Dotknął czerwonego otarcia na szyi Annelise po rozerwanym naszyjniku. Poczuł, jak przeszywa ją dreszcz, i pomyślał, że to początek jego zguby. Zapraagnął zedrzeć z niej tę paskudną, bezkształtną sukienkę. Jest rycerzem, co prawda nieco podupałym, który przybył uwolnić królową. Przeczuwał bowiem, że jego smoczyca w rzeczywistości jest zaklętą królową, że wystarczy jej dotknąć, aby uwolnić z zaklęcia.

Odkąd pojawiła się w Wynche End, nie zdołała utrzymać w ryzach gęstych włosów.

Próbowała wiązać je w kok, ale niesforne pasma wciąż wymykały się z upięcia i układały w loki wokół twarzy. Odkrył z niejakim zdumieniem, że jej szpetny habit ma z tyłu mnóstwo maleńkich guziczków. Jak sobie z nimi radzi bez pokojówki?

Pbstanowił o to zapytać.

- Czasem korzystam z pomocy służącej, ale zwykle ubieram się sama - wyjaśniła rzeczowo. Rozpiął niepostrzeżenie górny guzik.

- Ale to przecież niemożliwe. Nie da się sięgnąć do pleców.

- Sam mówiłeś, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wystarczy mieć odpowiednio dużo pieniędzy. Ja uważam, że wszystko jest możliwe, jeśli się czegoś twardo chce.

- A ty zawsze wiesz, czego chcesz - odparł, uwalniając kolejne guziki.

Annelise nie dała po sobie poznać, że zorientowała się, co się święci.

- Moje ubrania są odrobinę za luźne. Jeśli zajdzie potrzeba, zakładam je tył na przód, zapinam, a potem przekręcam.

- Fascynujące i pomysłowe.

Spoglądała mu prosto w oczy. Nawet w tak wątlym świede widział wyraźnie jej twarz. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo lubi wysokie kobiety, przy których nie musi schylać nisko głowy, aby im się przyjrzeć. Cóż, właściwie spotkał w życiu tylko jedną roślą niewiastę i uzmysławiał sobie z coraz większym lękiem, że lubi ją aż zanadto i nie chce wyrządzić jej krzywdy. Szkopuł w tym, że poczucie winy nie zdołało zagłuszyć w nim żądry. Pragnął tak bardzo Annelise, że panował nad sobą z najwyższym trudem.

- Muszę przyznać, że masz zgubny wpływ na moją silną wolę. Mówię sobie „nie”, a moje ciało wciąż powtarza „tak”. To zastanawiające. Jeszcze nie mogę równać się z Priapem, ale jestem na dobrej drodze. - Powiedział to umyślnie, żeby ją sprowokować. Miał nadzieję, że go odepchnie i wyzwie od ostatnich łajdaków, tak jak na to zasługiwał. Przeliczył się.

Annelise nie wyrzekła ani słowa. Nadal tkwiła przed nim jak zahipnotyzowana. Rozpiął już co najmniej połowę guzików i poczuł pod palcami jej skórę. Było jej zimno, a on tak chciał ją rozgrzać... Jeszcze się broniła.

- Nie widzę w twoich rozterkach niczego dziwnego - powiedziała głosem pełnym napięcia.  
- Gdybyś nie powiedział sobie „nie”, nie czułbyś takiego zapału. Szybko byś się znudził. A dopóki powtarzasz sobie, że nie powinienes...

- Czego nie powinienem? Powiedz, smoczyco. Nie powinienem cię dotykać ani pragnąć?

- Wydaje ci się, że nie możesz mi się oprzeć, ale to tylko pozory. Zakazany owoc zawsze smakuje lepiej. Pragniesz mnie wyłącznie dlatego, że przekonałeś samego siebie, iż nie możesz mnie mieć. Przyznasz, że to niezbyt dobry powód.

Uśmiechnął się. Smoczyca znów zaczyna zionąć ogniem. Taką lubił ją najbardziej. Zdumiewające. Kiedy jest przygnębiona i wygląda jak siedem nieszczęść, chce ją pocieszać, a gdy się z nim sprzecza, nabiera ochoty na coś zupełnie innego.

- Przyszedłem, aby cię upewnić, że postanowiłem zaniechać swoich niecnym planów wobec ciebie i pozwolę ci odejść.

- Już to słyszałam. Doceniam twój szlachetny gest.

W oczach Annelise diło się rozgorzenie. Cóż za niezwykła, zagadkowa istota, pomyślał zafascynowany Christian. Jeśli zrejteruje, będzie tego żałował, jeśli z nią zostanie, uwikła się w niebezpieczny romans, który może zachwiać jego beztroskim bytem. I tak źle, i tak niedobrze. Niech to diabli!

- Na twoje nieszczęście znów zmieniłem zdanie - oznajmił, rozpinając kolejny guzik. Suknia była luźna i powoli zaczynała opadać. - Chyba jednak mi się nie wymkniesz.

Nie zareagowała, a okropna brązowa tkanina zsunęła się jeszcze niżej i odsłoniła kształtne mlecznobiałe ramiona. Christian potrafił rozprawić się z damskimi fatałaszkami jedną ręką, jeśli zaszła taka potrzeba, czasem zamiast palców używał nawet zębów. Zabrał dłoń z pleców Annelise i położył ją w zagłębieniu między jej piersiami. Przez wysłużoną bawełnianą koszulę czuł, jak mocno bije jej serce. Uporał się już z niemal całym zapięciem. Gdyby zapach palonej wełny nie był taki paskudny, wrzuciłby tę szkaradną starą suknię do kominka.

- A zatem jak będzie, smoczycy? - szepnął z ustami tuż przy jej wargach. - Mam cię przywieść do zguby czy odesłać do siostry?

Spojrzała na niego pociemniałymi oczami.

- Czemu chcesz to zrobić?

- Dlatego, że cię pragnę. Nie ma znaczenia, czy ty również mnie pragniesz. To oczywiste, że tak, a nawet gdyby było inaczej, przekonałbym cię, byś zmieniła zdanie. Opanowałem sztukę perswazji do perfekcji.

Nie zadała sobie trudu, żeby zaprzeczyć.

- Czy jeśli powiem „nie”, zostawisz mnie w spokoju?

- Mógłbym spróbować, ale niczego nie obiecuję. Nigdy nie potrafiłem się oprzeć podłym impulsom. A pozbawienie cnoty pięknej starej panny to wyjątkowo niegodziwy występki, prawda?

Posłała mu urzekający uśmiech, który sprawił, że wstrzymał oddech.



- Czy to znaczy, że nie zabierzesz mnie jutro do Gretna Green, aby ratować mój splamiony honor?

- Dalibóg, nie. Co prawda, nie muszę już zenić się dla posagu, ale tak czy owak, nie potrafiłbym dochować wierności jednej kobiecie. To nie leży w mojej naturze. Sądzę, że nie chciałabyś wiarołomnego męża. Wolałabyś raczej kogoś statecznego, pracowitego i niewyobrażalnie nudnego.

- Gdybym w ogóle chciała męża, to tylko ciebie.

Rozpięta suknia trzymała się już tylko na ramionach Annelise. Gdyby je opuściła, brązowy habit spadłby pod nogi.

- W takim razie masz szczęście, że nigdy się z tobą nie ożenię. Tylko bym cię rozczarował.

- Tak, w istocie, powinnam dziękować za to opatrności. Zasluguję na kogoś lepszego niż ty.

- Bez wątpienia. - Pod bawełnianą koszulą kryły się zaskakująco kształtne piersi. Miał ochotę przesunąć odrobinę dłoń, by poczuć ich miękkość pod palcami. - Rozumiem więc, że zabranie cię do łóżka to zły pomysł?

- Bardzo zły. - Zacisnęła na moment powieki, jakby potrzebowała czasu do namysłu. Potem uniosła je i powiedziała: - Przecież ustaliliśmy już, że jesteś diabłem wcielonym, a diabeł sieje wyłącznie zło, czyż nie?

Dawała mu przyzwolenie, i to w chwili, gdy stracił nadzieję, że kiedykolwiek je od niej usłyszy.

- A zatem chcesz, żebym pozbawił cię czci? -zapytał bez wahania. — Czy tak, moja piękna smoczyco?

- Tak, zrób to - odparła, ruchem ramion posyłając sukienkę na ziemię.

Christian zaczął całować Annelise namiętnie, aby nie wrócił jej rozsądek. Nie zniósłby, gdyby raptem się rozmyśliła. Sięgnął do staroświeckiego koka i wyjął z niego spinki. Bujne włosy Annelise sięgały prawie do bioder. Wysunął jej stopy ze zmiętej sukni, a potem wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Nie była lekka, co wznieciło w nim jeszcze większy zapał. Zupełnie jakbym potrzebował dodatkowych podniet, pomyślał z ironią, układając ją na pościeli.

Stwierdził z niesmakiem, że biała koszula zakrywa szczelnie Annelise od szyi po same stopy. Na szczęście była stara i znoszona, dzięki czemu widział jak na dłoni wszystkie krągłości, które nieskutecznie zakrywała. Pod wytartą bawełną rysowały się bujne piersi i ciemne sutki. Podniszczona tkanina z pewnością łatwo się rozerwie. Ledwie przemknęło mu to przez myśl, wprowadził pomysł w czyn. Jednym szarpnięciem rozdarł materiał, aby obnażyć czarowne wdzięki smoczycy. Przyklęknął i zaczerpnąwszy głęboko tchu, rozsunął strzępy koszuli, aby nacieszyć oczy widokiem Annelise. Przypominała jedną z marmurowych bogiń w ogrodzie Chipple'a, tyle że była stokroć piękniejsza, bo żywa, miękka i ciepła. W dodatku nietknięta przez innego mężczyznę. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz oddała mu się dziewczica.

W wątłym blasku świecy nie mógł podziwiać w pełnej krasie jej cudownie kremowej skóry. Obiecał sobie, że kiedyś zabierze ją na dwór za dnia i będzie kochał się z nią na trawie, ale przecież

do lata jeszcze daleko. Kiedy zrobi się ciepło, już jej tu nie będzie. Do tego czasu dawno z nią skończy. Tak, na pewno ją odeśle, prawda?

Zdjął pospiesznie fular i rozpiął koszulę. Potem sięgnął do spodni i nieoczekiwanie się powstrzymał.

- Ostrzegam cię, moja słodka. Nie będzie jak w bajce. Zaboli, przynajmniej na początku. Pewnie mnie za to znienawidzisz.

- Nie martw się, Christianie. Już cię nienawidzę. Wypowiedziane ze stoickim spokojem słowa podziałały na niego jak kubek zimnej wody. Na szczęście natychmiast osłodziła je uśmiechem.

- Dlatego leżę naga w twoim łóżku i czekam, aż rut mnie poużywasz. Nie próbuj mnie odstręczyć. Nie zniechęcisz mnie. O twoich talentach krążą legendy. Skoro ty nie potrafisz uczynić tego znośnym, w takim razie kto? Wiem, że kobiety również znajdują w tym przyjemność. Hetty była wniebowzięta, a Willowi z pewnością daleko do twojej biegłości.

- Hetty kocha swojego safandulę, a to zmienia postać rzeczy.

Musia przyznać jej słuszność. Dlaczego usiłuje ją wystraszyć? Nigdy przedtem nie miał skrupułów. Teraz też zamierzał je od siebie odepchnąć. Znów się do niego uśmiechnęła ze słodyczą, o którą by jej nie podejrzewał, gdyby jej tak dobrze nie znał.

- Orzekliśmy zgodnie, że jesteś zepsuty do szpiku kości i nie masz sumienia - powiedziała z przekonaniem. - Poza tym jestem w tobie zakochana. Sam mi to powiedziałeś zaraz po przyjeździe.

- Próbowałem cię zirytować.
  - Nie musiałaś się wysilać - odrzekła z odrobiną dawnej zjadliwości. - Sama twoja obecność na tym świecie jest wystarczająco irytująca. Ale, cóż w tym wypadku miałaś rację.
  - Przed chwilą twierdziłaś, że mnie nienawidzisz.
  - Miotam się między jednym a drugim stanowczo zbyt długo. Może zrób wreszcie coś, co pomoże mi się zdecydować. Zdaje się, że obiecywałeś mi kolejną lekcję?
  - Roześmiał się, odsyłając do czarta ostatnie wyrzuty sumienia.
  - Pilna z ciebie uczennica - powiedział i podniósł ją, aby zdjąć jej z ramion resztki koszuli. Objęła go za szyję i pocałowała w usta. Odsunął się zaskoczony, gdy dotknęła go językiem i przygryzła mu lekko wargę.
  - Zrobiłam coś nie tak jak należy? - zapytała stropiona.
  - Słowo daję, nigdy nie miałem pilniejszej uczennicy - odparł, popychając ją z powrotem na posłanie.
- Całowali się do utraty tchu. Christian położył się obok Annelise, a potem wciągnął ją na siebie, aby móc swobodnie wodzić dłońmi po jej rozkosznym ciele. Nie spotkał dotąd kobiety o tak gładkiej skórze i tak idealnych kształtach. Czeka go wiele wspaniałych dni i nocy do czasu, gdy się nią znudzi i pozwoli jej odejść. Jeśli taka chwila kiedykolwiek nastąpi...

## **Rozdział dwudziesty drugi**

Za oknem powoli wschodził świt. Annelise leżała na brzuchu na zmiętym prześcieradle. Nagie ciało przykrywał jedynie gruby wełniany pled. Bolały ją wszystkie członki, nawet miejsca, w których nigdy wcześniej nie odczuwała żadnych dolegliwości. Bezkresna noc, która właśnie minęła, kompletnie ją zaskoczyła i wstrząsnęła do głębi całym jej jestestwem. Nie była gotowa na to, co się wjdarzyło, ani na to, jak gwałtownie i żywiołowo reagowała na każdy pocałunek i pieśczołę.

Na początku Christian ułożył ją na sobie i zrzucił na ziemię jej podartą koszulę. Czowała ciepło bijące z jego ciała i mocno zarysowane mięśnie. Całowała go z coraz większym zapalem, wciąż nie mogąc się nim nasycić. Obejmował ją w taki sposób, że miała uwięzione ramiona. Nie podobało jej się, że nie może używać rąk.

- Puść mnie - mruknęła mu do ucha.

Bez namysłu zrobił to, o co prosiła, tak szybko, że przez moment rozważała, czy się nie obrazić. Gdy przewróciła się na bok, natychmiast usiadł. Przestraszyła się, że chce ją zostawić i odejść. Położyła mu rękę na ramieniu, żeby go zatrzymać.

- Chcę... cię dotykać - powiedziała nieśmiało. Wyplątał się prędko z koszuli i odrzuciwszy ją w kąt pokoju, położył się z powrotem. Zobaczyła w jego pociemniałych oczach błysk.

Wyciągnęła niepewnie dłoń, która po chwili spoczęła na jego piersi. Powiodła palcami po gładkiej skórze i wiedzioną instynktem, przycisnęła do niej usta. Jej rozpuszczone włosy zasłoniły niemal cały jego tors. Christian mruknął z aprobatą, kiedy zaczęła obsypywać go drobnymi pocałunkami. Potem nakrył jej rękę swoją i przesunął ją w dół, aż zatrzymała się na jego bryczesach.

Zaskoczona Annelise usiłowała się opierać, ale jej na to nie pozwolił.

- Nie chcę cię martwić, smoczyco, ale nie da się tego uniknąć. Jeśli będziesz się bała, nie posuniemy się zbyt daleko.

Uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Sądziłam, że wystarczy, jeśli będę grzecznie leżeć i czekać, aż zrobisz swoje - oznajmiła z rozbijającą szczerością.

- Nic z tego, moja droga - odparł z lekkim uśmiechem. - To wspólny wysiłek. Ty też musisz wziąć w tym czynny udział.

Uznała, że pora wyzbyć się wstydu. W końcu sama na to przystała, w dodatku leżała obok niego jak ją Pan Bóg stworzył. Mimo to skrzywiła się

lekką, kiedy jej drżąca dłoń spoczęła na jego przyrodzeniu. Co innego nieprzyzwoity marmurowy posąg, co innego żywe męskie ciało. Potrzebowała czasu, żeby oswoić się z sytuacją. Ból z pewnością da się jakoś znieść. Pragnęła Montcal-ma ponad życie.

Zdeterminowana rozpięła guziki jego bryczesów. Zadrżał gwałtownie, po czym uniósł się i jednym ruchem pozbył się spodni. Nic już ich nie dzieliło. Był teraz tak samo nagi jak ona.

- Rób tak przez chwilę - powiedział, pokazując, jak ma go dotykać.

Niebawem mruknął z zadowoleniem, a ona poczuła, jak ogarnia ją podniecenie. Zdaje się, że właśnie o to w tym wszystkim chodzi, przemknęło jej przez głowę. O dawanie przyjemności.

- Wystarczy - powstrzymał ją nagle.

- Myślałam, że ci się podoba - poskarżyła się, rozczarowana.

- Sęk w tym, że myślisz za dużo. Smoki nie myślą, działają instynktownie.

- A jeśli tak naprawdę wcale nie jestem smoczy-cą?

Pochylił się nad nią tak, aby mogła zobaczyć jego niesforny uśmiech.

- Wiem, że nie jesteś, moja słodka. To ja jestem smokiem, wygłodniałym smokiem, który za moment pożre królownę.

- Królownę? Nie wydaje mi się, bym była...

- Och, skończę już z tym gadaniem. Bierzmy się do rzeczy i miejmy to wreszcie za sobą.

Ładna mi zachęta, pomyślała rozczarowana, kiedy odwrócił ją na wznak i ukląkł między jej nogami. Wygląda na to, że dla niego to przykre zadanie, a skoro tak, po co w ogóle zadaje sobie trud?

- Nie martw się - powiedział, kładąc jej rękę na biodrze. Dotknięcie okazało się zaskakująco delikatne. - Nie będzie aż tak źle. - Z tymi słowami pochylił się i zaczął ją całować. Obsypał pocałunkami jej usta, oczy, policzki i szyję. Wkrótce jego wargi rozpoczęły powolną wędrówkę w dół i zatrzymały się na piersiach. Annelise miała wrażenie, że jej ciało płonie. Wyciągnęła dłoń, żeby odgarnąć mu włosy i pogłaskać go po twarzy. Po chwili przesunął się niżej. Poczowała jego język na brzuchu i nagle pojęła jego nieprzyzwoite zamiary. Nic dziwnego, że nazywają go wykole-jeńcem. Wiedziała o istnieniu podobnych praktyk dzięki rozległej lekturze, ale nie sądziła, że ktokolwiek rzeczywiście może coś takiego robić. To szokujące i oburzające zarazem. Za wszelką cenę chciała go powstrzymać, ale jej wysiłki okazały się daremne.

- Nie walcz ze mną, skarbie - szepnął. - Zobaczysz, spodoba ci się. Miał rację. Spodobało jej się. Czerpała z intymnego dotyku niewysłowioną przyjemność, tak wielką, że raptem zachciało jej się płakać. Pozwoliła mu na wszystko. Wiedziała, że gdyby naprawdę się sprzeciwiła, natychmiast by przestał. Ale sprawy zaszły już za daleko... Nie przeżyłaby, gdyby ją teraz zostawił. Odprężyła się i wplotła palce w jego włosy.



Wkrótce wstrząsnęła nią fala cudownych, nieznanych doznań. Poddała im się i niebawem nie była już w stanie zebrać myśli. Nigdy wcześniej nie przeżyła czegoś tak intensywnego i wspaniałego. Skupiła się na swoich reakcjach i obezwładniającej rozkoszy, którą odczuwała każdym skrawkiem ciała. W końcu przeszył ją spazmatyczny dreszcz. Zastygła, przez moment nie mogąc złapać tchu, po czym opadła bez sił na poduszki.

Christian znów się nad nią pochylił.

- Grzeczna dziewczynka - szepnął jej do ucha, przykrywając ją swoim ciężarem. - Teraz jesteś gotowa.

Próbowała zebrać się w sobie, żeby przygotować się na ból, lecz była zbyt oszołomiona, a dziwnie odrętwiałe członki odmawiały jej posłuszeństwa. Zacisnęła oczy, powtarzając sobie, że po tak niezwykłym przeżyciu zniesie wszystko. Odrobina cierpienia to z pewnością niska cena za obcowanie z Montcalmem. Wstrzymała oddech, gdy naparł na nią mocniej, a potem niespodziewanie znieruchomiał. Uniosła powieki i spojrzała w jego pociemniałe źrenice.

Swawolny kpiarz raptem się ulotnił.

- Czemu przestałeś? - zapytała zdziwiona. - To... niemal przyjemne.

Dostrzegła w jego twarzy błysk rozbawienia.

- Niemał przyjemne? - powtórzył z krzywym uśmiechem i natychmiast spoważniał. - Daj mi ręce.

- Co?

Nie zadał sobie trudu, by powtórzyć prośbę.

- Trzymaj się - powiedział, wplatając jej palce w swoje.

Nie zdołała powstrzymać okrzyku bólu. Ścisnęła jego dłonie tak mocno, że prawie zatrzeszczały jej kości. Odetchnęła głęboko i zdusiła w sobie impuls, żeby go z siebie zrzucić. Tłumaczyła sobie, że zaraz skończy i zostawi ją w spokoju, ale jemu najwyraźniej się nie spieszyło. Ani drgnął. Otworzyła oczy, żeby na niego spojrzeć. Tkwił w niej zupełnie nieruchomo. Westchnęła z ulgą, gdy wreszcie się poruszył. Sądziła, że się wycofa, ale znów się pomyliła.

- Nie rób takiej zbolącej miny, smoczyco - szepnął. - Teraz będzie już tylko lepiej.

Nie uwierzyła mu. Leżała pod nim bez słowa, powtarzając sobie, że niebawem będzie po wszystkim. Nie przewidziała tylko, że jej ciało zareaguje instynktownie. Kiedy ją pocałował, oddała mu pocałunek, a gdy puścił jej dłonie, objęła go ramionami i przyłgnęła do niego z całych sił. Christian oplótł sobie biodra jej nogami i po chwili rzeczywiście było o wiele lepiej, choć wyczuwała, że jest bardzo spięty. Panował nad sobą ostatkiem sił. Zastanawiała się, czemu próbuje się mitygować, skoro tak wiele go to kosztuje.

Przestała myśleć o czymkolwiek, gdy raptem przeszył ją ten sam dreszcz, co przedtem, tyle że tym razem przeżyła go jeszcze mocniej i wyraziściej. Z jej ust wyrwał się zduszony okrzyk.

- Tak, to mi się podoba - mruknął zadowolony. Jego ruchy wciąż były powolne i wyważone.

Szare oczy Annelise nieoczekiwanie zaszklily się łzami.

- *Chsne*, skonam, jeśli nie skończę.

- Kończ więc - odparła bez namysłu.

Na to właśnie czekał. Nie miała pojęcia, że dotąd starał się powstrzymać prawdziwą burzę.

Kiedy mu pozwoliła, zaczął poruszać się szybciej i gwałtowniej, jakby ścigał się z jakąś potężną niewidzialną siłą. Odrzuciła wszelkie zahamowania i dała się porwać namiętności,

której istnienia nawet nie podejrzewała. Nie panowała już nad własnym ciałem. Świat przestał istnieć, był tylko Christian, który drżał w jej objęciach równie mocno, jak drżała ona sama. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, zanim wróciła do rzeczywistości. Ścisnęła kurczowo Christiana, jakby chciała poczuć go jeszcze bliżej siebie.

Po jakimś czasie uniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. Po jej policzkach spływały nieproszone łzy. Uśmiechnął się krzywo, niemal tkliwie, a potem całował ją po twarzy i szeptał jej do ucha czułe słowa, słowa uznania i miłości. Annelise powtórzyła po francusku to, co wcześniej na poły żartobliwie wyznała mu po angielsku:

- *Je faime*. - Tym razem zabrzmiało to jak przysięga.

- *Encore* - powiedział i wszystko zaczęło się od nowa.

Nie sądziła, że wytrzyma tak długo. Nie zmrużyli oka niemal przez całą noc. Kiedy wydawało jej się, że jest u kresu sił, udowadniał jej, iż chce i może więcej. Bez trudu namawiał ją, aby robiła rzeczy, o jakich nawet jej się nie śniło, i które za dnia uznałaby za nieobyczajne i napawające wstydem. Czasem myślała, że skończyły mu się pomysły i że da jej odpocząć, a wtedy on znów jej dotykał i jej zmysły ponownie budziły się do życia.

Nie pamiętała, kiedy Christian ją zostawił. Zasnęła, a gdy otworzyła oczy, zorientowała się, że jest w łóżku sama. Ktoś napalił w kominku. Odwróciła ostrożnie głowę i zobaczyła go przy oknie. Siedział na krześle, spoglądając w ogień. Był częściowo ubrany; miał na sobie spodnie i do połowy zapiętą koszulę. A zatem już mu się znudziło, pomyślała półprzytomnie i spojrzała na niego z tęsknotą.

Wiedział, że się obudziła, ale wciąż na nią nie patrzył.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytał głosem kompletnie pozbawionym emocji. Zachowywał się tak, jakby nic się między nimi nie wydarzyło.

- Jechać? - powtórzyła idiotycznie, jakby nie rozumiała, w czym rzecz.

Usiadła na pościeli i okryła się szczelnie. Oczywiście, że zamierza ją odesłać. Czyż nie dał jej jasno do zrozumienia, że nie ma dla niej żadnych uczuć? W każdym razie nie wtedy, gdy mówi po angielsku. Wprawdzie odwracał od niej wzrok, ale jego swobodna poza nie pozostawiała żadnych złudzeń. Czemu miałby się przejmować starą panną, która pozwoliła mu pozbawić się cnoty? Nie odzywała się, więc w końcu na nią popatrzył.

- Chyba nie będziesz uciążliwa i nie zaczniesz płakać, prawda, smoczycy? - wycedził nie bez

drwiny. Jego niedbały ton był co najmniej nie na miejscu. Nie po wspólnej nocy.

- Nie obawiaj się, nie będę płakać - oznajmiła matowym głosem.

- Naturalnie, że nie. - Uśmiechnął się przelotnie. - Jesteś na to zbyt dumna i praktyczna.

Przygotuję wszystko do podróży. Możesz jechać, dokąd zechcesz. Do siostry, a może do lady Prentice? Dokądkolwiek, byle nie do Chipple'a.

Zatem nie obchodzi go jej przyszły adres. Chce się jej pozbyć, a ona w żaden sposób nie umie temu zaradzić. Może tylko upokorzyć się jeszcze bardziej.

- Kocham cię - wyznała po francusku. - Nie potrafię bez ciebie żyć. Zrobię, co tylko zechcesz, jeśli pozwolisz mi ze sobą zostać.

Nawet nie drgnęła mu powieka.

- Przykro mi, moja droga, nie rozumiem ani słowa po francusku. - Z tymi słowy skierował się do drzwi, nie oglądając się za siebie.

280

## **Rozdział dwudziesty trzeci**

Annelise milczała, kiedy Christian przechodził przez pokój. Gdyby się odezwała, powiedziała choćby słowo, pewnie by do niej przypadł. Siedziała nieruchomo jak posąg, więc wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Nie było sensu powtarzać sobie, jakim jest głupcem i podłym egoistą. To dla niego żadna nowość. Gdy po raz pierwszy spojrział w przejrzyste szare oczy czcigodnej panny Kempton, wiedział, że będzie ją miał. Mimo kilku prób odstąpienia od tego zamiaru, właśnie dopiął swego. Im szybciej ją od siebie uwolni, tym lepiej dla niej.

Wciąż nie wierzył w to, co się stało. Czemu do tego dopuścił? Dlaczego nie zadbał o najważniejsze i nie wycofał się na czas? Przecież nigdy nie zdawał się na przypadek. Dokładał wszelkich starań, żeby upojne noce nie były brzemiennie w skutki. Naturalnie prawdopodobieństwo, że

poczęli dziecko, jest znikome. Tak czy owak należało brać taką możliwość pod rozwagę. Co ona zrobi, jeśli się okaże, że jest w ciąży? Jak mógł postąpić z nią tak haniebnie? To niewybaczalne.

Annelise sobie poradzi, pocieszał się, wchodząc do pogrążonej w ciemnościach biblioteki. Jest przecież rozsądna i praktyczna. Odeśle ją jak najdalej od siebie, a wtedy znienawidzi go tak bardzo, że nie będzie miała ochoty więcej go oglądać. Dzięki temu on uniknie odpowiedzialności.

Jeśli odkryje, że jest przy nadziei, prawdopodobnie znajdzie kogoś, kto pomoże jej pozbyć się kłopotu, nim ten stanie się widoczny. Nie, zreflektował się Christian, kobieta tak prawa i zrównoważona jak jego smoczyca nie dokonałaby takiego wyboru. Postąpiłaby zapewne tak jak większość niewiast, która znajdzie się w podobnym, wstydlivym położeniu. Udałaby się w długą i daleką podróż. Po powrocie wyglądałaby zupełnie tak jak przedtem, a jakaś para wieśniaków dostałaby na wychowanie kolejne dziecko.

Wolałby tego uniknąć. Nie życzył sobie, aby jego dzieci dorastały skazane na łaskę i niełaskę ludzi, którym zapłacono za opiekę. Zaznał w życiu rodzicielskiej miłości, ale wiedział też, jak to jest być osamotnionym wyrostkiem, o którego nikt nie dba. To dlatego nie chciał, żeby podły los spotkał kogoś, w kim płynie jego krew.

Opadł na kanapę. Co do jednego miał całkowitą pewność - Annelise nic nie będzie. Jak tylko wyzwoli się spod jego zgubnego wpływu, znów stanie się dumną i nieprzystępną starą panną w workowatych strojach, które zakrywają prawdziwe skarby. Nikt się nie domyśli, że spędziła noc w ramionach jednego z najbardziej zdeprawowanych łotrów w całym królestwie.

Ostatecznie może nawet przyniesie jej to jakiś pożytek. Zapewne będzie odtąd bardziej otwarta na zaloty. Z pewnością znajdą się tuziny mężczyzn, którym wpadnie w oko. Nie wyobrażał sobie, aby mogło być inaczej. Wybierze któregoś z nich i będzie szczęśliwą żoną i matką. A wszystko to dzięki niemu. Jakież to zacne i uprzejme z jego strony, że postanowił wprowadzić ją w tajniki sztuki miłosnej. Gdyby potrafił oszukiwać samego siebie, uznałby to za dobry uczynek.

Zakładał, że uda jej się uniknąć ludzkiego gadania, ale by ją przed nim uchronić, musi pozwolić jej odejść. I to jak najszybciej. Czas jest tu kwestią najwyższej wagi. Przebywa pod jego dachem stanowczo za długo, a jeśli nadal będzie w pobliżu... Poderwał się jak oparzony, usłyszawszy raptem brzęk tłuczonych naczyń. Dopiero teraz zauważył, że Bessie wparowała do pokoju z tacą i miną anioła zemsty.

Usiadł i spojrzał na porozrzucone po podłodzie skorupy.

- Naprawdę nie mogłaś się powstrzymać? - zaczął ostrożnie. - Nie mamy zbyt wiele porcelany.

- Niech pan się cieszy, że nie rozbiłam jej panu na głowie! Jak pan mógł zrobić tej biednej dziewczynie coś takiego?

Milczał, próbując grać na zwłokę. Gniew pani



Browne zazwyczaj przynosił spodziewany efekt. Tylko ona potrafiła tak skutecznie obudzić jego sumienie.

- Nie rozumiem. Co masz na myśli?

- Zostawił pan otwarte drzwi, ot co! Tfu! Bezwstydnik bez czci! Widziałam was, jak spaliście golusieńcy jak was Pan Bóg stworzył. Już miałam wejść i z miejsca zmyć panu głowę, ale postanowiłam oszczędzić pannę i poczekać z tym do rana. Pan, jak widzę, niestety jej nie oszczędził.

- Rety... - powiedział bezmyślnie, bo nie przychodziło mu do głowy nic mądrzejszego.

- Na litość boską, obiecywał jej pan, że będzie bezpieczna! Przyrzekał pan na honor, że jej nie tknie! Ufała panu!

- Och, nigdy mi nie ufała, możesz mi wierzyć. Jest na to zbyt mądra.

- Musi pan zaciągać do łóżka każdą napotkaną niewiastę? Żadnej pan nie przepuści? Słowo daję, aż świerzbią mnie ręce, żeby wziąć bat i przetrzepać panu skórę. Harry odmawia, choć srodze się na panu zawiódł.

Bez wątpienia przydałaby mi się porządna chłosta, pomyślał niewesoło Christian.

- Nie sypiam z każdą - bronił się jednak odruchowo. - Smarkulę, która ze mną uciekła, zostawiłem w spokoju.

- W takim razie czemu wziął się pan akurat na pannę Kempton? Postąpił z nią pan okrutnie i bezdusznie. To zupełnie do pana niepodobne. Wiadomo nie od dziś, że jest pan nieodpowiedzialny i samolubny, ale nigdy nie sądziłam, że potrafi pan być taki zimny i nieczuły.

Sam wyrzucał sobie od najgorszych, w dodatku używając podobnych słów, lecz kiedy usłyszał je od Bessie i zobaczył, że patrzy na niego z potępie-niem<sub>y</sub> poczuł, że ze wstydu palą go policzki. Browne'owie poświęcili dawne dostatnie życie, aby dla niego pracować. Byli bodaj jedynymi ludźmi na świecie, których opinia się dla niego liczyła.

- Nie potrafiłem jej się oprzeć - wyznał wreszcie szczerze.

- Ożeni się pan z nią? -

- Na Boga, nie! Jeśli kiedykolwiek wezmę sobie żonę, to tylko dla posagu. Zresztą nawet gdybym się oświadczył, nie sądzę, by mnie przyjęła. Jak mówiłem, nie brak jej rozumu.

- Święte słowa - odezwała się od progu Annelise. - Pani Browne, chciałabym jak najszybciej wyjechać. Czy pani mąż mógłby postarać się dla mnie o transport? Może być zwykły wóz, byle zawiózł mnie do najbliższego większego miasta.

Gospodyni w jednej chwili zapomniała o złości i podbiegłszy do panny Kempton, objęła ją czule ramieniem.

- Niech pani o nic się nie martwi, moja duszko. Harry wszystkiego dopilnuje. Wyprawimy panią z Wynche End, choćbyśmy mieli ukraść dla pani powóz. Dziesięć lat z panem Montcalmem nauczyło nas w razie potrzeby zapominać o praworządności.

Annelise nie spojrzała na Christiana, ale zdobyła się na niepewny uśmiech.

- Będę państwu bardzo wdzięczna za pomoc. Potrzebuję też jakichś butów...

Wszyscy troje spojrzeli na jej bose stopy. Były bardzo zgrabne. Do tej pory Christian nie zwracał uwagi na tę część damskiej anatomii. Nie przypuszczał, że może być tak powabna. Annelise znów miała na sobie tę odrażającą brązową sukienkę. Powinien był podrzeć ją na strzępy razem z koszulą. Ciekawe, co włożyła pod spód? Pozbawił ją przecież bielizny...

Czemu wciąż zaprzęta sobie tym głowę? Wypadałoby uznać, że już się nią nasycił, czyż nie?

- Coś wymyślimy - obiecała służąca. - Proszę pójść ze mną, przygotuję pani śniadanie i dopilnuję, by nie musiała pani więcej oglądać tej marnej imitacji mężczyzny.

Ku zdumieniu Christiana Annelise zerknęła na niego przelotnie, a na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Och, w pewnych okolicznościach potrafi być bardzo męski. Nie ma sobie równych, jak sądzę, ale mnie nauczył już chyba wszystkiego.

W przejrzystych szarych oczach nie było ani śladu łez. Widać odnalazła część spinek, bo zdołała upiąć włosy w luźny kok, taki, który rozsypałby się za jednym zręcznym pociągnięciem. Christian chciał coś powiedzieć, spróbować ją zatrzymać, ale nie znalazł odpowiednich słów. Posłała mu długie, pełne namysłu spojrzenie, po czym obróciła się na pięcie i wyszła razem z Bessie. Zniknęła mu z oczu i odeszła na zawsze z jego życia.

O dziwo, udało mu się zasnąć. Zdrzemnął się na kanapie, wokół której walały się rozbite naczynia. Kiedy się ocknął, słońce świeciło pełnym blaskiem. Obie kobiety przepadły jak kamień w wodę. Odnalazł jedynie Harry'ego, ale wołał nie pytać, gdzie się podziały. Jedno

spojrzenie na zagniewaną twarz służącego utwierdziło go w przekonaniu, że lepiej będzie przez jakiś czas zachować milczenie. Zresztą nie powinien zajmować się dalszym losem Annelise. Zostawił ją w dobrych rękach. Browne'owie zadbają o nią o wiele lepiej niż on. Wprawdzie Harry spoglądał wilkiem na Christiana, ale zgodził się przygotować mu kąpiel. Woda okazała się zimna i ledwie go zakrywała, postanowił jednak nie wybrzydzać. Musiał zmyć z siebie jej zapach. Dopóki tego nie zrobi, nie zdoła zapomnieć. Gdy wkładał świeżą koszulę, zerknął mimochodem w lustro i zobaczył na barku zaczerwieniony ślad po jej zębach. Pamiętał dokładnie, kiedy go ugryzła, pamiętał też, jak powstała cała reszta zadrapań i siniaków na jego ciele. Obejrzał je wnikliwie i przypomniał sobie każdy gest, grymas i wszystkie rozkoszne westchnienia, których Annelise nie była w stanie powstrzymać. Niech to diabli! To nie może się tak zakończyć. Nie pozwoli jej odejść. Nie tak szybko... musi jeszcze choć raz...

Browne otworzył na oścież okno - prawdopodobnie w nadziei, że chlebodawca nabawi się śmiertelnej gorączki - stwierdził w duchu Mont-

calm. Nagle usłyszał tętent kopyt i zdjęty trwogą, wyrzwał na zewnątrz. Niemożliwe, żeby Annelise wyjechała tak prędko. Ku swemu zdumieniu, ujrzał Crosby'ego Penningtona, który zsiadał właśnie z gniadej klaczy.

Dziwne, Crosby unikał jazdy jak ognia. Nie znosił nadmiernego wysiłku, a jeszcze bardziej nie cierpiał wsi. Niejednokrotnie zdarzało mu się odrzucać zaproszenia na wystawne przyjęcia wyłącznie dlatego, że odbywały się w posiadłościach położonych z dala od Londynu. I raptem zjawia się nieoczekiwanie w Wynche End, w dodatku niezapowiedziany? Może to i dobrze, uznał Christian. Wizyta kompana pomoże mu wybić sobie z głowy to niedorzeczne zauroczenie. Szybko dokończył się ubierać i wybiegł do sieni.

- Co cię sprowadza na głuchą prowincję? - powitał gościa, odbierając od niego płaszcz.

- Montcalm! Bogu dzięki, zastałem cię w domu! Christian był coraz bardziej zaintrygowany.

Pennington rzadko okazywał emocje.

- Naturalnie jesteś tu mile widziany, niemniej trochę się dziwię. Nigdy przecież nie opuszczasz stolicy.

- Mam ważne nowiny. Uznałem, że nie mogę czekać z nimi do twojego powrotu. Podpytałem więc Henry'ego i oto jestem.

Sprawa miała wrażenie autentycznie zaaferowanego. Christiana ogarnęły złe przeczucia.

- Chodźmy do biblioteki. Pani Browne przyniesie nam butelkę.

- Nie! Nie ma na to czasu! - zaprotestował gwałtownie Crosby.

- Na wino zawsze jest czas...

- Nie tym razem, przyjacielu. Twój brat żyje! Z tym właśnie przybywam. Christian znieruchomiał. Ani chybi wyglądał teraz jak jeden z przeklętych posągów starego Chipple'a.
- Co ty opowiadasz?! Cała moja rodzina zginęła dwadzieścia lat temu.
- Otóż nie cała, mój drogi. Uratowało się najmłodsze dziecko. Wyniósł je z domu jeden ze służących. Ukrywa się, ale niedawno ktoś doniósł na niego władzom. Zdołał wysłać do ciebie umyślnego z listem, w którym prosi o ratunek. Montcalm wpatrywał się w przybysza, jakby zobaczył go po raz pierwszy.
- Ale... to zupełnie niewiarygodne...
- Wiesz, że mam swoje źródła. Wiadomość przywieźli kupcy. Ktoś obiecał im okrągłą sumkę za to, żeby cię odnaleźli. Zamiast do ciebie, trafili do mnie, a ja popędziłem za tobą na złamanie karku. Każdy przyjaciel na moim miejscu postąpiłby tak samo. Tak na marginesie, jesteś mi winny pięćdziesiąt funtów. Musiałem ich przekupić.
- Nie wierzę w to.
- Zarzucasz mi kłamstwo? - oburzył się Pennington.
- Skądże... Po prostu nie pojmuję jak...
- Ruszajmy. Na nabrzeżu czeka łódź, którą przedostaniemy się do Francji. Obawiam się, że to

statek przemytniczy, ale pomyślałem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

- Nie, oczywiście, że nie.

Christian zrobił krok w tył i usiadł na schodach. Wciąż nie dowierzał własnym uszom. Mały Charles-Louis nadal żyje, a on może go uratować. Sprowadzi brata do Anglii, choćby miał przepłynąć wąską cieśninę La Manche.

- Będę gotowy za pięć minut - powiedział, podniósłszy się energicznie z miejsca.

- Weź ze sobą jak najwięcej gotówki! - krzyknął za nim Crosby. - Może nam się przydać.

- Płyniesz ze mną?

- Od czego są przyjaciele? - odparł z krzywym uśmiechem Pennington. - Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

- Zaczekaj tu. Zaraz wracam. - Montcalm obrócił się na pięcie i pobiegł na górę po pistolety.

Annelise siedziała na zniszczonej, lecz zaskakująco wygodnej kanapie w salonie. Była wykąpana, nakarmiona i odziana w świeże ubranie. Znow musiała włożyć bieliznę oraz zieloną suknię ciotecznej babki Montcalma. Zbyt duże jeździeckie buty nieszczęśliwie do nich pasowały, ale nie mogła przecież wyruszyć w drogę bosą. Pozostawało jej jedynie czekać na powrót pana Brownem, który udał się do miasta po powóz. Niebawem opuści to miejsce i zniknie na zawsze z życia mężczyzny, który wzgardził jej uczuciem.

Obiecała sobie, że nie będzie płakać nad swoim politowaniem godnym losem. Kiedy zakochała się jak ostatnie ciele, wiedziała, że pakuje się w tarapaty. Była wystarczająco rozgarnięta i dorosła, aby przewidzieć konsekwencje. Powinna żałować tego, co się wydarzyło ubiegłej

nocy, i prawdopodobnie prędzej czy później dopadną ją z tego powodu wyrzuty sumienia. Tymczasem była zadowolona ze swojej decyzji. Zasmakowała szczęścia i radości, o których nawet jej się nie śniło, i przez kilka wspaniałych godzin czuła się piękna, podziwiana i kochana.

Na szczęście nie musiała się martwić, że rozwiązłość, której się dopuściła, przyniesie niepożądane skutki w postaci nieślubnego dziecka. Wiedziała, że prawdopodobieństwo poczęcia tuż po zakończeniu miesiączki jest znikome. Mimo wszystko dziwiła się, że Christian nawet nie próbował uchronić jej od ostatecznej hańby. Twierdził uparcie, że z całą pewnością nie ma nieprawego potomstwa. Jeśli często obcował z kobietami, tak jak wczoraj z nią, po wsiach chowa się teraz co najmniej tuzin jego nieślubnych dzieci.

Wizja Montcalma w ramionach innej okazała się dla niej zbyt bolesna. Zacisnęła powieki, próbując ją od siebie odsunąć. Pora zainteresować się przyszłością, a nie rozpamiętywać przeszłość. Nie pozostawił jej przecież żadnych złudzeń. Błagała go, żeby pozwolił jej ze sobą zostać, a on wstał i wyszedł. Wprawdzie mówiła po francusku, ale marna to pociecha. Zrozumiał każde jej słowo, wiedział dokładnie, o co prosi. Cóż za upokorzę



nie... Nie powinna była skamlać i nigdy więcej tego nie robi. Wyjedzie stąd i nawet o nim nie pomyśli. Z zadumy wyrwała Annelise pani Browne.

- Mąż wrócił właśnie z miasta - oznajmiła, zamknąwszy za sobą drzwi. - W gospodzie „Pod Królewskim Dębem” mają powóz do wynajęcia, ale trzeba go naprawić. Będzie gotowy dopiero jutro. Harry jest doskonałym woźnicą, a ja chętnie będę pani towarzyszyć. W ten sposób ochronimy pani reputację.

- Za późno. Mojej reputacji nic już nie pomoże. Poza tym nie chciałabym odrywać pani od obowiązków.

- Naprawianie szkód, które wyrządził pan Christian, także należy do moich obowiązków. A on niech radzi sobie sam. Zasłużył na karę, niecnota.

- Naprawdę nie mogę zostać z nim dłużej pod jednym dachem.

- O to może się pani nie martwić. Nie ma go. Wyjechał.

Czemu poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w serce? Pogodziła się już z tym, że odszedł i ją zostawił, czyż nie?

- Wyjechał? - powtórzyła za gospodynią. - Dokąd? Do Londynu?

Annelise nie miała najmniejszego zamiaru wracać do stolicy. Postanowiła schronić się u siostry. Eugenia udzieli jej gościny na tak długo, jak będzie trzeba. Oczywiście nie obędzie się bez wyrzutów, kazań i pouczeń, na które tym razem niewątpliwie zasłużyła.!

- Przyjechał przyjaciel pana Montcalma, Crosby Pennington, i ani się obejrzałam, już ich nie było. Nie zapytałam, dokąd się wybierają.

Mówił coś o mnie? - miała na końcu języka Annelise. Rzecz jasna nie zamierzała zadać tego pytania na głos. Znała na nie odpowiedź, poza tym nie chciała się ośmieszać. Tak mu się spieszyło do nowych rozrywek, że nawet się z nią nie pożegnał.

- Powiedział coś, zanim wyszedł - oznajmiła Bessie jakby czytała jej w myślach. - Kazał mi troskliwie o panią zadbać bez względu na to, co się wydarzy.

- Co to właściwie znaczy? - zaniepokoiła się Annelise.

- Nie mam pojęcia, ale w życiu nie widziałam, żeby panicz był taki ponury i poważny. Nie ufam temu Penningtonowi. Źle mu z oczu patrzy i różnie o nim gadają, ale to nie nasze zmartwienie. Pan Christian jest dorosły, potrafi o siebie zadbać. Nie daje mi tylko spokoju, że wziął ze sobą pistolety. Na szczęście pani będzie z nami bezpieczna. Ten nicpoń więcej pani nie tknie. Ma pani na to moje słowo.

- Dziękuję - odparła Annelise, choć obietnica służącej nie wzbudziła jej entuzjazmu. - Jest pani dla mnie taka dobra.

- Nonsens, polubiłam panią, ot co. A panicz to dobry człowiek, tyle że odrobinę nieokrzesany. Powiedziałabym, że jest rozbisurmaniony, ale odkąd przybył do Anglii, nikt go nie rozpieszczał. Wręcz przeciwnie. Dlatego odgrodził się od bliźnich i nauczył się dbać wyłącznie o siebie. Stara się

być nieczuły i nieprzystępny. W głębi serca wcale taki nie jest, ale tak czy owak zasługuje pani na kogoś lepszego niż on.

- Nie sądzę, aby kiedykolwiek brał mnie pod uwagę.

- Może i nie - przyznała z westchnieniem pani Browne. - Jedno jest pewne: przy pani wyszedłby wreszcie na ludzi. Przyniosę pani gorącej herbaty, co pani na to?

- O tak, bardzo chętnie. - Panna Kempton przymknęła powieki i zapadła w sen.

Zbudziły ją jakieś hałasy. Usłyszała trzaśnięcie drzwi, odgłos kroków na korytarzu i zduszone przekleństwo. Poderwała się uradowana i podbiegła do drzwi. To na pewno Christian, pomyślała z nadzieją.

- Czcigodna panna Kempton - zagrzmiął od progu Josiah Chipple. - Szukałem pani.

## Rozdział dwudziesty czwarty

- Pan Chipple? - wykrztusiła podenerwowanym głosem. - Nie spodziewaliśmy się pana wizyty...

- Naturalnie, że nie - odrzekł złowieszczo, zatrzasnąwszy z hukiem drzwi. - A powinniście. Nikt bezkarnie nie igra z Josiahem Chipple'em! Ten psi syn, Montcalm, najpierw wyłudził ode mnie pieniądze szantażem, a potem porwał mi córkę. Nie zamierzam puścić mu tego płazem. Ani jemu, ani tym, którzy go wspomagali. Zechce pani usiąść, panno Kempton.

- Dziękuję, postoję.

- Siadaj, wiedźmo, albo ci pomogę! - Nie czekając na odpowiedź, popchnął Annelise tak mocno, że krzesło omal nie wywróciło się razem z nią na ziemię.

Zaskoczona i oburzona, poderwała się z powrotem na nogi, po czym wymierzyła Chipple'owi siarczasty policzek. Niezbyt mądre posunięcie,

skonstatowała ponieważ. Zapomniała, że ma do czynienia z prostakiem, który tylko udaje dżentelmena. Powalona potężnym ciosem, padła na podłogę, zahaczając biodrem o komodę.

- Masz, na co zasłużyłaś, wyniosła krowo. -Chipple wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. - Może cię to czegoś nauczy. Nie doceniłaś mnie. Sądziłem, że taka obyta paniusia wykaże więcej rozsądku. Ale ty w ogóle nie masz rozumu, co? Pozwoliłaś temu łajdakowi zabrać Henriette, a potem sama rozłożyłaś przed nim nogi. Mimo całej swojej ogłady jesteś taką samą dziwką jak moja córka. Zapłacisz mi za krzywdy.

Panna Kempton ani drgnęła. Wiedziała, że jeśli się podniesie, rzuci się na niego i spróbuje zabić go gołymi rękoma. Jako że skutki mogły okazać się dla niej tragiczne, postanowiła zagrać na zwłokę.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Panna Chipple nie przebywa w tym domu.

- Oczywiście, że nie. Odjechała z chłopakiem Dickinsonów do domu twojej siostry. Wielce się natrudziłem, aby ustalić, gdzie się ukrywają, ale w końcu jak zwykle dopiąłem swego. Moi ludzie niebawem ich tu sprowadzą. Nie wróżę lekkiego końca twojej rodzinie, ale to ty będziesz ich miała na sumieniu. Nie trzeba było mieszać się w nie swoje sprawy.

Pokrzyżowałaś mi szyki i poniesiesz konsekwencje.

- Nic podobnego, nie próbowałam zniweczyć pańskich planów. Hetty była nieszczęśliwa i zrozpaczona, dlatego uległa namowom pana Montcalma. Wiedziałam, że nie zaaprobuje pan ich związku, dlatego zwróciłam się o pomoc do pana Dickinsona i wraz z nim udałam się w pościg. Zdążyliśmy przybyć na miejsce, zanim do czegokolwiek doszło. Jej honor nie ucierpiał.

- Honor i szczęście mojej córki niewiele mnie obchodzą. Miała wobec mnie pewne powinności. Nie dość, że ich nie wypełniła, to jeszcze skompromitowała mnie w oczach towarzystwa. Zdaje się, że w przeszłości zbyt jej pobażalem, ale nic straconego, dostanie nauczkę teraz.

- Nie odważy się pan jej skrzywdzić! - zaprotestowała Annelise, wyrzucając sobie w duchu naiwność. Skoro podniósł rękę na obcą osobę, w dodatku pannę z dobrego domu, tym bardziej nie będzie miał skrupułów przed tym, żeby wygarbować skórę własnemu dziecku. Roześmiał się drwiąco.

- Radziłbym ci martwić się raczej o siebie i swoich bliskich. Masz śliczną, piętnastoletnią siostrzenicę, prawda? Nieokrzesany mężczyzna może wyrządzić takiej młódce sporą krzywdę.

Spojrzała na niego z obrzydzeniem i niedowierzaniem. Zrobiło jej się niedobrze.

- Skąd pan wie, że mam siostrzenicę?

- Och, wywiedziałem się o tobie wszystkiego, zanim wpuściłem cię do swojego domu.

- Gdzie się podziali Browne'owie? - zapytała, podniósłszy się na nogi.

Wciąż kręciło jej się w głowie i dokuczało jej potłuczone biodro, ale nie zamierzała kulić się przed Chipple'em ze strachu.

- Związani i zamknięci w bezpiecznym miej-

scu. Nie będą sprawiali kłopotu, choć przyznam, że narobili sporo hałasu.

- Czego pan właściwie chce? Christiana nie ma w domu!

- Jest dokładnie tam, gdzie go posłałem. Wkrótce wyląduje z poderżniętym gardłem za burtą mojego statku.

Opadła na krzesło, próbując złapać oddech.

- Co pan mówi? To niemożliwe...

- Owszem. Pognał szukać wiatru w polu. Jest tak głupi, że uwierzył w cudowne ocalenie brata. Nie musiałem się nawet szczególnie wysilać, aby przekupić jego tak zwanego przyjaciela. Według moich obliczeń jest już na nabrzeżu i wita się z moimi ludźmi, których uważa za przyjaźnie nastawionych przemytników. Kazałem im zabić go dopiero wtedy, gdy wypłyną na morze, ale kto wie, czy już się z tym nie uporali.

- Dlaczego pan to robi? Przecież nie skrzywdził pańskiej córki!

- Nie idzie o moją córkę. Spisałem ją na straty. Nie mogę pozwolić, żeby przeżył. Za dużo o mnie wie. Nie chcę, żeby wrócił do stolicy i zaczął niepotrzebnie mleć językiem. Najpierw mnie rozgniewał, a potem groził, że zdradzi moje sekrety. Sam podpisał na siebie wyrok śmierci.

- Wydaje się panu, że nie pisnę o tym ani słowa? Że nie odślonię przed światem pańskich podłych występków? - Jeszcze nim skończyła mówić, uzmysłowiła sobie, że powinna była zachować milczenie.

- Nikomu nic nie powiesz - oznajmił z nieprzyjemnym uśmiechem i obrzucił ją taksującym spojrzeniem. - Nie dostanę za ciebie zbyt wiele, ale może jeśli obetnę ci ten twój niewyparzony jęzor, zyskasz nieco na wartości.

- Zyskam na wartości? - powtórzyła zdezorientowana.
- Jeszcze nie pojmujesz, w czym rzecz? Wiedz zatem, że kupczę żywym towarem. Dlatego nie chcę, żeby prawda o naturze moich interesów wyszła na jaw. Handluję nie tylko niewolnikami, lecz także ubogimi kobietami. W arabskich domach uciech dziewczęta z jasną karnacją mają bardzo duże wzięcie. Nawet przy twoich niedostatkach powinienem wytargować za ciebie niezłą cenę.
- Oszalał pan!
- Nic podobnego, droga panno Kempton. Jestem człowiekiem interesu, ot co. Nie podjąłem jeszcze decyzji w kwestii Henrietty. Być może pošlę ją razem z panią. Srodze mnie zawiodła, więc uznałem, że mogę zrobić z niej jeszcze jakiś użytek.
- Żaden mężczyzna nie zapłaci za mnie złamanego pensa - rzekła Annelise, próbując ukryć strach. - Poza tym swoim zachowaniem uczynię wszystko, żeby odstręczyć ewentualnych kupców.
- Och, nie jesteś wcale taka szpetna. Odrobinę podstarzała i o wiele za wysoka, ale to żadna przeszkoda. Zapewniam cię, że nim wystawimy dziewczkę na targ, robimy, co trzeba, aby odechciało jej się wierzgać. Nietrudno złamać kobietę, trzeba tylko wiedzieć, jak się do tego zabrać. Kto wie, być może sam się za ciebie wezmę.



Annelise pomyślała, że prędeż go zabije, niż da mu się dotknąć tymi obmierzłymi łapskami. Gdyby tylko miała czym...

- A jeśli pójdę po dobroci? - powiedziała z rozmysłem.

- Postąpisz słusznie. Jak znam swoich ludzi, twoja rodzina została wybita do nogi, a i Montcalm do jutra pożegna się z tym światem. Nikt nie przyjdzie ci na ratunek. Stawianie oporu pogorszy twoją sytuację. Z drugiej strony, trafisz do miejsca, w którym kobiet używa się tylko w jednym celu. I tak długo nie pożyjesz. Daję ci najwyżej rok. Prędeż czy później któryś z bywalców cię zabije, ale to już nie moje zmartwienie.

- Skąd pan to wie?

- Och, robiłem to nieraz. Moja biedna żona nie dotrwała nawet do końca podróży.

- Nie pojmuję, dlaczego tak bardzo mnie pan nienawidzi. Nie zrobiłam panu niczego złego. Zmierzył ją niechętnym wzrokiem.

- Wydaje ci się, że jesteś ode mnie lepsza tylko dlatego, że spłodził cię arystokrata. Dobrze wiesz, że twój papa był nic niewartym opojem i hulaką, który w dodatku umyślnie złamał sobie kark i zostawił cię na łasce obcych. Wielka szkoda, że nie przewidział, iż trafisz w moje ręce.

Annelise zaczerpnęła głęboko tchu, zerkając na marmurową figurkę, która stała nieopodal na komodzie.

- Bez wątpienia jestem od pana lepsza, panie Chipple, lecz bynajmniej nie ze względu na pochodzenie. Nie spotkałam dotąd tak odrażającego indywiduum jak pan. Żeruje pan na słabości bliźnich i karmi się pan ludzką krzywdą. Nie znajduję słów, aby opisać, jak bardzo

panem gardzę. Niech się pan nie łudzi, że kogokolwiek zwiodą pozory. Udaje pan prostodusznego jegomościa o szczerym sercu, ale zdradzają pana plebejskie maniery, że nie wspomnę o całkowitym braku gustu, tudzież ostentacyjnym okazywaniu bogactwa. Prędzej czy później ktoś się na panu pozna, a wówczas niechybnie czeka pana stryczek - oświadczyła z przekonaniem.

Rzucił się na nią, lecz tym razem była na to w pełni przygotowana. Odskoczyła na bok, a Chipple wylądował na krześle i wraz z meblem zwałił się ciężko na podłogę. Zanim zdołał stanąć ponownie na nogi, Annelise dopadła do posążka Diany, po czym z całej siły uderzyła go w głowę.

Poskutkowało. Josiah upadł jak kłoda, a z jego zgruchotanej czaszki sączyła się krew. Zabiłam go, skonstatowała z satysfakcją Annelise. Nie miała wyrzutów sumienia, przeciwnie, chętnie dla pewności huknęłaby go jeszcze raz. Postanowiła jednak oprzeć się pokusie. Odstawiła statuetkę i podszedłszy do drzwi, przyłożyła do nich ucho. Tak jak się spodziewała, korytarz okupowali najemnicy Chipple'a. Ominęła ostrożnie jego ciało i otworzyła okno. Było dość małe, ale nie miała wyboru, musiała się przez nie przecisnąć. Zerknęła w dół. Wysoko, pomyślała i bez namysłu zeskoczyła na ziemię. Wylądowała na plecach ponad dwa jardy niżej. Wygrzebała się z błota, ignorując ból w krzyżu.

Nie wiedziała, gdzie szukać Harry'ego i Bessie, a czas był na wagę złota. Trzeba ostrzec Eugenię i Christiana. Modliła się, żeby nie było za późno. Na szczęście w stajni nie napotkała żadnego z ludzi Chipple'a. Naliczyła za to co najmniej pół tuzina wierzchowców. Gertie powitała ją radosnym prychnięciem. Annelise odetchnęła z ulgą, choć była mocno zdenerwowana. Poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie będzie jeździć. Od blisko pięciu lat nie miała do czynienia z końmi, a teraz zamierzała pognać na złamanie karku na ratunek najbliższemu. Czyste szaleństwo, ale jakież miała wybór?

Nie znalazłszy damskiego siodła, dosiadła Gertrudy okrakiem. Natychmiast poczuła ogromny dyskomfort. Naturalnie знаła przyczyny tych dolegliwości, ale postanowiła ich teraz nie roztrząsać. Kiedy opadła na grzbiet klaczy całym ciężarem, w pierwszej chwili zareagowała atakiem paniki. Zwierzę wyczuło jej lęk i cofnęło się, niespokojnie machnąwszy łbem. Annelise uspokoiła oddech i przytuliła się do karku kasztanki. Już miała pognać ją do galopu, gdy wtem dostrzegła kątem oka jakiś ruch.

- Kto tam? - zapytała ponagającym szeptem. Z kopy siana wyłoniła się głowa młodego stajennego.

- Przepraszam, panienko. Bałem się, że to któryś z tych zbójów.

Wyrastek nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat.

I - Wiesz, gdzie trzymają Browne'ów?

Potrząsnął głową.

- Może w piwnicy - powiedział niezdecydowany.

- Zdołałbyś ich uwolnić?

- Nie! - odparł przestraszony.
- Chciałabym, żebyś sprowadził pomoc. Zrobisz to, o co cię proszę?
- Dobrze, panienko.

Annelise stanęła przed trudnym wyborem. Mogła jechać na północ, aby ostrzec siostrę, lub na nabrzeże, żeby spróbować ocalić Montcalma. Znała swoją powinność, ale ostatecznie postanowiła posłuchać głosu serca. Przekonywała samą siebie, że Eugenia potrafi wzbudzić grozę w najbardziej pewnych siebie mężczyznach. Nie wystraszy jej nawet cała horda opryszków.

- Pojedziesz do Marymade - zwróciła się do Jeremy'ego. - Przekażesz mojej siostrze i jej rodzinie, że Chipple nastął na nich ludzi. Znajdziesz ich bez trudu. Mieszkają na plebanii, tuż przy kościele.

- Czy te zbiry już tam są?

- Jestem pewna, że zdążysz przed nimi. Chłopak był przerażony i niezbyt rozgarnięty, a jej krewni znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie. W dodatku za jej sprawą. W przeciwieństwie do nich Christian potrafił o siebie zadbać. Annelise wiedziała, co powinna uczynić, ale nie potrafiła się do tego zmusić.

- Weź konia i ruszaj. Kieruj się cały czas na północ. Przy odrobinie szczęścia o świcie będziesz na miejscu. Pamiętaj, że ich życie spoczywa w twoich rękach.

Jeremy wyprostował ramiona i zrobił dzielną minę.

- A pani? Nie pojedzie pani ze mną?

- Nie - odparła zdecydowanie. - Spróbuję uratować twojego pana.

304

## **Rozdział dwudziesty piąty**

Mimo szaleńczej jazdy umysł Montcalma pracował na zdwojonych obrotach. Uprzytomnił sobie, że Crosby niczego nie robił bezinteresownie. Tym razem z pewnością nie było inaczej. Tylko obietnica sówitej nagrody mogła skłonić go do przyjazdu na wieś. Christian nie dowierzał mu od samego początku, niemniej musiał się upewnić, że Crosby kłamie. Dopóki istniał choćby cień szansy, że brat istotnie przeżył, dopóty nie wolno mu było się poddać. Gotów był zaryzykować życie, aby go uratować. Niewątpliwie dał się zwabić w zasadzkę, ale nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby postąpił inaczej. Jedno tylko nie dawało mu spokoju. Zastanawiał się, jak to się stało, że jego rzekomy przyjaciel Crosby wszedł w układy z kimś takim jak Josiah Chipple. Zmierzchało, gdy dotarli do urwiska przy nabrzeżu. Na plaży nie było żywej duszy.

- Gdzie się podzieli przemytnicy? - zapytał spokojnie.
- A jak sądzisz? - Crosby posłał mu niewinne spojrzenie. - Pewnie chowają się w pobliżu jaskiń. Tacy jak oni nie pokazują się za dnia.
- Myślisz, że nasze konie dadzą radę zejść po stromiźnie?
- Z pewnością, ale lepiej się pospieszmy. Niebawem się ściemni.
- Racja - odrzekł Christian, kładąc dłoń na schowanym za pazuchą pistolecie. Jeśli Pennington go zdradził, zastrzeli go jak psa.

Crosby ruszył przodem. Naturalnie okazało się, że doskonale zna drogę.

- Nadal nie widzę twoich sprzymierzeńców - odezwał się Montcalm, gdy dotarli na plażę.

Pennington zsiadł z konia i rozejrzał się niespokojnie.

- Powinni tu być. Powiedział mi, że będą na nas czekać.

- Powiedział ci? Kto taki?

- Nie pojmuję. Co masz na myśli?

Od strony jaskiń zbliżali się do nich jacyś ludzie.

- Kto ci zapłacił za to, żebyś mnie tu sprowadził? Za ile mnie sprzedałeś?

- Zawsze byłeś łebski - przyznał Crosby. - Wyznam, że uczyniłem to z wielką niechęcią. Ale co robić? Moje wydatki wciąż rosną. Sam nie odrzuciłbyś tak szczodrej oferty.

- Zapewne. - Zbirów było około dwudziestu. - Ile dostałeś za mnie srebrników, Judaszu?

Pytam z czystej ciekawości. Ile jestem wart?

- O, całkiem sporo, mój drogi. Pięćset funtów plus opłata dla tych dżentelmenów. To prawdziwi przemytnicy.

- Tylko pięćset funtów? Słowo daję, czuję się urażony. Powinieneś był zażądać więcej. Jestem pewien, że Chipple zgodziłby się na twoją cenę.
  - Nic się przed tobą nie ukryje, drogi przyjacielu. Kiedy się domyśliłeś?
  - Co najmniej godzinę temu.
  - Mimo to ze mną pojechałeś? Christian wzruszył ramionami.
  - Cóż, istniał cień szansy, że mówiłeś prawdę.
  - Gotów jesteś oddać za to życie? - zdziwił się Crosby.
  - Nie obawiaj się, nikt mnie nie zabije. Pennington spojrzał na grupę mężczyzn, którzy właśnie ich otoczyli.
  - Obawiam się, że jednak zginiesz, Montcalm. Szkoda, bo zawsze miałem dla ciebie wiele podziwu i...
  - Zamkniesz się wreszcie, idioto? - przerwał mu jeden z przemytników. - Nie przyszliśmy po to, żeby wysłuchiwać próżnej gadaniny.
  - Słucham? Przecież przyprowadziłem go zgodnie z umową i...
  - I zrobiłeś swoje. Nie jesteś nam już potrzebny. Prawda, chłopcy?
- Reszta bandy przytaknęła z entuzjazmem.
- W takim razie zostawię was. Poradzicie sobie z nim sami.
  - Nic z tego, mój panie. Podoba mi się twój kort.



- Ale... nie zostawicie mnie tu chyba bez transportu? Następny przyływ zaleje to miejsce.

- Oczywiście, że nie pozwolimy ci tu zostać -zgodził się uprzejmie przywódca rzezimieszków:— Do Francji też cię nie zabierzemy. Zbyt duży tłok na statku, sam rozumiesz. Skończymy z tobą już teraz.

- Nie ośmielicie się!

Crosby nie zdążył dokończyć zdania. Rozległ się huk wystrzału i Pennington padł bez życia na ziemię.

- Doskonały strzał - stwierdził chłodno Christian, spoglądając bez żalu na dziurę w głowie fałszywego przyjaciela.

- Nie trać czasu na komplementy, chłopcze -odrzekł herszt bandy, zmierzywszy go wzrokiem od stóp do głów. - Wkrótce będziesz tak samo sztywny jak on.

- Czemu nie od razu?

Naturalnie Montcalm wcale nie zamierzał umierać. Chciał jedynie poznać ich zamiary.

- Kazano mi zabrać cię na morze i dopiero tam poderżnąć ci gardło, a Dick Parsons zawsze dotrzymuje słowa.

Jeden z opryszków prychnął ubawiony.

- Radzę ci zamknąć gębę, Hoskins, bo możesz wylądować za burtą razem z tym tu elegancikiem.

Reszcie towarzystwa raptem przestało być do śmiechu. Christian uznał, że nie da rady pokonać ich wszystkich naraz. Mieli zbyt dużą przewagę liczebną. Będzie musiał rozprawić

się z każdym ze zbirów z osobna. W najgorszym wypadku wyczeka odpowiedniego momentu i wskoczy niepostrzeżenie do wody. Na szczęście był wytrawnym pływakiem.

- To zaszczyt rozmawiać z człowiekiem, który nie rzuca słów na wiatr - odezwał się z wyszukaną uprzejmością. - Kiedy wypływamy?

- A po co ci to wiedzieć? Wzruszył ramionami.

- Chcę zrobić rachunek sumienia.

- Też mi coś! Może jeszcze mamy ci sprowadzić księdza?

- Wystarczy mi kilka minut w odosobnieniu, żebym mógł policzyć grzechy i oswoić się z rychłą śmiercią.

- Hm... tyle możemy dla ciebie zrobić - zgodził się łaskawie Parsons. - I tak musimy zaczekać na jegomościa, który nas najął, i na naszą zapłatę. Wyruszymy z następnym odpływem. -

Odwrócił się w stronę swoich ludzi. - Zaprowadźcie go do jaskini i porządnie go zwiążcie. - Zerknął na ciało Penningtona. - A to ścierwo wrzucicie do morza.

Grota okazała się zimna i nieprzyjazna. Bandyci skrupowali Montcalmowi ręce na plecach, po czym zostawili go samemu sobie. Rzecz jasna odebrali więźniowi pistolety oraz wysadzany kamieniami sztylet. Nie przeszukali go jednak wystarczająco skrupulatnie. Nie znaleźli noża, który Christian ukrył z tyłu za pasem.

Mógł uwolnić się natychmiast i uciec pod osłoną nocy, wybrał wszakże znacznie ryzykowniejsze rozwiązanie. Postanowił czekać na nadejście Chipple'a. Pragnienie zemsty przeważało w tym

wypadku nad zdrowym rozsądkiem. Nie darowałby sobie, gdyby nie dał staremu nauczki za to, że przez niego przez chwilę karmił się nadzieją. Jeśli nie uda mu się zabić Chipple'a albo sam przy tym zginie, trudno. Przynajmniej spróbuje. Zresztą, czy trzymał go przy życiu szczególnie ważki powód?

Ciekawe, czy opłakiwałaby go smoczyca? Z pewnością nie. Postarał się o to, żeby go znienawidziła. Tak było dla niej najlepiej. Jeśli ma odrobinę rozsądku, ucieszy się na wieść o jego marnym końcu. Sęk w tym, zreflektował się, że Annelise wcale nie jest taka rozważna i praktyczna, za jaką pragnie uchodzić. Pod szorstką skorupą kryje się wrażliwa i tkliwa kobieta, która w dodatku uwierzyła, że taki łajdak jak on zasługuje na to, aby obdarzyć go uczuciem. Rozpaczałaby po nim, to pewne. Nie chciał przysparzać jej więcej bólu. Dlatego przeżyje. Nie da się ukatrupić choćby tylko po to, żeby mogła go dalej przeklinać, postanowił. Oparł głowę o skałę i przymknął oczy. Był wczesny wieczór, a kolejnego odpływu należało oczekiwać około północy. Chipple prawdopodobnie nie pojawi się wcześniej niż za kilka godzin. Miał zatem sporo czasu na zebranie sił. Musi tylko przestać myśleć bez ustanku o irytującej pannie Kempton.

Po jakimś czasie, znacznie wcześniej, niż się spodziewał, rozległy się wrzaski i odgłosy rozmów. Ktoś przyjechał i najwyraźniej nie był to mile widziany gość. Może to Harry przybył mu na ratunek? Nie, Browne nie postąpiłby tak nieroztropnie.

Usłyszawszy kroki przy wejściu, zwiesił głowę, udając pogrążonego w modlitwie. Wkrótce spojrział ze zgrozą na scenę, która rozgrywała się na jego oczach. Kilku przemytników wpadło do jaskini, ciągnąc za sobą umorusaną i pozbawioną przytomności kobietę. Rzucili ją na ziemię niczym worek mąki i otarli ręce z błota.

- To twoja pani? - zapytał Hoskins. - Taki fircyk i zadaje się z brzydulą? Sądziłem, że stać cię na więcej. Kapitan Parsons nie jest zadowolony z nadbagażu, ale mówi, że Chipple może zapłacić za nią podwójnie, a jeśli nie, to się jej pozbędziemy.

- Nie wiem, o czym mówisz, człowieku - odezwał się beznamiętnie Christian. - Nie znam jej. Annelise wyglądała jak strzęp człowieka. Zastanawiał się, co jej zrobili. Na myśl o tym, jak ją potraktowali, ogarnął go taki gniew, że ledwie powstrzymał się przed wybuchem. Nie wiedział, jak długo zdoła udawać obojętność.

- Durna szkarada, przyjechała cię szukać. Miała nawet pistolet, dasz wiarę? Szkoda tylko, że nikt nie nauczył jej strzelać. - Zbir pochylił się nad Annelise i chwycił ją za włosy, uniósł do pozycji siedzącej. Nie zareagowała. Z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. - Zostawimy was samych, ptaszyny. Panna jest pewnie jednym z twoich grzechów, więc możesz poprosić ją o odpuszczenie win. - Hoskins zarechotał i pozwolił, aby głowa Annelise opadła z powrotem na

ziemię. Kiedy przemytnicy wychodzili, nadal się nie ruszała i miała zamknięte oczy.

Jeśli ją zabili, wyrznię ich wszystkich co do nogi, zdecydował Montcalm. Gdy chwilę później uniosła powieki, zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że to ją zamorduje.

- Co ty tu robisz, do diaska? - zapytał rozeźlonym szeptem.

Wyglądała jak siedem nieszczęść. Miała podarte i uwalane szlamem ubranie, podbite oko i rozciętą wargę. Najbardziej żaloszny widok, jaki kiedykolwiek oglądał. Niech ją diabli!

- Ratuję ci skórę - odrzekła ochryplym głosem. Gdyby nie był związany, udusiłby ją gołymi rękami.

- Nie przyszło ci do głowy, że mogę nie potrzebować ratunku?

- Chipple zjawił się ni z tego, ni z owego w twoim domu i powiedział, że jego ludzie poderzną ci gardło i zatopią twoje zwłoki w morzu. Posłałam Jeremy'ego do Marymede, aby ostrzegł Hetty i moją siostrę, a sama przyjechałam tutaj. Zdaje się, że postąpiłam głupio.

- Bardzo głupio. Jak się tu dostałaś?

- Konno.

Posłał jej zdziwione spojrzenie.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Chipple się wygadał. Groził mi i wspomniał, że wpadłeś w łapy przemytników.

- Wygadał się? Nie sądzę, żeby zrobił to niechcący... A potem zwyczajnie puścił cię wolno?

- Nie żyje. Zabiłam go.

Może jednak daruje jej życie. Zaczerpnął głęboko tchu.

- Jak ci się to udało?

- Huknęłam go w głowę posążkiem Diany.
  - Bardzo sprytnie, ale to nie rozwiązuje problemu.
  - Jakiego problemu?
  - Sam uciekłbym bez trudu. Z tobą na karku nie pójdzie mi tak łatwo. Dalibóg, w życiu nie spotkałem takiej uciążliwej baby.
- Miał nadzieję, że uda mu się pobudzić jej gwałtowny temperament, ale zignorowała zaczepkę i zamknęła powoli oczy.
- Skoro tak, możesz mnie zostawić. Chipple się nie pojawi, więc szmuglerzy prawdopodobnie odpłyną beze mnie.
  - Jeśli Chipple się nie pojawi, ci zbóje najpierw na tobie poużywają, a potem cię zamordują.
  - To i tak lepsze niż los, który zamierzał mi zgotować Josiah. Chciał mnie sprzedać do domu rozpusty. Tam umierałabym znacznie dłużej. Mówiłam mu, że nie zapłacą za mnie wiele...
  - To prawda. Wtedy go zabiłaś? Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. Nareszcie dostrzegł w jej żrenicach oznaki życia.
  - Skoro ucieczka jest dla ciebie taka ważna, idź. Potrafię o siebie zadbać.
  - O, nie wątpię. - Roześmiał się niewesoło. - Jeśli ci się zdaje, że narażę dla ciebie własne życie tylko dlatego, że ubrdałaś sobie, iż musisz mnie ratować, to niepotrzebnie się łudzisz.
  - Och, bądź spokojny, nie mam co do ciebie

żadnych złudzeń - odparła ze znużeniem. - Idź już.

- Kto cię uderzył?

- A co to za różnica?

Wydobył nóż z pochwy i zaczął przecinać więzy.

- Żadna. Pytam z ciekawości.

- Ten, który mnie tu przywlókł. Chyba mam być jego trofeum. Nie jest szczególnie uszczęśliwiony takim dobrodziejstwem, ale widać uznał, że lepszy rydz niż nic.

- Przestań się nad sobą uzalać. To nudne. Poderwała głowę.

- Mam prawo się nad sobą uzalać! Niedługo pożegnam się z życiem, i to w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach, a ty nie potrafisz nawet okazać odrobiny wdzięczności.

Jakaż ja byłam głupia! Zakochałam się jak idiotka i był to największy błąd w moim życiu. Nie dość na tym, zszargałam sobie reputację, jak się okazuje zupełnie bez powodu. Tylko po to, aby zaspokoić żądzę.

"v W innej sytuacji pewnie by się uśmiechnął. Wyplątał ręce z pęt i wsunawszy nóż do buta, podniósł się na nogi.

- Naprawdę chcesz mnie tu zostawić? - zapytała, starając się, aby nie zabrzmiało to żałości.

- Tak będzie najrozsądniej. Jeśli wezmę cię ze sobą, dogonią nas. Nie mogę ryzykować.

Zresztą, to wyłącznie twoja wina. Nawarzyłaś sobie piwa, to je teraz wypij. Kiedy dotrę do miasta, przyślę

pomoc. Może zdążę na czas.

- Cudownie - wymamrotała pod nosem. - Ty nieużyty, rozpustny psi synu!

Christian wzruszył ramionami i wyszedł z jaskini.

Widział całą bandę jak na dłoni. Stali nieopodal w świetle księżyca. Wymknąłby się bez trudu, wystarczyło wspiąć się po cichu po zboczu. Gdyby tylko nie spowalniał go balast w postaci sporych rozmiarów kobiety... Naturalnie nie próbowała go zatrzymać.

- Na psa urok! - wymamrotał ze złością i zawrócił do miejsca, w którym siedziała Annelise. Podniósł ją gwałtownie i uwolnił z więzów, nie siląc się na delikatność. Tak jak przypuszczał, ledwie trzymała się na nogach. Zachwiała się i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Co robisz?

- Ratuję ci tyłek. Choć, szczerze mówiąc, sam nie wiem dlaczego. Prawdopodobnie przyplączę to życiem.

- Jednak ci na mnie zależy?

Roześmiał się szyderczo i przerzucił ją sobie przez ramię. Czemu, do diabła, wziął sobie na kark taką wielką babę? Czy naprawdę nie mógł się zakochać w kimś... Omal nie cisnął jej z powrotem na ziemię, gdy przemknęła mu przez głowę ta nedorzeczna myśl. Tfu! Jakby potrzebował teraz dodatkowych komplikacji. Ruszył w górę ścieżki.

Niepotrzebnie zwlekał. Księżyc oświetlał urwisko stanowczo zbyt jasno. Wkrótce usłyszał za plecami wrzaski, a potem wystrzał. Zauważyli ich.

- Ucieka, psiajucha! - krzyknął któryś z bandy zbirów.



- Goń go! Na co czekasz, gamoniu? - zagrzemiał nie kto inny niż Josiah Chipple.
  - Zabiłaś go, co? - mruknął Christian, bez ceremonii rzucając na trawę Annelise. - Brzmi dość żywotnie jak na umarlaka.
  - Cóż, zrobiłam, co w mojej mocy - odparła urażona.
  - Nie wymkniesz się, łajdaku! - zawołał od brzegu Josiah. - Jeśli się poddasz, puszczę dziewczynę wolno!
- Mało prawdopodobne, pomyślał Montcalm, spoglądając na Annelise. Była przerażona i blada jak płótno. Diabli nadali!
- Zostań tu - polecił stanowczym szeptem.
  - Nie wierz mu! - odparła rozpaczliwie, chwyciwszy się jego spodni.
- Pomógł jej wejść w zarośla w nadziei, że uda mu się ją ukryć. Wtedy na plaży w dole rozpętało się istne piekło. Ludzie Chipple'a rozmnożyli się raptem jak mrówki.
- Nie ruszaj się stąd, bo wrócę i własnoręcznie cię ukatrupię - zagroził, po czym zbiegł na brzeg w sam środek bójki. Zastanawiał się przy tym, czy jeszcze kiedykolwiek będzie miał okazję grozić swojej smoczycy.

## **Rozdział dwudziesty szósty**

Panna Kempton wciąż nie mogła uwierzyć, że na własne życzenie wpakowała się w takie tarapaty. Bito ją, kopano, popychano i obmacywano obmierzłymi łapskami. Szaleńcza jazda na grzbiecie Gertie wzmogła jedynie jej dolegliwości w intymnych okolicach i, co gorsza, okazała się zupełnie niepotrzebna. Pędziła na złamanie karku zdjęta trwogą i obawą, że dotrze do celu za późno i po co? Tylko po to, aby stwierdzić, że nie zdoła przeciwstawić się zgrai bandytów. Jakby tego było mało, Christian oznajmił jej bez ogródek, że jest dla niego ciężarem.

Boże, czemu pokarałeś mnie taką głupotą, myślała, wypęczając z chaszczy. W dole nadal rozbrzmiewały odgłosy walki oraz huk wystrzałów. Pewnie go zabijają... Nie powinna zawracać sobie nim głowy. Przecież i tak nigdy więcej go nie zobaczy. Nawet jeśli ujdzie z życiem.  
Dlaczego

zamartwia się o to, co się z nim stanie? Cóż, prawda jest smutna. Choć postępował z nią okrutnie i podle, nie potrafiła przestać go kochać.

Stała na nogi i spojrzała na nabrzeże. Mont-calm siedział na kimś okrakiem i okładał go pięściami. Sądziła, że to Chipple, ale Josiah stał z boku. Potyczka najwyraźniej dobiegła końca. Kilka ciał leżało bezwładnie na piasku, a na skraju plaży czekał powóz, który wydał jej się znajomy. Nie myliła się. Eugenia, jej mąż i William Dickinson przybyli im na ratunek wraz ze szwadronem wojska.

Annelise zaczęła schodzić ostrożnie ze zbocza, ale oczywiście upadła. Podniosła się i zdesperowana ruszyła w dalszą drogę. Nie spodobał jej się widok, który zastała na dole. Żołnierze przyglądali się spokojnie, jak Chipple i jego przemytnicy odpływają bez przeszkód od brzegu.

- Na litość boską, co wy robicie?! - krzyknęła oburzona. - Chcecie puścić im to płazem?

Eugenia zmierzyła ją wzrokiem pełnym dezaprobaty.

- Nielicho nabroiłaś, moja panno - rzekła z wyrzutem. Była najbardziej apodyktyczną niewiastą pod słońcem, więc Annelise nie oczekiwała od niej współczucia. Zazwyczaj czuła się w jej towarzystwie jak krnąbrne dziecko. - Całe szczęście, że pomyślałaś o tym, żeby nas ostrzec, zanim niemal dałaś się zabić tym zbirom. Łaska boska, że wyruszyliśmy ci na pomoc o wiele wcześniej. Pan Montcalm, rzecz jasna zawinił nie mniej niż ty. Nie omieszkałam mu tego powiedzieć i powtórzę

jeszcze nieraz, jak tylko wydostaniemy się z tego siedliska podłości i...

- Dlaczego pozwoliliście im odpłynąć?

- To chyba oczywiste! Nie zdołalibyśmy postawić pana Chipple'a przed trybunałem bez ujawnienia całej prawdy. Reputacja jego córki, a także i twoja, ucierpiałyby w najgorszy z możliwych sposobów. Odpłynął razem z przemytnikami do Francji i surowym zakazem powrotu do kraju.

- Ci nikczemnicy z zimną krwią zamordowali człowieka, zamierzali zabić także mnie i Christiana. Powinni ponieść karę!

- Oboje uszliście z życiem. Poza siniakami nic ci nie jest, prawda? Jak słyszę, po śmierci pana Penningtona nikt nie będzie rozpaczał. Pójdiesz teraz ze mną do powozu i nie zamienisz ani słowa z panem Montcalmem. Nawet nie spojrzysz w jego stronę; zrozumiano?

- Ale muszę...

- O nie, moja droga. Nawet o tym nie myśl. Wrócisz do Marymede i zrobisz dokładnie to, co ci każę. Może uda nam się przywrócić ci dobre imię. Z tego, co widzę, ów człowiek zupełnie o ciebie nie dba, za to ty musisz zadbać o swoją reputację. To jedyne, co ci pozostało.

Eugenia rozkazywała wszystkim od dziecka i trzeba przyznać, że z reguły nikt nie śmiał jej się przeciwstawić. Annelise nie miała przed tym oporów, w tej chwili była jednak zbyt zmęczona i przygnębiona. Zresztą, dokąd miała się udać, jeśli nie do domu siostry? Christian stał zwrócony do niej plecami i wpatrywał się w odpływające łodzie.

- No chodźże już, moja droga, im szybciej cię stąd zabierzemy, tym lepiej.
- A Gertie?
- Twoja dawna klacz? Przecież sprzedaliśmy ją z resztą inwentarza.
- Znow jest moja. Przywiązałam ją nieopodal i nigdzie się bez niej nie ruszę.
- Ale skąd się tutaj wzięła?
- Powiadam ci, że należy do mnie - upierała się Annelise. Jeśli Montcalm chce konia z powrotem, pomyślała, będzie musiał wyrazić takie życzenie. Skoro nie zamierza z nią rozmawiać, trudno, jego strata. Nie zostawi mu Gertrudy.

Eugenia westchnęła teatralnie.

- Słowo daję, jesteś uparta jak osioł. Pomówię z Josephem. - Z tymi słowy odwróciła się i oddaliła w kierunku męża.

Annelise miała dwie możliwości. Mogła podbiec do Christiana i zmusić go, aby spojrzał jej w twarz, ale mogła też wdrapać się na wzgórze i odnaleźć Gertie. Z jednej strony, czekała ją niechęć i wzdarda; z drugiej - bezwarunkowa miłość wiernego zwierzęcia. Nie wahała się ani chwili.

Zbyt duże buty grzęzły jej w błocie, bolały ją stopy i dzwoniło jej w uszach. W dodatku nie wiedzieć czemu zbierało jej się na płacz. Już niebawem będzie jak za dawnych czasów. Zamieszka na wsi, sprawi sobie nowe okulary, kilka koronkowych czepków i zostanie na wieki brzydką starą panną.

Gdy dotarła na szczyt urwiska, nie mogła złapać tchu. Opadła na trawę nieopodal miejsca, w którym czekała na nią ukochana kasztanka. Spojrzała na skąpany w blasku księżyca ocean. Statki zniknęły z horyzontu. Wiatr rozwiewał jej potargane włosy. Odgarnęła je z twarzy, dotykając mokrego policzka. Nie miała pojęcia, skąd te łzy. To zapewne reakcja na dramatyczne wydarzenia dzisiejszego dnia. W końcu omal nie została zabita. Miała prawo czuć się nieco rozstrojona.

Siedziała tak dość długo. Na niebie wzeszły pierwsze promienie słońca. Nowy dzień, nowe życie, pomyślała smętnie i oparła twarz na podkulonych kolanach. Chciała:zasnąć albo zapłakać. Kiedy podniosła głowę, Christian stał tuż obok i spoglądał na nią z góry. Przyjrzała mu się uważnie. Miał rozchełstaną koszulę i siniec na policzku, a jego dłonie...

- Masz krew na rękach - zauważyła.

- Nie obawiaj się, nie zabiłem go.

- Kogo?

- Hoskinsa. Tego, który cię uderzył. Nagle zaczął się tym przejmować? Dziwne.

- Chipple też mnie uderzył. Trochę za późno, aby go gonić, niemniej doceniam troskę.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- To mi się podoba. Nareszcie mówisz jak moja smoczyca, choć wyznam, że odkąd poznałem twoją przerażającą siostrę, niestraszne mi najgroźniejsze smoki. Ta kobieta sieje postrach wszędzie, gdzie się pojawi.

- Jest zdumiewająca, prawda? Chciałabym mieć jej siłę charakteru.

- Och, masz jej aż w nadmiarze.
- Jak zwykle nie szczędzi mi pan pochlebstw, panie Montcalm.
- Swoją drogą szkoda, że twoi krewni mieszkają tak blisko Wynche End.
- Blisko? Przecież to co najmniej dwa dni drogi. Przyjechali tak szybko tylko dlatego, że spieszyli mi na ratunek. Nie lękaj się, nie będą cię nękali częstymi wizytami. Wątpię, aby w zaistniałych okolicznościach nalegali na kontynuowanie znajomości.
- Twój szwagier, o dziwo, wydaje się poczciwym jegomościem - stwierdził, zignorowawszy jej przemowę. - Cóż, trzeba mieć anielską cierpliwość, żeby wytrzymać przy takiej żonie. Doskonale rozumiem, czemu godzi się na te tortury. Zapewne nie trafił gorzej ode mnie.
- Co ty pleciesz? Nic nie rozumiem. Popatrzył na nią w milczeniu. Przez chwilę wydawało się, że zapomniał języka w gębie. Niemożliwe, czarujący Christian Montcalm zawsze wiedział, co powiedzieć.
- Właściwie to nawet dobrze się składa, że ich dom leży tak niedaleko Wynche End. Dzięki temu nikt się nie dowie, że spędziłaś dwie noce w mojej posiadłości. Powiemy, że gościłaś u siostry, leżałaś w łóżku i leczyłaś dokuczliwą chorobę.
- Istotnie leżałam w łóżku, i to stanowczo zbyt długo, a określenie „dokuczliwe” z pewnością nie opisuje w pełni przykrych wrażeń, które stały się wówczas moim udziałem. Roześmiał się w głos, a jeszcze niedawno wydawało jej się, że już nigdy nie usłyszy jego śmiechu.
- Zatem postanowiłaś uznać sprawę za niebyłą, tak? Niczego nie jestem ci winien?

- W rzeczy samej - odrzekła kwaśno. - Ciesz się, że tak łatwo pozbyłeś się kłopotu. Ja w każdym razie nie posiadamy się z radości.

Potrząsnął głową.

- Nic z tego. Wcale się go nie pozbyłem. Wziął ją za rękę, choć próbowała się opierać. Po chwili stała na nogach i spoglądała mu w oczy.

- Jak to dobrze, że jesteś podstarzałą sierotą - rzekł, odgarniając jej włosy z czoła. - Nie będę musiał prosić nikogo o zgodę.

- O zgodę? Na co, ty kłamliwa kanalio?

- Oj, nieładnie, smoczyco. Tak nazywasz przyszłego męża? Miałem nadzieję, że będziesz zwracać się do mnie nieco czulej.

Rozchyliła usta ze zdziwienia.

- Tak, moja słodka, obawiam się, że będziesz musiała za mnie wyjść.

- Przed chwilą dowodziłeś, że moja reputacja pozostanie bez skazy. Jeśli się obawiasz, że rozpustna noc, którą spędziliśmy razem, będzie miała trwałe konsekwencje, to pragnę cię uspokoić. Niedawno przestałam krwawić, więc prawdopodobieństwo poczęcia dziecka jest znikome. Gdyby mimo to okazało się, że się mylę, możesz być pewien, że dam ci znać.

Ujął jej twarz w dłonie i pogłaskał ją delikatnie po policzkach, uważając, żeby nie dotknąć siniaków.

- Masz całkowitą rację, jestem kanalią - oznajmił pogodnie. - Zaslужuję na dożywotnią pokutę



i życie w wiecznej udręce, a ty jesteś jedyną osobą na świecie, która potrafi wymierzyć mi tak dotkliwą karę.

- Nie waż się ze mnie drwić! Miałam wyjątkowo ciężki dzień.

- Ja także sporo dziś przeszedłem. Nie bądź uciążliwa. Uprowadziłem już jedną pannę i nie zawaham się porwać drugiej. Na szczęście tym razem oszczędzę sobie dalekiej podróży.

- Nie ma powodu, abyś się ze mną żenił! -zawołała wzburzona. - Któryś ze zbirów uderzył cię za mocno w głowę? Chętnie łupnę cię jeszcze raz. Może przejdzie ci ochota do niedorzecznych żartów. Nie musisz chronić mojej czci ani czynić ze mnie uczciwej kobiety.

- Och, nie muszę, bo już to zrobiłem, najśłodsza - odrzekł ze wymownym uśmiechem.

Najwyraźniej zamierzał ją pocałować. Gdyby miała w sobie choć odrobinę dumy, kopnęłaby go w pizszczel albo lepiej zepchnęła z urwiska... Czuły dotyk jego warg był jak błogosławieństwo. z jej oczu znów popłynęły łzy. Miał na nią iście zgubny wpływ. Gdy był blisko, jej rozum wyraźnie szwankował.

- Poślubisz mnie, smoczyco, urodzisz mi dzieci, zamieszkasz ze mną w moim rozpadającym się domu i będziesz co dzień doprowadzała mnie do szaleństwa. Zgodzę się nawet na okazjonalne wizyty twojej straszliwej siostry. Wyjdiesz za mnie, i nie dlatego, że musisz, lecz dlatego, że nie pozwolę ci odejść.

- Nie pozwolisz mi odejść? Czemu? - zapytała stanowczo. Nie potrafiła dłużej powstrzymać się od płaczu.

-*Je faine* - odparł, zagładając jej w oczy. - Kocham cię.  
zdawało jej się, że wstrzymuje oddech całą wieczność. W końcu wypuściła powietrze i przytuliła się do niego z całych sił.  
-*Je faine aussie*. Ja też cię kocham i ostrzegam, że zamienię twoje życie w prawdziwe piekło.  
- Na to właśnie liczę - odparł z uśmiechem.

## **Epilog**

*Dziesięć lat później*

Christian przemierzał pole w towarzystwie dwóch spanieli, kierując się ku domowi. Wynche End prezentowało się o wiele lepiej, lecz domostwu wciąż było daleko do dawnej świetności. Ku zadowoleniu właściciela, niedawno udało się zebrać fundusze na wymianę dachu.

Pozbywszy się nieszczęśliwości w suficie, nie musiał się już martwić, że znów zacznie kapać mu na głowę w trakcie wypełniania obowiązków małżeńskich. Owszem, lubił niespodzianki, a i Annelise reagowała na nie z należywym entuzjazmem, wszakże spanie w mokrej pościeli nie należało do przyjemności.

Usłyszał z oddali krzyki, ale nie przyspieszył kroku. Dzień był zbyt piękny, aby się dokądkolwiek spieszyć, poza tym domyślał się, co to za hałasy. Kiedy dotarł do stajni, bójka powoli dobiegała końca. Jego sześciolatek syn, Christopher Hercules, leżał na plecach w błocie, zaś jego ośmioletnia siostra Minerva Elizabeth siedziała na nim okrakiem, nie pozwalając mu stanąć na nogi. Siedmioletnie bliźnięta Browne'ow usiłowały tymczasem przemówić rozwścieczonej dziewczynce do rozumu.

Montcalm bez trudu podniósł córkę w powietrze. Majtała chwilę nogami, wyrывая się w stronę Chrisa.

- Bądź grzeczna, Minnie, bo poskarżę na ciebie mamie - rzekł, postawiwszy ją na ziemi. Zrobiła naburmuszoną minę, ale nie ruszyła się z miejsca, za to jej braciszek zdążył wstać i najwyraźniej zamierzał przypuścić atak. Jego oko szpecił ogromny siniak.

- Ciebie to również dotyczy, mój chłopcze.

Christopher bał się gniewu rodzicielki jak ognia. Wymamrotał więc pod nosem ciche przekleństwo i porzucił wszelkie myśli o zemście. Ojciec postanowił tym razem mu darować. Dzięki Bogu obie jego latorośle pilnowały się w obecności surowej ciotki i bogobojnego wuja. Tak czy owak kusiło go, żeby wrzucić pociechy do stawu i potrzymać je trochę w zimnej wodzie. Może ostudziłoby to ich wybuchowy temperament. W każdym razie na jakiś czas. Chwilami żałował, że oboje wrodzili się w matkę. Cóż, przynajmniej nie narzekał na nudę. Kilka minut później cała czwórka w najlepszej komitywie ruszyła na pole. Zapewne obmyślają kolejną psotę, stwierdził w duchu. Strach pomys-

leć, co te małe diablęta znów wymędrkują. Potrząsnąwszy głową, wszedł do domu. Odnalazł żonę w bibliotece. Siedziała z okularami na nosie pogrążona w lekturze kolejnego wzniosłego romansu. Jej gusta literackie nieodmiennie budziły w nim rozbawienie. Na szczęście w wyborze męża okazała się równie niepraktyczna jak w wyborze powieści, które czytywała. Posłała mu szeroki uśmiech, próbując ukryć książkę za plecami.

Christian pocałował ją na powitanie i rzekł:

- Nasze dzieci próbują się pozabijać.
- Znowu?
- Nie martw się. Jestem przekonany, że bliźniaki utrzymają je jakoś przy życiu. Ich rodzice zrobili to samo dla mnie.

Spojrzała na niego z uczuciem.

- Przypuszczam, że Minnie próbowała jedynie wytknąć Herculesowi błąd.
- Z pewnością masz rację.

Siedziała stanowczo za daleko. Niewiele myśląc, poderwał ją z krzesła i pociągnął za sobą na kanapę. Roześmiała się uszczęśliwiona. Nie oponowała, gdy sadzał ją sobie na kolanach.

Pozwoliła mu odrobinę pofiglować, po czym zapytała z poważną miną:

- Jak się przedstawia sytuacja w stajni?
- Klacz i źrebię mają się doskonale.
- To dobrze - powiedziała nieobecny głosem i poprawiła sukienkę. Hodowla koni była dla niej kwestią najwyższej wagi.

Christian odsłonił jej ramię i złożył na nim pocałunek. Stwierdził przy tym, że jego żona jest podenerwowana. Zawsze go to bawiło. Nawet po tylu wspólnych latach potrafił sprawić, że czuła się nieswojo.

- Wyglądasz mi na zmęczoną - zauważył zachęcająco. - Przydałaby ci się drzemka. Najlepiej kilkugodzinny odpoczynek. Dopilnuję, aby nikt nam nie przeszkadzał.

- Bądź grzeczny - odparła tonem, którym przemawiała do dzieci. - Muszę ci o czymś powiedzieć.

- Spodoba mi się to, co usłyszę? - zapytał ostrożnie.

- I tak, i nie. Eugenia przyjeżdża znów z wizytą.

- Tylko nie to! Ostatnim razem niemal wpędziła mnie do grobu. Sądziłem, że zajmie się tobą i maleństwem, ale nie, nie darowała sobie, gdyby nie spróbowała zamęczyć dobrymi radami biednego szwagra.

- Jej obecność dobrze ci robi. Stajesz się potulny i nie w głowie ci psoty.

- Nie lubię być potulny.

- Wiem, najdroższy, ale będziesz, dopóki moja siostra nie wyjedzie. Obiecujesz?

- Obiecuję - odparł zrezygnowany. Dalszy sprzeciw byłby stratą czasu. - Kiedy spodziewać się jej przyjazdu?

- Za około osiem miesięcy - odrzekła, posyłając mu niemal nieśmiały uśmiech. Gdyby kiedykolwiek zapomniał, za co ją kocha, przypomniałby mu o tym właśnie ten uśmiech. Położył jej rękę na brzuchu i pocałował ją w usta.

- Jak nazwiemy kolejnego berbecia? - zapytał.
- Afrodyta, jeśli to będzie dziewczynka.
- Albo Priap, jeśli urodzi się chłopiec? Wymierzyła mu lekkiego kuksańca.
- O nie, to imię zachowamy dla jego ojca. Nic dziwnego, że znów jestem w odmiennym stanie.
- Hm... nie zaprzeczę. A może zwyczajnie, Dick, Tom albo John?
- Ares - orzekła po namyśle. - Żeby miał siłę odpierać ataki siostry.
- Ha! Wątpię, aby to pomogło. Nasza córka to istna smoczyca jak jej matka. Nawet najdzielniejszy rycerz nie da rady pokonać takiej bestii.
- Ty dajesz sobie radę znakomicie - szepnęła mu do ucha. - i masz rację. Niewiasta przy nadziei potrzebuje mnóstwa snu.
- Wiedziałem, że jest coś, co wynagrodzi mi nadchodzącą wizytę twojej siostry. - Wstał i wziął ją za rękę. - Osobiście zadbam o to, byś mogła odpoczywać do woli.
- Naturalnie, że zadbasz - odparła, wchodząc za nim po schodach. - Jesteś przecież dżentelmenem w każdym calu.
- Właśnie - przytaknął z uśmiechem Montcalm.